

FALA OBAW
Metoda na wirusa:
jakoś to będzie

MNIEJ POWOŁAŃ
Czy Polskę czeka
import księży

RAJ POD LAWĄ
Reportaż z Wysp
Kanaryjskich

STAWISZYŃSKI
Jak żyć bez
poradników

LUDZIE NA LODZIE
Grenlandia, kraina
walki i przygody

Kraków 7 listopada 2021 nr 45 (3774)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Facebook stracił twarz



**JUŻ W KIOSKACH
NOWE WYDANIE
SPECJALNE**

Premiera!

Już w sprzedaży



Więcej informacji na powszech.net/dzisiajwbetlejem
Szukaj w miejscach z dobrą prasą

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK
POWSZECHNY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

PARTNERZY:

Kraków

POLIN
Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

PRZE
KRÓJ

KS. ADAM

Boniecki: Kryzys powołań

REKTOR SEMINARIUM DUCHOWNEGO DIECEZJI Rlegnickiej ks. dr Piotr Kot, zapytany o kryzys powołań, odpowiada, że „trzeba mówić raczej o kryzysie powołanych, bo Pan Bóg na pewno nie przestał przemawiać do serc młodych ludzi. Jednak ci, którzy słyszą zaproszenie, mogą mieć różne opory” (serwis KAI z 12 października 2021 r.). Może być i tak, że Bóg „nie przestał przemawiać do młodych serc”, ale uznał, że w Polsce jest dość księży i tych, „do których serc przemawia”, jest po prostu mniej. Bo może nie wszystkie zarezerwowane dziś dla księży funkcje – administracyjne, gospodarcze, naukowe itd. – wymagają święceń kapłańskich. W niektórych krajach z powodzeniem już przejęli je świeccy.

Tak czy inaczej, liczby mówią za siebie. W tym roku do seminariów diecezjalnych i zakonnych zgłosiło się 356 kandydatów do kapłaństwa, to jest 20 proc. mniej niż w roku ubiegłym. Rok szkolny rozpoczynało 242 kleryków diecezjalnych i 114 zakonnych. Za parę lat czekają nas poważne problemy, bo wiadomo, że do święceń dochodzi 30-50 proc. wstępujących. Dwadzieścia lat temu wyświęcano ok. 600 księży rocznie, dziś ok. 340. Obecnie mamy w Polsce prawie 25 tys. księży. W 10 356 parafiach katolickich pracuje 20,5 tys. księży. Średnia wieku księdza to 52 lata. Już chyba nie jesteśmy „zieloną wyspą powołań” w Europie. „Potrzebuję szesnastu, a wyświęciłem siedmiu” – ubolewał niedawno opolski biskup Andrzej Czaja.

Co się stało? Jeszcze nie tak dawno mieliśmy wręcz nadmiar kandydatów do kapłaństwa, dlaczego dziś ich nie mamy? Być może działały wiara i wpływ środowiska, przykład spotykanych księży i ukazywana w nauczaniu Kościoła porywająca wizja misji księdza. Pewnie też, świadomie lub nie, w grę wchodziły motywy niekoniecznie religijne. Eugen Drewermann w książce „Kler. Psychodram ideału”, w której, posługując się aparaturą psychologii głębi, bezlitośnie rozprawia się z potocznym rozumieniem „powołania”, dowodzi m.in., że wybór kapłaństwa może być sposobem realizacji „snu o szamaństwie” ludzi, którzy nigdy przez plemię



za szamanów nie byłoby uznani: „Jeśli w kulturach plemiennych przekonanie o własnym wybraństwie musiało być potwierdzone czynami i uznane przez plemię, to w przypadku kapłaństwa wystarczy pięć lat seminarium i święcenia. Bez szamańskich darów, lecz z namaszczenia przez instytucję. Są też inne, często podświadome motywacje wyboru kapłaństwa, jak niegdyś jako drogi klasowego awansu albo dziś

– sposobu wejścia do »klasy« osób cieszących się społecznym prestiżem. Motywem mógł być lęk przed konfrontacją z groźnym światem i chęć ukrycia się w potężnej instytucji. Mogły to być – przynajmniej w chwili dokonywania wyboru – motywacje podświadome, wręcz uznawane za symptomy powołania”.

Dzisiaj te wątpliwe, acz silne motywacje przestały działać, a jednocześnie – jak mówi ks. dr Piotr Kot – „ze wszystkich stron jest utrwalany negatywny obraz Kościoła i kapłaństwa” oraz mnożą się publikacje, których autorzy (jako przykład przytacza kleryka usuniętego 10 lat temu z seminarium, winą za swoje odejście obarczającego system kościelny) „ewidentnie dążyli do zaprezentowania seminarium jako miejsca, w którym (...) brakuje wyższych wartości, a wszyscy zajmują się na okrągło realizacją popędu seksualnego i dążeniem ku bliżej nieokreślonej karierze zawodowej”. Choć ten negatywny obraz traktuje się w kościelnych środowiskach jako krzywdzące uogólnienie, to jednak jako remedium na kryzys podjęto reformę seminariów. W październiku 2019 r. biskupi przyjęli „Ratio institutionis sacerdotalis pro Polonia” – czyli dokument o formacji kapłańskiej wraz z uzupełnieniami ze strony Stolicy Apostolskiej. „Ratio” ma służyć „pasterskiemu upodobnieniu seminarzysty do Chrystusa”, a jednocześnie uformować lojalnego pracownika Kościoła-institucji. Ma przygotowywać do profetycznej misji znaku „któremu sprzeciwiać się będą” i wprowadzić w kościelny (księżowski) styl życia, w jego dyscyplinę, tradycje, obyczaje, język itd. Historia takich księży jak choćby ks. Jan Zieja uczy, jak trudno to pogodzić i co z tego wynika.

©P

10 lat warszawskiego Klubu Tygodnika Powszechnego!

Naszym Przyjaciółom z warszawskiego Klubu gratulujemy pięknego jubileuszu i dziękujemy za ogrom pracy włożony w rozwój całej społeczności klubowej w Polsce i za granicą.

Dziękujemy za inspirujące spotkania, za dyskusje do nocy oraz za realną, rzeczową pomoc, jaką nieśli wielu Potrzebującym. Za budowanie pomostów, inspirowanie do działania, przyciąganie wspaniałych osobowości.

Za pokazywanie w praktyce, czym jest prawdziwe chrześcijaństwo. Życzymy kolejnych dobrych lat!

REDAKCJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO



22 Jakoś to będzie MACIEJ MÜLLER

Czwarta fala pandemii uderza w nieprzygotowany i jak zwykle zarządzany po partyzancku system ochrony zdrowia.



32 Powołaniowy krach MARCIN CHODUŃ

Liczba chętnych do kapłaństwa w Polsce w tym roku zmniejszyła się aż o jedną piątą. Czy Kościół w Polsce czeka los katolickiej wspólnoty w Irlandii?

42 W cieniu Cumbre Vieja MAŁGORZATA PROCHAŁ I AGNIESZKA ZIELIŃSKA

*Z LA PALMY (WYSPY KANARYJSKIE)
Wybuch wulkanu zmusił do ewakuacji siedem tysięcy ludzi, niszcząc ich domy. O tym, jak wygląda dziś życie na wyspie La Palma, opowiadają jej mieszkańcy.*



58 Kosmiczny bestiariusz WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Astronomowie wykryli już niemal 5 tysięcy planet pozasłonecznych. Na wielu panują ekstremalne warunki. Ale kandydatek na „drugą Ziemię” nie brakuje.



64 Planeta ulgi

TOMASZ STAWISZYŃSKI:
Wyznawcy teorii spiskowych, antyszczepionkowcy i populści nie są osobami niespełna rozumu. W imię bycia akceptowanym, obdarzanym zaufaniem i poczuciem bezpieczeństwa można poświęcić coś takiego jak prawda.



78 Ludzie na lodzie BARTEK DOBROCH

Zakaz polowań na foki wywrócił tradycyjne role społeczne Grenlandczyków, a nawet pozbawił ich szacunku do samych siebie, bo w oczach świata uczynił obiektem pogardy.

6 Granice ugody
TOMASZ BIELECKI

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Jakoś to będzie
MACIEJ MÜLLER

26 Jesień Lecha Wałęsy
WITOLD GŁOWACKI:
Kiedyś miliony Polaków poszłyby za nim w ogień. Dziś nie bronią go już nawet najwięksi zwolennicy

29 Granica. Dziecko ma prawo wiedzieć
ROZMOWA Z ELŻBIETĄ KRAWCZYK, EDUKATORKĄ:
Dzieci często wiedzą i czują znacznie więcej, niż nam się wydaje

■ ■ **WIARA**

32 Powołaniowy krach
MARCIN CHODUŃ

36 Bezwarunkowe miłosierdzie
ROZMOWA Z KS. GREGIEM BOYLE'EM SJ: *Członkowie gangu mogą mówić, że wstąpili do niego dla prestiżu. Ale często jest to ucieczka przed własną matką*

39 Doktor Jedności
KS. PRZEMYSŁAW SZEWCZYK:
Papież zapowiedział, że żyjącemu w II wieku Ireneuszowi z Lyonu nada tytuł Doktora Kościoła

■ ■ **ŚWIAT**

42 W cieniu Cumbre Vieja
MAŁGORZATA PROCHAL
I AGNIESZKA ZIELIŃSKA

48 Skazany na wygnanie
ROZMOWA Z HAMLETEM LAVASTIDĄ, KUBAŃSKIM ARTYSTĄ:
Wierzę, że ten reżim kiedyś się skończy

TEMAT TYGODNIKA

12 Handlarze gniewem

AGATA KAŹMIERSKA
I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Czy dowody na to, że Facebook nie tylko wiedział o swoim toksycznym wpływie, ale też świadomie go podkręcał, tym razem go pograżają? A może czeka nas jeszcze więcej Facebooka – i to groźniejszego?

■ **FESTIWAL CONRADA** ■

62 Literatura, ciało i kapitalizm

GRZEGORZ JANKOWICZ

By przetrwać dziś w społecznym chaosie, potrzebna jest sztuka wyboru. Propozycją takiego literackiego wyboru jest program Festiwalu Conrada.

■ **FELIETONY** ■

31 DOROTA MAŚŁOWSKA 41 ZUZANNA RADZIK

77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: MARK ZUCKERBERG
RYSUNEK: MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”

Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

50 Przyjaciele wrócili z wojny
PAWEŁ PIENIAŻEK Z ERYWANIA:
Trzej dwudziestolatkowie chcą zamknąć ten rozdział w swoim życiu i myśleć o przyszłości

■ ■ **HISTORIA**

54 W ponarskim lesie
MONIKA TOMKIEWICZ: *80 lat temu osiedle pod Wilnem stało się ostatnim etapem na drodze tutejszych Żydów*

■ ■ **NAUKA**

58 Kosmiczny bestiariusz
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

60 Sprawdzę to jeszcze raz
PIOTR SZYMANEK o zaburzeniach obsesyjno-kompulsyjnych

■ ■ **KULTURA**

64 Planeta ulgi
ROZMOWA Z TOMASZEM STAWISZYŃSKIM

69 Polska aktualna
PIOTR KOSIEWSKI: Wystawa „Polskie okolice” to rzadka okazja zobaczenia obrazów Marcina Maciejowskiego

72 Społeczeństwo jako igrzyska śmierci

JAKUB MAJMUREK: *Nie potrzebujemy wojen czy totalitarnej władzy – i bez tego umiemy wyobrazić sobie obywateli rozwiniętych państw, którzy gotowi są ryzykować życie i zdradzać przyjaciół, by odzyskać finansowe bezpieczeństwo*

74 Zew trufli
ANITA PIOTROWSKA o filmie „Truflarze”

76 Życie w fotografii
LEKTOR o książce Moniki Szevczyk-Wittek „Jedynie. Nieopowiedziane historie polskich fotografek”

■ ■ **ZMYSŁY**

78 Ludzie na lodzie
BARTEK DOBROCH

TYGODNIK
POWSZECHNY

Msza za zmarłych „Tygodnika”

Msza za zmarłych Redaktorów i Pracowników „Tygodnika Powszechnego” oraz ich bliskich zostanie odprawiona przez księdza Adama Bonieckiego w poniedziałek 8 listopada o godz. 17.00 w Bazylice św. Floriana przy ul. Warszawskiej 1b w Krakowie.

Zachęcamy do wspólnej modlitwy.



GRANICE UGODY

Komisja Europejska jest gotowa uwolnić pieniądze dla Polski w zamian za obietnice zmian w sądownictwie. Nałożona przez TSUE kara może zadziałać jako gwarancja, że faktycznie zostaną szybko wprowadzone.

TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI

UNIJNY TRYBUNAŁ SPRAWIEDLIWOŚCI nałożył na Polskę karę miliona euro dziennie m.in. za niecałkowite zawieszenie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Boleśnie w ten sposób przypomnieli Warszawę, jak w Unii od lat ściera się – podatny na polityczne ugody o wątpliwej jakości – „porządek międzyrządowy” z jej „wymiarom wspólnotowym”. W tym drugim TSUE stopniowo staje się wspólnym sądem konstytucyjnym. A Bruksela gra teraz z Polską w obu tych wymiarach.

Komisja Europejska, za przyzwoleniem kluczowych krajów Unii, rozmawia teraz z rządem Morawieckiego o politycznym kompromisie w sprawie odmrożenia funduszy, pod

warunkiem częściowego spełnienia postulatów dotyczących praworządności. Z drugiej strony to przecież na wrześniowy wniosek tejże samej Komisji wiceprezes TSUE nałożył karę oraz samodzielnie ustalił jej wysokość. I podjął tę decyzję we własnym tempie, bez związku z kalendarzem spotkań Morawieckiego w Brukseli i Strasburgu. Takie napięcie między gotowością Brukseli do – osiągniętych na polityczno-dyplomatycznej drodze – porozumień z piątym co do wielkości krajem UE a stanowczymi wymogami TSUE będzie określać teraz czerwone linie, poza które nie powinna wyjść ugoda z władzami Polski.

Instytucje UE dysponują teraz kilkoma różnymi środkami dyscyplinującymi – od rozsze-

Protest środowiska prawniczego w sprawie sędziego Macieja Ferka zawieszono za akceptację wyroków TSUE. Kraków, 25 października 2021 r.

zenia postępowania z artykułu 7. (bez realnej groźby sankcji) po na razie bardzo wstępne kroki w ramach nowych przepisów „pieniądze za praworządność”. Jednak głównym narzędziem nacisku jest Krajowy Plan Odbudowy (KPO). Parlament Europejski, czyli głos „wspólnotowe” Unii, zażądał w swej prawnie niewiążącej rezolucji, by Komisja Europejska, a potem unijne rządy nie zatwierdzały KPO aż „do czasu pełnego i właściwego wykonania przez polski rząd wyroków TSUE i sądów międzynarodowych”. To postulat mocno różniący się od dotychczasowej taktyki Komisji Europejskiej, która od września negocjowała z rządem Morawieckiego rozpisanie reform sądownictwa (realizujących wyroki TSUE) w harmonogramie do czerwca 2022 r. Taki wiążący plan zmian sądowych miał – wedle zamiarów Komisji – zostać wpisany wprost do tekstu KPO, czyli powiązany z wypłatami kolejnych transz z Funduszu Odbudowy.

Morawieckiemu na szczycie w Brukseli nie udało się próby przekierowania dyskusji z zagrożeń dla niezawisłości sędziów w Polsce na – wygodniejszy z jego punktu widzenia – nieco akademicki temat pierwszeństwa prawa Unii. Próbował to uczynić, bo to temat niełatwy również dla przywódców niektórych innych krajów Unii. Jednak ten szczyt UE, na którym Angela Merkel i Emmanuel Macron usiłovali osłabić konflikt z Polską, nie spowodował zaostrzenia negocjacyjnej linii Brukseli.

Ursula von der Leyen, szefowa Komisji, teraz już publicznie wylicza to, co było dotąd przedmiotem negocjacji: dla zatwierdzenia KPO trzeba „jasnego zobowiązania” do likwidacji Izby Dyscyplinarnej, zmiany systemu dyscyplinarnego dla sędziów, a także „zapoczątkowania procesu” przywracania odsuniętych sędziów. Oczekuje zatem wprost podania przez Polskę rozpiszek, jak zostaną wdrożone lipcowe decyzje TSUE, ale nie ma nigdzie mowy o ich wdrożeniu natychmiast, jeszcze przed zatwierdzeniem KPO.

Taki plan to oferta swoistej deeskalacji, lecz zarazem spore ryzyko, że wymagane od Polski reformy byłyby w kolejnych miesiącach przedmiotem rozważniania, intryg i kolejnych starć między Brukselą i Warszawą. Tyle że teraz powinien je trochę powściągać kręcący się licznik kar nałożonych przez TSUE. ©

Tych obietnic nie da się spełnić

MAŁGORZATA NOCUN



RZĄD PRZYGOTOWUJE NOWELIZACJĘ Ustawy „Za życiem”, a o jej szczegółach opowiedział „Dziennikowi Gazecie Prawnej” Paweł Wdówik, sekretarz stanu w Ministerstwie Rodziny i Polityki Społecznej. Gorzko się tę rozmowę czyta, bo to kpina z rodzin wychowujących dzieci z niepełnosprawnością.

Ustawa „Za życiem” była flagowym antyaborcyjnym projektem PiS. Miała zachęcić do rodzenia dzieci z wadami letalnymi (m.in. poprzez jednorazowy zasiłek w wysokości 4 tys. zł) i wspierać opiekunów wychowujących dzieci z niepełnosprawnością. Niestety, nigdy nie działała.

Nowelizacja zakłada m.in. podniesienie wysokości wspomnianego zasiłku. Z wywiadu nie dowiemy się, o ile. Zapewne nie o 70 tys. zł rocznie. Mama dziewczynki z ciężką postacią mózgowego porażenia dziecięcego opowiadała mi ostatnio, że właśnie tyle musi „wyżebrać” w skali roku. Żebrane, bo państwo wypchnęło ją z rynku pracy (pobierając zasiłek na niepełnosprawne dziecko, nie może pracować). A musi kupić specjalistyczny sprzęt ortopedyczny i wózek, który kosztuje ok. 19 tys. zł, państwo zaś refunduje jedynie ok. 11 tys. zł. Musi też zapew-

nić dziecku rehabilitację. Gdyby jej córeczka wykorzystywała jedynie godziny przydzielone przez NFZ, żyłaby w bólu (przyskurcze mięśni, skolioza). Kolejny wydatek: wizyty u specjalistów. Do tej pory ustawa „gwarantowała” oczekiwanie w kolejce nie dłuższe niż tydzień, ale matki słyszały w rejestracji: „za dwa tygodnie”, „za miesiąc”, a nawet „za pół roku”. I to ma zostać „usprawnione”, ale nie wiadomo jak, bo polska pediatria znajduje się w zapaści. Dyrektor i lekarze Dziecięcego Szpitala Uniwersyteckiego w Prokocimiu, jednej z najważniejszych tego typu placówek w Polsce, złożyli wypowiedzenia. Powód? Niedofinansowanie placówki i braki kadrowe. Kolejki do specjalistów będą się więc tylko wydłużać.

I ostatni punkt: rodzicom zamiast „asystenta” ma pomagać „doradca” rodziny. Problem w tym, że asystentów nigdy nie było. Fakt, w bieżącym roku przydzielono ich rodzinom, ale prawie od razu odebrano. Podobnie jak dodatkowe godziny rehabilitacji. Rząd PiS dopuszcza się zatem ogromnej manipulacji. Obietnic, które zakłada nowa wersja ustawy „Za życiem”, po prostu nie da się spełnić. ©P

Czy w porę okiełznamy inflację

DANE O DYNAMICE CEN w październiku zdają się wpisywać w scenariusz, przed którym ostrzega część ekonomistów – że inflacja dobija do poziomu, przy którym bank centralny traci nad nią kontrolę.

Być może to przedwczesne obawy i ostrożna podwyżka stóp procentowych, na którą na początku października zdecydował się NBP, zdoła zbić cenową gorączkę lub przynajmniej wyhamuje dalszy wzrost. Na razie wszakże nie widać tego w danych. Inflacja w październiku w porównaniu z wrześniem wzrosła z 5,9 do 6,8 proc., czyli aż o 0,9 pkt. proc. Tak dużej dynamiki cen nie zanotowano od kwietnia br., kiedy inflacja urosła z 3,2 do 4,3 proc. – a samego jej wskaźnika dobijającego do 7 proc. Polska nie widziała od 20 lat. Dziennikarze jednej ze stacji radiowych, którzy zrobili w ub. tygodniu identyczne zakupy co kandydują-

cy w 2015 r. na prezydenta Andrzeja Dudę, zapłacili za nie niemal 64 zł. Dudę kosztowało to 37,02 zł. Jeszcze w połowie marca identyczny eksperyment przeprowadzony przez dziennikarzy jednego z serwisów ekonomicznych zakończył się wydaniem 48,81 zł.

Pytania o to, co w tej sytuacji może bank centralny, wydają się o tyle uzasadnione, że przyspiesza także tempo wzrostu długu publicznego, które obecnie stanowi jeden z głównych czynników proinflacyjnych. Według wstępnych danych zadłużenie Skarbu Państwa na koniec września 2021 r. wyniosło ok. 1,14 bln zł, co oznaczało wzrost o 0,8 proc. w stosunku do sierpnia. Miesiąc wcześniej zadłużaliśmy się w tempie o 0,05 proc. szybszym niż w lipcu. Od początku roku dług urosł o 3,5 proc. Polskie zadłużenie w porównaniu z większością krajów wysoko rozwiniętych utrzymuje się wprawdzie na umiarkowanym poziomie, ale jego dalszy wzrost zmniejsza szanse na okiełznanie inflacji.

©P MAREK RABIJ

Lew bez farby

MICHAŁ OKOŃSKI



PILKARZ KLUBU ASTON VILLA MATTY CASH – ZA SŁABY, BY grać w reprezentacji Anglii, ale wystarczająco dobry, by wzmocnić naszą – otrzymał polskie obywatelstwo. Choć formalnie sprawa nie budzi wątpliwości – matka Casha jest córką polskich emigrantów, dziadek był deportowany na Syberię – w świecie okołopiłkarskim wywołała kontrowersje. Przez lata obowiązywała w nim wszak doktryna, że w drużynie narodowej występują wyłącznie sportowcy urodzeni w Polsce i mówiący po polsku; zawodników o polskich korzeniach, których przed dekadą zapraszał do kadry trener Smuda, nadwiślańscy ksenofobi zwali „farbowanymi lisami”.

To jedna z najgorszych fraz w pełnych skądinąd niedobrych zdań naszego futbolu. Nie tylko na tle reszty kontynentu, gdzie o wzbogacaniu reprezentacji przez potomków imigrantów albo ludzi odzyskujących nagłe pamięć o swoich korzeniach można by napisać niejedno. Także w kraju, którego tylu obywateli szukało lepszego miejsca do życia i który tylekroć otwierał bramy przed przybyszami. Jeśli za sprawą Casha to fatalne powiedzenie odchodzi w przeszłość, trzeba się cieszyć – niezależnie od tego, ile zyskamy w sensie czysto piłkarskim. © P

Polska armia duża i groźna

AGRESYWNA POLITYKA Rosji i sterowana przez Białoruś fala migrantów to oficjalne powody prac nad nową ustawą o obronie ojczyzny. Jarosław Kaczyński chce „radikalnego wzmocnienia sił zbrojnych”, ponieważ jesteśmy przedmurzem NATO i mamy obowiązek zapobiec próbom destabilizacji Europy. Dlatego potrzebujemy podwojenia liczby żołnierzy i odejścia od filozofii, wedle której armia ma być kompaktowa, ale dobrze wyszkolona i szybka w działaniu. Teraz będzie i duża, i groźna. Przynajmniej na tyle, by ewentualny agresor wiedział, że jeśli nawet nas pokona, to zapłaci wysoką cenę. Ma to działać odstrasżająco, a przynajmniej pozwolić Polsce bronić się dłużej niż kilka dni, w nadziei na przybycie wojsk naszych sojuszników z NATO.

Pieniądze mają pochodzić z budżetu oraz obligacji emitowanych przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Wciąż jednak nie wiadomo, jak będzie wyglądać w szczegółach reforma. Dotychczasowe doświadczenia rodzą sceptycyzm. Zwłaszcza po tym, jak Antoni Macierewicz zdemolował dowództwo armii i kontrwywiad.

Dziś wygląda na to, że rząd planuje oprzeć system – w części – na poborze, nie będzie on jednak obowiązkowy, ale dobrowolny. Ci zaś, którzy zdecydują się pozostać w armii dłużej, będą mieli szansę stać się zawodowymi żołnierzami. Mają na początek zarabiać ok. 4400 zł brutto, co nie wydaje się atrakcyjnym magnesem. Specjalną ofertę otrzymają za to studenci. Na wzór amerykański będą mogli liczyć na opłacenie nauki przez MON w zamian za „odpracowanie długu” podczas 5-letniej służby wojskowej. © P MAREK KĘSKRAWIEC

KRAJ W SKRÓCIE

CENA DEMOKRACJI

W Sejmie debatowano nad obywatelskim projektem ustawy „Stop LGBT”, a słowa, które padły z ust przedstawiciela jego autorów (zestawił osoby LGBT z nazistami), skłoniły wicemarszałka Czarzastego do komentarza: „Demokracja ma wysoką cenę. Chciałem państwu powiedzieć, że wysłuchałem najbardziej obrzydliwego wystąpienia w Sejmie, jak w nim siedzę”.



PAWEŁ SUPERNAK / PAP

HONOR POLITYKÓW

Nazizm zresztą nie schodzi z pola skojarzeń polskich polityków. Wśród maili, które wyciekają z domniemanej skrzynki szefa Kancelarii Premiera, jest i taki, w którym Michał Dworczyk ma pisać o kierowaniu się „starą sprawdzoną zasadą wygrawerowaną na sztylętach Waffen SS – Meine Ehre heißt Treue (Moim honorem jest wierność)”, odnosząc to do lojalności członków rządu. Z kolei Donald Tusk nazwał na Twitterze ministrów Schreibera, Raua, Szefernakera i Müllera „takim gruppenführerem Wolfram 2.0”.

ZEGAREK PREZESA

Ale medialnym tematem tygodnia i tak okazały się przymknięte oczy i założony odwrotnie zegarek Jarosława Kaczyńskiego. Nieoceniony p. Janecki w ośmiuset słowach wytłumaczył na portalu wPolityce, że ta specyficzna forma noszenia chronometru umożliwiła prezesowi PiS kontrolowanie czasu bez sprawiania wrażenia, że jest zniecierpliwiony.

Niemcy wobec kryzysu granicznego

ZA ODRĄ narasta niepokój przed eskalacją kryzysu na wschodniej granicy Unii. Kolejni politycy postulują uszczelnienie „szlaku białoruskiego”.

„Potrzebujemy płotów i potrzebujemy zapewne także murów” – mówił podczas wizyty w Brukseli Michael Kretschmer, premier landu Saksonia, który obok Brandenburgii najmocniej odczuwa napływ migrantów przez granicę z Polską. Poparł on budowę umocnień na unijnej granicy i powiedział, że Litwa, Łotwa, a zwłaszcza Polska powinny otrzymać wszelkie wsparcie, jakiego potrzebują. „Dopiero gdy ta granica będzie szczelna i nie będzie już można szmuglować nią ludzi, zjawisko to się skończy”; gdy na Białorusi zapanuje demokracja, tę „fizyczną granicę” będzie można zdemontować. Z kolei Michael Stübgen, szef MSW Brandenburgii, mówił, że to Rosja „stoi za zorganizowaną falą uchodźców”, a jej celem jest „destabilizowanie Unii”.

Wcześniej szef federalnego MSW Horst Seehofer wzmocnił na pograniczu policję federalną (kraj nie ma dziś osobnej straży granicznej). Związek zawodowy policji federalnej zaapelował do Seehofera o kontrole na granicy; chce tego też część lokalnych polityków. Na razie przeważa jednak obawa, że mogą one mieć negatywny wpływ na gospodarkę regionu.

Od sierpnia, gdy Mińsk rozkręcił „szlak białoruski”, do Niemiec dotarło nielegalnie przez Polskę prawie 7 tys. migrantów. To może wydać się niewiele, skoro w tym roku, do końca września, w RFN złożono 100 tys. wniosków o azyl (są „furtką” dla imigracji). Jednak narasta obawa przed powtórką dynamiki z 2015 r., gdy możliwość dotarcia tu „szlakiem bałkańskim” sprawiła, iż w kilka miesięcy do RFN przybyło ponad milion osób.

Stübgen mówił, że „codziennie notujemy 130 uchodźców, którzy docierają do samej tylko Brandenburgii” i jeśli trend się utrzyma, możliwe będzie przywrócenie kontroli. „Niegodziwa gra, którą Rosja i Białoruś prowadzą z uchodźcami, musi zostać zakończona. Umocnienia graniczne są tu środkiem ostatecznym, ale środkiem dobrym” – pisze komentator dziennika „FAZ”. © P WP / DPA, FAZ, OSW



CLAUDIA DAUT / REUTERS / FORUM

BEZ BENZYNY NA HAITI. Chaos spowodowany zabójstwem prezydenta Jovenela Moïse'a w lipcu br. pogłębia się za sprawą strajku generalnego, który sparaliżował wyspę. Mieszkańcy protestują przeciw przemocy gangów i gigantycznym podwyżkom cen paliwa – w ciągu kilku dni galon benzyny zdrożał z 2 do 25 dolarów. Stoi komunikacja, transport i urzędy publiczne. Większość mieszkańców nie opuszcza domów, a w razie konieczności porusza się pieszo. Kryzys paliwowy uderzył też w szpitala: zwykle czerpią one prąd z generatorów, do których teraz nie ma paliwa. „Setki kobiet i dzieci są zagrożone śmiercią, jeśli nie uda się rozwiązać kryzysu” – ostrzega UNICEF i wzywa rząd do podjęcia działań w celu przywrócenia bezpieczeństwa. Na zdjęciu: Haitanki idą na targ w mieście Fermate, 26 października 2021 r. © JACEK TARAN

Afryka: odchodzi moda na demokrację

WOJSKOWE ZAMACHY stanu, plaga niepodległej Afryki – po przerwie z przełomu wieków XX i XXI na eksperyment z systemem demokratycznym w zachodnim stylu – znów stają się modne. Do najnowszego doszło właśnie w Sudanie. W tym kraju do puczów, udanych i nieudanych, dochodzi zresztą częściej niż gdziekolwiek indziej w Afryce.

W poniedziałek 25 października zamachu stanu dokonał dowódca rządowego wojska gen. Abdel Fattah Burhan, który już raz, w 2019 r., doszedł do władzy wskutek – jakżeby inaczej – przewrotu, ale dotąd dzielił się nią z cywilami. Wtedy stanął na czele puczu, by obalić panującego od 30 lat wojskowego dyktatora (i, ma się rozumieć, puczystę) Omara al-Baszira, którego rządowi zagroziła uliczna rewolucja. Burhan i generałowie uznali wtedy, że jeśli nie obalą Baszira, zrobi to ulica, a wtedy stracą dostęp do władzy i wynikające z niej przywileje. Dokonali więc puczu, ale podzielili się władzą z przywódcami rewolucji. Dogadali się, że do czasu nowych wyborów (miały

się odbyć przed końcem 2023 r.) będą rządzić wspólnie, a szefem państwa będzie najpierw Burhan, po nim zaś, aż do wyborów, któryś z cywilów. Do zamiany miało dojść akurat teraz, w listopadzie.

Pucz Burhana to policzek dla Zachodu, od ponad ćwierć wieku próbującego wprowadzić w Afryce modę na demokrację. Jeszcze w niedzielę Jeffrey Feltman, specjalny wysłannik USA ds. Rogu Afryki, ostrzegał w Chartumie generałów, by nie przyszło im do głowy próbować kolejnego puczu. W poniedziałkowy ranek zrobili to, przed czym przestrzegał ich Amerykanin.

Pogrążony we własnych kryzysach Zachód traci dziś wpływy w Afryce, a na znaczeniu zyskują ci, którzy są wyrozumiali dla puczystów i dyktatorów: Rosja, Turcja, Chiny, Egipt i sprzymierzone z nim bogate królestwa z Półwyspu Arabskiego. Poza Sudanem do wojskowych przewrotów doszło w tym roku także w Czadzie, Mali, Gwinei i Nigrze (ten ostatni nie udał się) – wszystko to są kraje afrykańskiego Sahelu, słabe, biedne i doświadczane wojnami toczonymi przez afrykańskich dyktatorów. © WOJCIECH JAGIELSKI

Więcej w serwisie Strona Świata na stronie internetowej „TP”.

Covid zabija Rosjan

ANNA ŁABUSZEWSKA



DOBOWY PRZYRÓST ZAKAŻEŃ KORONAWIRUSEM przekroczył 40 tys., od ponad tygodnia codziennie umiera ponad tysiąc osób. Szczyt czwartej fali epidemii spodziewany jest w Rosji pod koniec pierwszego tygodnia listopada. Ale czy na pewno?

Po długim okresie bezczynności władze próbują opanować sytuację. W szpitalach zaczyna brakować łóżek, sprzętu, lekarstw, tlenu. Prezydent ogłosił w okresie od 30 października do 8 listopada dni wolne od pracy. Mer Moskwy (ponad 8 tys. zakażeń dziennie) ogłosił miękki lockdown w tym okresie. Petersburg (ponad 3 tys. zakażeń) zamierza wprowadzić obostrzenia: w przestrzeni publicznej będą sprawdzane kody QR, bez świadectwa o szczepieniu nie będzie można wejść do kin, teatrów, siłowni, muzeów. Władze Chakasji, republiki autonomicznej w składzie Federacji Rosyjskiej, wprowadziły godzinę policyjną. Mimo zagrożenia wielu Rosjan potraktowało dni wolne jako okazję do wyjazdu – jeśli uda się zdobyć bilet, to do Turcji, jeśli się nie uda, przynajmniej do Soczi. Choć przewoźnicy dyktują paskarskie ceny, chętnych jest aż nadto.

Władze nawołują do szczepień. Gdzieniegdzie nawet tworzą się kolejki pod punktami wakcynacji. Ale to kilkunastowe wzmoczenie nie poprawi kiepskich statystyk – dwie dawki szczepionki podano 49,1 mln ludzi (ok. 35 proc. ludności). Do osiągnięcia liczby zaszczepionych dającej szansę nabycia zbiorowej odporności przy obecnym tempie wakcynacji potrzeba 8 miesięcy.

Rosjanie nie ufają rodzimym szczepionkom, choć władze przekonują, że są bezpieczne i skuteczne. Putin przy każdej okazji lansuje Sputnik V. Ostatnio mówił: „Europejczycy szczepią się w Rosji Sputnikem, a potem kupują u siebie zaświadczenia, że się szczepili Pfizerem”. Jak to w rosyjskich covidowych bajkach bywa, robi się i śmiesznie, i strasznie. Falszowane świadectwa szczepień to domena Rosjan.

Ale nikomu nie jest do śmiechu, bo statystyki są zatrważające. Urząd statystyczny Rosstat podał, że od początku pandemii na covid zmarło 400 tys. Rosjan; niezależni demografowie szacują, że może to być niemal 700 tys. Dane te nie uwzględniają ostatnich tygodni, gdy umierało 800-1000 osób dziennie. ©

Zbiorowej dymisji nie będzie

PIOTR SIKORA



WEDŁUG SONDAŻU AGENCJI Kantar połowa Polaków uważa, że papież powinien zdymisjonować cały episkopat – ze względu na niewłaściwy sposób reagowania na przestępstwa molestowania seksualnego dokonywane przez księży. Takiej dymisji nie należy się jednak spodziewać. Polscy biskupi zakończyli właśnie, odbywaną co kilka lat, wizytę ad limina w Watykanie. Choć informacje o jej przebiegu, podawane przez nich samych, są nieco rozbieżne, nie wskazują na żadne radykalne decyzje Franciszka.

Biskup Adrian Galbas relacjonował, że wizyta „nie miała nic wspólnego z atmosferą dywaniku, jakiegoś karnego spotkania”. Biskup Stanisław Budzik – że ze spotkania z papieżem wychodzili „w euforycznym nastroju”. Arcybiskup Marek Jędraszewski był w watykańskich dykasteriach zaskoczony „wielką gotowością do tego, żeby nas słuchać”.

Papież Franciszek usłyszał także opinię członków polskiego episkopatu, że kary, jakie spadają na niektórych z nich za reakcję na pedofilię duchownych, są zbyt surowe, gdyż – to z kolei słowa abp. Stanisława Gądeckiego – biskupi są winni jedynie „niedociągnięć, uchybień lub zapomnień”. Przypomnijmy: w opinii większości Polaków jest odwrotnie – sankcje nakładane przez Watykan są za łagodne.

Jedynie abp Grzegorz Ryś przyznał wprost, że polscy hierarchowie spotkali się z watykańską krytyką, iż nie potrafią przyjmować krytyki. Według Katolickiej Agencji Informacyjnej metropolita łódzki miał uznać tę krytykę za niesłuszną. Jak zauważyła „Więź”, abp Ryś w rzeczywistości stwierdził, że ta watykańska opinia „jest pewnie słuszną”.

Nie mamy niestety – i zapewne nie będziemy mieć – niezależnych informacji o przebiegu tej wizyty. Z tych, których dysponujemy, można wnioskować, że wizja relacji w kościelnej strukturze, która dominuje w Watykanie, polskich biskupów zaskoczyła. Patrzy się na nich krytycznie, ale traktuje z uwagą i szacunkiem. ©P

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

BRAK PRZESZKÓD

Amerykański ekonomista Jeffrey Sachs został członkiem zwyczajnym Papieskiej Akademii Nauk Społecznych. 67-letni profesor jest dyrektorem Ośrodka Zrównoważonego Rozwoju na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Zastąpił proponowaniem tzw. terapii szokowej rządów krajów ze słabymi gospodarkami. Doradzał m.in. rządowi Tadeusza Mazowieckiego. Amerykańskie konserwatywne media zarzucają Sachswi, że jest zwolennikiem antykoncepcji. Kanclerz papieskiej akademii bp Marcelo Sánchez Sorondo odpowiedział: „Już nie jest”.



VATICAN MEDIA

BRAK ZAINTERESOWANIA

Nikie zainteresowanie synodem przez polskich księży skomentował dla KAI bp Adrian Galbas. Zdaniem przewodniczącego Rady Episkopatu ds. Apostolstwa Świeckich wśród księży obecne jest klerykalne myślenie o wyższości duchowieństwa nad świeckimi oraz „pewien dystans do papieża Franciszka i tego, co proponuje dziś Kościołowi”.

BRAK OGRANICZEŃ

Na placu św. Piotra znalazło się nowoczesne ambulatorium mobilne, wyposażone w cztery sale zabiegowe do badania problemów kardiologicznych i naczyniowych. „Każdy z bezdomnych, bez względu na to, czy posiada dokumenty, czy nie, zgłaszając się tam, zostanie przebadany” – zapowiada jętmużnik papieski kard. Konrad Krajewski.

Czy Franciszek przeprosi

PAPIEŻ ZGODZIŁ SIĘ przyjechać do Kanady „także w kontekście długotrwałego procesu apostolskiego pojednania z rdzennymi narodami”, oświadczył Watykan. Czy tak będzie, nie jest jednak pewne. Nie wiadomo bowiem, czy Franciszek przyjedzie z tym, na co Kanada tak bardzo czeka – z przeprosinami.

Kanadyjczycy od lat domagają się, by Kościół przeprosił za udział w systemie szkół z internatem dla rdzennych dzieci. W działających do 1996 r. placówkach zaprojektowanych przez państwo, ale zarządzanych głównie przez duchownych, zamknięto ich ok. 150 tys. Były krzywdzone i wykorzystywane, padały ofiarą niedożywienia, chorób zakaźnych i przemocy, także seksualnej. Skala krzywd jest dobrze udokumentowana, ale Kościół uchyla się od odpowiedzialności, ignorując m.in. postanowienia historycznej ugody z ocalonymi z 2005 r., która nakazywała m.in. wypłatę rekompensat i finansowe wsparcie organizacji pomocowych.

W Kanadzie napięcie wokół tej sprawy jest olbrzymie, tym bardziej że latem 2021 r. na terenie kilku dawnych szkół odnaleziono ponad 1,3 tys. nieoznakowanych mogił. Naciski dyplomatyczne doprowadziły już do planowanej na grudzień wizyty przedstawicieli rdzennych społeczności w Watykanie. Będzie to „warsztat” przed przyjazdem papieża, który na razie nie ma daty i programu.

Będzie to też jeden z małych kroków na drodze do pojednania, a może i wybaczenia. Jednak w Kanadzie uważa się, że bez papieskiego „przepraszam” ani jedno, ani drugie nie ma szans powodzenia.

© JOANNA GIERAK-ONOSZKO

Francja: kościół zmieniony w noclegownię



DIECEZIA GAP I EMBRUN

BLISKO 200 IMIGRANTÓW

przyjął na noc ks. Jean-Michel Bardet, proboszcz parafii św. Katarzyny w Briançon, alpejskim miasteczku na głównym szlaku migracyjnym z Włoch do Francji. Gdy zabrakło miejsc w schronisku, otwartym – dzięki staraniom mieszkańców i organizacji non-profit – zaledwie dwa dni wcześniej, ks. Bardet poprosił biskupa o zgodę na urządzenie prowizorycznej noclegowni w kościele. Przybyłszy otrzymali tam także posiłek i pomoc medyczną, a następnego dnia zostali rozwiezieni do ośrodków w sąsiednich miejscowościach.

To drugi w ostatnich dniach przykład podejścia francuskich księży do problemu nielegalnej imigracji. W kościele św. Piotra w Calais protest głodowy przeciw łamaniu praw człowieka przez służby antyimigracyjne prowadzi – od ponad trzech tygodni – jezuita Philippe Demeestère wraz z dwójką pracowników Caritasu. ©P E A

KULTURA W SKRÓCIE

AMERYKAŃSKIE KINO

Aż 110 filmów – połowa z nich po raz pierwszy w Polsce – zostanie pokazanych podczas 12. edycji American Film Festival (AFF). Impreza potrwa od 9 do 14 listopada we wrocławskim kinie Nowe Horyzonty. Festiwal będzie miał formę hybrydową: seanse online wystartują na początku grudnia.

AUTOPORTRET SZLACHCICA

A już 11 listopada w Muzeum POLIN po raz pierwszy zaprezentowane zostanie płótno Maurycego Gottlieba „Autoportret w stroju polskiego szlachcica” z 1874 r. Obraz przez lata uchodził za zaginiony. „Jestem Polakiem i Żydem i chcę dla obu, gdy Bóg da, pracować” – pisał w korespondencji pochodzący z Drohobycza artysta. Przeplatanie się wątków polskich i żydowskich obecnie jest także w jego malarstwie.

ARCHITEKTURA MODERNISTYCZNA

W czwartki o 17.50 na antenie TVP Kultura oglądać można serial dokumentalny „Rzeczpospolita modernistyczna” poświęcony polskiej architekturze lat 20. i 30. XX w. Jego bohaterami są nie tylko gmachy dużych miast (Warszawa, Katowice, Gdynia, Poznań), ale także mniejszych miejscowości (Jurata, Ciechocinek, Otwock). Serial będzie także dostępny na kanale internetowym Kultura 2.



WOJCIECH BRZEZIŃSKI opowie Grzegorzowi Chłascie o kandydatkach na „drugą ziemię” (tekst na s. 58). Słuchaj w środę 3 listopada o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie



MOHAMED ABD EL GHANY / REUTERS / FORUM

POCZTÓWKA Z GIZY. Krajobraz egipskiego płaskowyżu zmienia się dramatycznie na przestrzeni tysiącleci. Grobowiec Cheopsa nie ma już błyszczącej, złotej zapeczki, a jego boki nie lśnią białą polerowanego wapienia. Piramidy straciły swój połysk. Stąd pomysł, by dziesięciu artystów dokonało reinterpretacji starożytnego dziedzictwa. To pierwsza międzynarodowa wystawa sztuki odbywająca się w tym miejscu. Nie potrwa długo – finisaż zaplanowano na 7 listopada. W zamyśle organizatorów odzwierciedlać ma globalny wpływ dawnego Egiptu na współczesny świat oraz sztukę. Na zdjęciu projekt włoskiego rzeźbiarza Lorenzo Quinna. ©P MOC

Liczby w żrenicy

WYNIKI BADAŃ nad zachowaniem i aktywnością mózgu, świadczą o tym, że ludzie i inne zwierzęta potrafią spontanicznie rozróżniać zbiory przedmiotów, różniące się pod względem liczebności. Teraz wiemy, że automatycznie w wykrywanie liczebności zaangażowana jest również żrenica.

Nasze żrenice reagują zmianą rozmiaru na zmiany natężenia oświetlenia. Jeśli natężenie jest stałe, reakcja żrenicy zależy od tego, na jakie przedmioty patrzymy. W artykule opublikowanym w „Nature Communications” Elisa Castaldi i jej współpracownicy wykazali, że reakcje żrenicy różnią się w zależności od liczebności obiektów, nawet jeśli osoby badane ich nie liczą. Uczestnikom wyświetlano zbiory czarnych i białych kropek, a zmiany rozmiaru żrenicy mierzone były z użyciem okulografu.

Wraz z wcześniejszymi odkryciami „numeronów” u zwierząt, czyli pojedynczych neuronów reagujących selektywnie na różne liczebności, oraz topograficznej reprezentacji liczebności w mózgu człowieka, wyniki badań Castaldi dostarczają kolejnego biologicznego argumentu na rzecz istnienia postulowanego przez psychologów „zmysłu numerycznego”.

©P MATEUSZ HOHOL

Scytyjski złoty skarb należy do Ukrainy

ALLARD PIERSON MUSEUM



TO NIE KONIEC sporu prawnego między Ukrainą i Rosją, ale duży krok ku jego rozstrzygnięciu: sąd apelacyjny w Amsterdamie orzekł, że setki dzieł sztuki, które siedem lat temu

zostały wypożyczone z muzeów na Krymie do Holandii i do dziś tam pozostają, powinny zostać przekazane Ukrainie.

Traf chciał, że wystawa „Krym: złoto i tajemnice Morza Czarnego”, otwarta w lutym 2014 r. w muzeum archeologicznym w Amsterdamie, zbiegła się z aneksją półwyspu. Pokazano na niej unikalne kolekcje m.in. przedmiotów ze złota, wykonanych 2400 lat temu przez Greków dla wodzów scytyjskich (Scytowie mieli na Krymie państwo, były tam też greckie faktorie). Roszczenia do skarbów zgłosiły i Ukraina, i Rosja. Sprawa trafiła do sądu, a skarby do utajonego magazynu. W 2016 r. sąd uznał prawa Ukrainy, ale Rosja złożyła apelację. Także dziś nie chce ustąpić: sprawa trafi do sądu najwyższego Holandii.

Jednak sukces kosztuje: sąd uznał też, że Ukraina ma oddać muzeum ponad 100 tys. euro kosztów bezpiecznego przechowania skarbów.

©P WP / AFP, FAZ, BBC

HANDLARZE GNIEWEM

Są dowody na to, że Facebook nie tylko wiedział o swoim toksycznym wpływie, ale też świadomie go podkreślał. To może być początek jego upadku. Ale może czekać nas jeszcze więcej Facebooka – i to groźniejszego.

AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI



POLARYZOWANIE SPOŁECZEŃSTW? Propagowanie dezinformacji? Zły wpływ na psychikę nastolatków? To wszystko już słyszeliśmy. Wiele razy. Na podstawie tzw. „Facebook Files”, czyli wewnętrznych dokumentów Facebooka, które właśnie wypływają szerokim strumieniem, giganta mediów społecznościowych nie można oskarżyć w zasadzie o nic nowego. A jednak możemy być świadkami punktu zwrotnego.

Tysiące opracowań, badań, notatek i prezentacji ujawnionych przez byłą pracownicę Facebooka Frances Haugen potwierdzają wcześniejsze podejrzenia i oskarżenia, wypełniając je mięsistymi

detalami. Stanowią dowód, iż kierownictwo firmy, zamiast starać się rozwiązywać problemy, oszukiwało opinię publiczną, stawiając ponad wszystko zysk. Haugen obnażyła fakt, iż Mark Zuckerberg mijał się z prawdą, obiecując naprawianie błędów za każdym razem, gdy serwis przyłapywano na nieetycznych działaniach. Przeprosiny prezesa koncernu były z resztą tak regularne i schematyczne w ciągu ostatniej przeszło dekady, że zyskały już nawet prześmiewczą nazwę: „zukosiny”.

Może to być punkt zwrotny właśnie dlatego, że Zuckerberg przyparty do muru chyba po raz pierwszy nie przeprasza. Zamiast tego podbija stawkę.

Właśnie ogłosił zmianę nazwy Facebooka i nowy, strategiczny projekt. Powoli staje się jasne, że jego firma albo zacznie teraz pod własnym ciężarem upadać, albo już nigdy nie uda się nam wyrwać z sidła jego algorytmów.

Zaczęło się

„Cześć wszystkim. Piątek będzie moim ostatnim dniem w Facebooku

(...) nie mogę zostać tutaj w zgodzie z sumieniem. Uważam, że wpływ Facebooka na politykę w krajach zachodnich jest negatywny. Nie wierzę, że kierownictwo w dobrej wierze stara się temu zaradzić. Nie wierzę, że zostając, mógłbym zmienić coś na lepsze” – to post umieszczony w wewnętrznej sieci firmy 9 grudnia 2020 r. „Szczercie mówiąc, nie jestem przekonany, czy FB powinien istnieć” – pisał inny pracownik w ostatniej wiadomości do kolegów z pracy. Zaś Sophie Zhang z zespołu zwalczającego fake newsy napisała w pożegnalnym mailu: „Przez pracę w Facebooku czuję, że mam krew na rękach”.

Frances Haugen z pracy odeszła w maju tego roku. 37-letnia absolwentka informatyki i Harvard Business School, z doświadczeniem pracy m.in. w Google i Pinterest, z pewnością nie miała problemu ze znalezieniem nowego miejsca zatrudnienia, bo w Dolinie Krzemowej cieszy się opinią solidnej specjalistki. W koncernie Zuckerberga współtworzyła zespół ds. odpowiedzialności obywatelskiej, którego zadaniem było m.in. opracowywanie sposobów walki z dezinformacją. Tyle że zespół rozwiązano tuż po zeszłorocznych wyborach prezydenckich w USA. To – jak miała później powiedzieć – wydawało się jej „zdradą” →



Instalacja przed brytyjskim parlamentem przedstawiająca Marka Zuckerberga. Londyn, 26 października 2021 r.

→ demokracji”. Zdradą, która „mogła się przyczynić do ataku na Kapitol” dokonanego dwa miesiące po wyborach przez zwolenników Donalda Trumpa.

Haugen, widząc nieprawidłowości w firmie, zgodnie z prawem mogła pobrać dokumenty i je ujawnić. Zanim złożyła wypowiedzenie, by nie ściągać niczyjej uwagi, smartfonem robiła zdjęcia wewnętrznym notatkom, opracowaniom i badaniom Facebooka, wyświetlanym na monitorze komputera. Były one dostępne dla większości pracowników koncernu w wewnętrznej sieci. Haugen zebrała ich tysiące. A potem było już jak u Hitchcocka.

Zaczął się w połowie września. „The Wall Street Journal” napisał, że choć Facebook deklaruje, iż „wszyscy jego użytkownicy są równi”, to są wśród nich VIP-y, których postów moderatorzy nie mogą blokować w ramach standardowych procedur. To wyjaśniało m.in., dlaczego piłkarz Neymar mógł opublikować nagie zdjęcia kobiety, która oskarżyła go o gwałt. Nim pojawiła się zgoda na usunięcie posta, zobaczyło je 56 mln ludzi – chociaż w przypadku pozostałych 2,84 mld użytkowników moderatorzy zareagowaliby bez wahania. Kont VIP Facebook ma 5,8 mln.

Temat podchwyciły media na całym świecie, a to był zaledwie wstęp do trzęsienia ziemi. Bo w kolejnych dniach, na podstawie dalszych wewnętrznych dokumentów koncernu i anonimowego jeszcze wówczas źródła, „The Wall Street Journal” ujawnił, że Facebook jest świadomy swego toksycznego wpływu na zdrowie nastolatków. Wie również, że zmieniając sposób działania algorytmów, zamiast przyczynić się do zapobiegania polaryzacji, jeszcze bardziej ją potęguje i leje wodę na młyn m.in. antyszczepionkowców. Takie oskarżenia pojawiały się już wcześniej, ale tym razem społeczniowy gigant nie był w stanie dyskredytować źródła informacji, bo prawdziwość dokumentów, na które powoływała się gazeta, mógł potwierdzić każdy, kto miał dostęp do wewnętrznej sieci.

Jakby tego było mało, sprawą szybko zajęła się podkomisja Senatu USA do spraw m.in. ochrony konsumentów i wezwła na przesłuchanie Antigone Davis, szefową ds. bezpieczeństwa Facebooka, oraz osobą będącą źródłem „The Wall Street Journal”. Zanim doszło do zeznań, Frances Haugen sama ujawniła swoją tożsamość w „60 Minutes” – jednym

Aż 85 proc. środków
na moderację Facebook kieruje
na walkę z mową nienawiści
w Stanach Zjednoczonych.

Reszta świata musi radzić
sobie sama.

z najpopularniejszych programów amerykańskiej telewizji. Nie tylko potwierdziła wszystko, co dotąd opisał dziennik, ale też oświadczyła, że wielokrotnie była świadkiem konfliktu „między tym, co dobre dla społeczeństwa, a tym, co dobre dla Facebooka”, czyli zarabianiem jeszcze większych pieniędzy.

Zaraz po wywiadzie sygnalistka przekazała dokumenty kongresmenom i biurom stanowych prokuratorów generalnych, a jej prawnicy złożyli osiem skarg do Komisji Papierów Wartościowych i Giełd, m.in. w sprawie bezczynności Facebooka wobec mowy nienawiści i narażania zdrowia psychicznego nieletnich. Solidny cios zawiera też skarga związana z wprowadzaniem w błąd inwestorów w tych sprawach.

Facebook milczał. Tak się złożyło, że właśnie wtedy doszło do najbardziej spektakularnej awarii w historii firmy i na sześć godzin zamarł nie tylko największy portal społecznościowy świata, ale też należące do niego serwisy Instagram, Messenger i WhatsApp. W efekcie, nim następnego dnia Haugen przyszła składać zeznania, gigant skurczył się o 6 mld dol. Trzęsienie ziemi właśnie się zaczynało.

Reputacja firmy

Dwa lata temu BBC wyemitowało godzinny reportaż – owoc dziennikarskiego śledztwa. Wynikało z niego, że na Instagramie kwitnie handel ludźmi. Ofiary tego procederu trafiały do prywatnych domów, gdzie były więzione i zmuszane do pracy, a nieraz też napastowane seksualnie. W odpowiedzi na reportaż Facebook zapowiedział, że „włoży więcej wysiłków” w zwalczanie tego procederu i zablokował na Instagramie 703 konta posługujące się hasztagami powiązanymi z handlem „pomocami domowymi”.

„Facebook Files” pokazują, że firma o całym procederze wiedziała co najmniej rok przed emisją reportażu BBC. W wewnętrznym raporcie Facebooka ze stycznia

2020 r. opisano natomiast ze szczegółami, jak „platforma umożliwia wszystkie etapy cyklu” niewolnictwa, czyli wabienie przyszłych ofiar, handel nimi i ich wyzysk. „Agencje rekrutacyjne” korzystały z Facebooka, Instagrama, Messengera i WhatsAppa „do wymiany dokumentacji dotyczącej ofiar, promowania ich wśród nabywców, aranżowania umów kupna i dokonywania opłat”. To nie koniec. Takie „agencje” wykupywały w serwisach społecznościowych reklamy, w których zachwalały swoje usługi. Wewnętrzne dochodzenie w sprawie jednej z takich „agencji” wykazało, że na platformach Facebooka miała ona przeszło sto fałszywych kont do wabienia w różnych państwach przyszłych ofiar. Na Messengerze i WhatsAppie koordynowano transport kobiet do Dubaju, gdzie były zmuszane do pracy w „salonach masażu”. Grupa wydała 152 tys. dolarów na reklamy na platformach, których właścicielem jest Facebook.

Serwis w konsekwencji tych ustaleń usunął w zeszłym roku wszystkie konta powiązane z tą konkretną grupą. Prowadzący wewnętrzne śledztwo apelowali o stworzenie klarownych zasad dotyczących reklam takich organizacji, by „zapobiec zagrożeniu dla reputacji firmy”.

Dzięki dokumentom ujawnionym przez Frances Haugen wiadomo, że w 2019 r. Apple zagroziło usunięciem Facebooka i Instagrama ze swojego sklepu z aplikacjami w związku z procederem handlu ludźmi. Informacja o utrzymywanym dotąd w tajemnicy konflikcie znalazła się wśród skarg złożonych do komisji handlu. Dziennikarze CNN w drugiej połowie października odnaleźli kolejne konta na Instagramie, które mogły być powiązane z handlem ludźmi. Facebook, po zgłoszeniu od redakcji, usunął je.

Metawersum, czyli co

To był bardzo długi post. „Myślę, że większość z nas po prostu nie rozpoznaje fałszywego obrazu firmy, jaki jest odmalowywany”; „Jestem dumny ze wszystkiego, co robimy, by budować najlepsze społecznościowe produkty na świecie”; „Żadna firma nie chce tworzyć produktów, które sprawiają, że ludzie wpadają w gniew czy depresję. Moralne, biznesowe i produktowe czynniki wskazują przeciwny kierunek” – pisał Mark Zuckerberg w reakcji na zeznania sygnalistki.

Wspominał także o frustracji i smutku w związku z zarzutami, wyjaśniając, że firma i on sam działają w najlepiej pojętym interesie użytkowników, ale konkretnie w tym poście było niewiele. Zukosin nie było wcale. Bardziej konkretna była Lena Pietsch, dyrektor ds. komunikacji politycznej Facebooka, która w oświadczeniu dotyczącym zeznań Haugen napisała: „Zgadza się co do jednego. Nadszedł czas, aby zacząć tworzyć standardowe zasady dla internetu”.

Można jednak odnieść wrażenie, że Zuckerberg może te zasady rozumieć inaczej niż reszta świata. Na początku października, czyli w czasie, gdy trzęsienie ziemi związane z jego firmą trwało już w najlepsze, portal „The Verge” poinformował, że Facebook planuje zmienić branding korporacyjny tak, by odzwierciedlał fakt, iż koncern posiada różne platformy społecznościowe. Taki manewr może się kojarzyć z reorganizacją Google’a w ramach holdingu Alphabet w 2015 r., gdy firma znana z wyszukiwarek internetowych zdecydowała się realizować kolejne ambitne plany i zainwestowała m.in. w technologie pojazdów autonomicznych. Mark Zuckerberg też ma ambitny plan.

„Meta”. Tak teraz nazywa się koncern Zuckerberga. Konferencja, podczas której ogłaszał nowy kierunek firmy, trwała 77 minut. W tym czasie nazwa „Facebook” zniknęła z oficjalnych kont korporacji na Twitterze, portalu Facebook (który pozostaje przy starej nazwie), a nawet z szyldu przed kwaterą główną firmy. I tylko na należącej do molocha Instagramie operacja nie wyszła, bo najwyraźniej nikt nie sprawdził, że nazwa „@meta” należy do magazynu o motocyklach z Denver.

Zuckerberg zapowiedział, że nowa nazwa ma odzwierciedlać chęć skupienia się przez koncern na budowie „metawersum”, w którym ludzie będą mogli korzystać z różnych narzędzi do poruszania się i komunikowania w środowisku wirtualnym. Czyli rozwiązaniem problemu Facebooka miałyby być... więcej Facebooka – choć pod inną nazwą i inaczej podanego. Przede wszystkim jednak możliwe, że dużo bardziej niebezpieczne niż teraz.

Dlaczego? Koncern ruszył właśnie z projektem badawczym Ego4D. Ma on służyć uczeniu sztucznej inteligencji lepszego rozumienia świata widzianego z perspektywy pierwszej osoby. Dzięki temu urządzenia takie jak okulary do rze-

Nie wszystkie reakcje użytkowników mają dla algorytmu taką samą wartość. „Gniew” jest aż pięciokrotnie cenniejszą reakcją niż „lajk”.

czywistości rozszerzonej (AR) miałyby się stać równie przydatne w codziennym życiu, co smartfony. Nie przez przypadek Facebook we wrześniu wypuścił na rynek Ray-Ban Stories, czyli okulary rejestrujące dźwięk i obraz. Dzięki Ego4D i internetowi rzeczy mogłyby zyskać nowe funkcje, jak rozpoznawanie twarzy czy wyświetlanie przydatnych informacji, np. o tym, gdzie ich użytkownik zostawił klucze albo jak oceniana jest restauracja, na którą właśnie patrzy.

Apu Kapadia, badacz zajmujący się ochroną prywatności w sieci, opisując ten projekt na łamach „The Conversation”, zwraca uwagę, że budzi on wątpliwości, ponieważ ludzie przebywający w miejscach publicznych oczekują, że osoba robiąca zdjęcie wyraźnie da to do zrozumienia, choćby przez uniesienie smartfona podczas komponowania kadru. Tymczasem Facebook już dostaje ostrzeżenia, że sygnalizująca nagrywanie dioda w Ray-Ban Stories jest zbyt mało widoczna. Z niezależnych badań, na które powołuje się Kapadia, wynika, że obawy żywione także użytkownicy tego typu urządzeń – bo skoro okulary nagrywają wszystko, to co z sytuacjami intymnymi albo z wiadomościami czytany na ekranie telefonu? Naukowiec dodaje jeszcze jedno: zapominanie to naturalny mechanizm radzenia sobie z traumatycznymi przeżyciami i twórcy wspomagania rzeczywistości światem wirtualnym powinni także ten aspekt brać pod uwagę.

Innym ważnym elementem budowanego przez Zuckerberga metawersum jest zapewne własny portfel kryptowalut Facebooka. Program testowy cyberwaluty Novi ruszył w drugiej połowie października. Dwa dni później pojawiła się jednak nieoczekiwana przeszkoda: pięcioro senatorów zażądało od Zuckerberga natychmiastowego wstrzymania testów, gdyż „dotychczasowa zdolność Facebooka do zarządzania ryzykiem i zapewnienia bezpieczeństwa konsumentom

okazała się całkowicie niewystarczająca”, więc „Facebookowi nie można ufać w zarządzaniu kryptowalutą”, a koncern, rozpoczynając testy, działa „niezgodnie z rzeczywistym krajobrazem regulacji finansowych”. Senatorowie zapowiedzieli też skierowanie do organów regulacyjnych wniosków o kontrole firmy.

Jak na razie, reakcje Zuckerberga związane z możliwą zmianą nazwy marki przypominają nie tyle wspomniane działania Google’a, co posunięcie koncernu Philip Morris, który w 2003 r. przemianował się na Altria. Miało to odciąć przynajmniej część balastu związanego ze szkodliwością papierosów dla zdrowia, ale okazało się doskonałym posunięciem ze względu na inną posiadaną przez koncern markę: Kraft Foods. Wokół tego producenta żywności narastał właśnie skandal związany ze sprzedażą produktów szkodliwych dla zdrowia. „Chociaż zmiana marki na Altria nie usunęła negatywnych skojarzeń z tytoniem, pomogła ograniczyć wpływ Kraft na cały koncern” – komentowała w rozmowie z Reutersem Marisa Mulvihill, szefowa firmy doradczej Prophet. W jej przekonaniu ani media, ani organy regulacyjne nie przestaną badać skandali lub wprowadzać reform „tylko dlatego, że ktoś zmienia nazwę”. Podobnego zdania jest Natasha Jen, partner w Pentagram – jednej z największych firm zajmujących się komunikacją marek – która przypominała w tym kontekście, że „zaufanie to coś, na co trzeba zapracować”.

Wojna społecznościowa

Na kilkanaście tygodni przed wyborami w Indiach w 2019 r. naukowcy zatrudnieni przez Facebooka założyli w portalu fikcyjne konto, by lepiej zrozumieć, jak serwis działa na swoim największym rynku (ma tam 410 mln użytkowników). Profil miał należeć do 21-letniej kobiety mieszkającej na północy kraju. Celem wszystkiego, co w mediach społecznościowych najgorsze, stała się ona błyskawicznie. Zaczęło się od miękkiej pornografii. Dalej było tylko gorzej. Gdy wybuchły zamieszki w Kaszmirze – terytorium będącym przedmiotem sporu między Indiami i Pakistanem – konto fikcyjnej kobiety zostało dosłownie zalane rządową propagandą i antymuzułmańską mową nienawiści. Rekomendowane przez algorytm treści takie jak „300 psów zginęło, niech żyją Indie, śmierć Pakistanowi” czy zdjęcia okaleczonych ciał ofiar indyjskich →

→ nalotów, opatrzone uśmiechniętymi emotikonami, stały się normą. „W ciągu ostatnich trzech tygodni widziałem więcej zdjęć martwych ludzi niż przez całe dotychczasowe życie” – napisał jeden z autorów badania.

Ci sami badacze w tym samym czasie założyli jeszcze dwa konta. Jedno z nich należało do Karen Jones, fikcyjnej, liberalnej mieszkanki dużego miasta. Drugie do Carol Smith, fikcyjnej konserwatystki. Po kilku dniach obie zaczęły dostawać od Facebooka rekomendacje postów grających na skrajną polaryzację. Konto liberałki dostawało m.in. memy o „Moskiewskim Mitchu” (to przydomek, który zyskał republikański senator Mitch McConnell, gdy zablokował ustawy mające chronić kolejne wybory w USA przed zagranicznymi wpływami). Carol Smith algorytm polecał treści związane z urojonymi spiskami spod szyldu QAnon [patrz „TP” 39/2020; to wyznawcy tej teorii spiskowej stanowili znaczną część tłumu, który 6 stycznia 2021 r. zaatakował Kapitol].

Badacze z całego świata od lat alarmują, że media społecznościowe prowadzą do radykalizacji postaw i polaryzują społeczeństwa. Po głośnym skandalu związanym z Cambridge Analytica [patrz „TP”

16/2018] Facebook zapowiedział zmiany algorytmu mające zapobiegać m.in. politycznym manipulacjom. Odtąd użytkownicy mieli widzieć więcej treści publikowanych przez ich rodziny i znajomych, a mniej tych publikowanych przez partie, organizacje czy media. Niezależni badacze od razu zwrócili uwagę, że w takim podejściu kryje się krytyczny błąd – bo jeśli celem zmian ma być powstrzymanie dezinformacji, to odcięcie użytkownikom dostępu do rzetelnych informacji publikowanych przez oficjalne instytucje stanowi krok w tył. A badania, prowadzone zarówno na Facebooku i Twitterze, wyraźnie pokazywały, że to właśnie rodzina i znajomi częściej dzielą się fake newsami.

Na problemy wywołane przez algorytmy skarżyli się Facebookowi nawet politycy. „The Washington Post” opisał w zeszłym tygodniu wyniki badań, jakie koncern przeprowadził w Europie. Jego wysłannicy spotykali się z przedstawicielami partii politycznych, także w naszym kraju. Polscy politycy mieli się im skarżyć na to, że algorytmy zmuszają ich do publikacji coraz bardziej negatywnych przekazów, bo inne nie docierają do odbiorców. Nazwali sytuację „społecznościową

wojną domową”, nakręcającą polaryzację. Zlecone przez amerykański dziennik badanie potwierdziło, że publikowane przez polskie partie negatywne przekazy po 2018 r. częściej były udostępniane dalej przez użytkowników. Przed 2018 r. równie dobrze radziły sobie posty zawierające pozytywne treści.

Zmiana algorytmu doskonale sprzęgła się z innym udoskonaleniem w serwisie, pozwalającym reagować na posty nie tylko jednym uniwersalnym kciukiem w górę – „lubię to”, powszechnie zwanym „lajkiem” – ale także za pomocą pięciu ikon wyrażających miłość, śmiech, poruszenie, smutek bądź gniew (w 2020 r., na początku pandemii, dodano jeszcze ikonkę „trzymaj się”). Facebook nie ujawnia wartości, jakie jego algorytm przypisuje różnym rodzajom zaangażowania ani jak istotne dla pozycjonowania treści jest ponad 10 tys. „sygnałów”, które pozyskuje na podstawie aktywności użytkownika. Firma utrzymuje, że ujawnienie tego umożliwiłoby „złym podmiotom” manipulowanie systemem. Z wewnętrznych dokumentów ujawnionych przez Haugen wynika, że algorytmy opierają się na pozornie błahych kwestiach, takich jak długość i liczba komentarzy

Kalendarz przeprosin

Stałym elementem 17-letniej historii Facebooka są regularne, publiczne przeprosiny prezesa firmy za kolejne skandale i awantury wybuchające wokół koncernu.

■ **2003** Gdy wyszło na jaw, że pierwszy serwis Marka Zuckerberga, Facemash, wyciągał z wewnętrznej sieci Uniwersytetu Harvarda zdjęcia kobiet i pozwalał użytkownikom bez ich wiedzy porównywać ich atrakcyjność, nieznany jeszcze szerzej 19-latek pisał: „Nie chciałem, żeby tak wyszło i przepraszam za szkody wynikające z moich zaniedbań”.

■ **2006** Po stworzeniu News Feedu, który gromadził posty

wszystkich znajomych, wybuchła pierwsza afera o naruszanie prywatności użytkowników. Zuckerberg: „Naprawdę spapraliśmy sprawę, źle wyłumaczyliśmy nowe funkcje, a jeszcze gorzej poszło nam dawanie wam nad nimi kontroli”.

■ **2007** Po stworzeniu pierwszego systemu targetowanej reklamy Beacon prezes Facebooka napisał: „Źle się spisaliśmy i chcę za to przeprosić. Ludzie powinni być w stanie wybierać to, czym się dzielą”.

■ **2010** Po ujawnieniu luki umożliwiającej reklamodawcom pobieranie danych użytkowników: „Czasami działaliśmy za szybko. Dodaliśmy na kontrolowanie prywatności”.

■ **2011** Po ugodzie z Federalną Komisją Handlu w sprawie naruszania prywatności użytkowników: „Pierwszy przyznam, że popełniliśmy mnóstwo błędów”.

■ **2016** Gdy ruszyła fala krytyki w związku z rozpowszechnianiem politycznych fake newsów: „Uważam Facebooka za firmę technologiczną, ale rozumiem, że ponosimy odpowiedzialność nie tylko za tworzenie technologii”.

■ **2017** Po oskarżeniach o to, że Rosja wykorzystała Facebooka do ingerencji w amerykańskie wybory: „Głęboko troszczę się o proces demokratyczny i jego integralność (...) Jesteśmy zdeterminowani sprostać wyzwaniu”.

■ **2017** Gdy mimo powyższej deklaracji krytyka w związku z rosyjskimi działaniami na FB nie

ucichła: „Proszę o wybaczenie. Będę pracował nad tym, by być lepszym”.

■ **2018** Po ujawnieniu skandalu Cambridge Analytica: „Jesteśmy odpowiedzialni za ochronę waszych danych i jeśli nie potrafimy tego robić, to nie zasługujemy na to, by wam służyć”.

■ **2021** Po awarii, wskutek której przez sześć godzin Facebook, Messenger, Instagram i WhatsApp zniknęły z sieci: „Przepraszamy za dzisiejsze przerwy. Wiemy, w jakim stopniu polegacie na naszych usługach, by pozostać w kontakcie z ludźmi, na których wam zależy”.

■ **2021** Za zawartość ujawnionych w tym samym czasie przez Frances Haugen dokumentów Zuckerberg nie przeprosił.

© AK&WB

pod postem czy liczba pojawiających się w nich emotikonów. Im więcej reakcji, tym bardziej promowany post.

Ujawnione dokumenty świadczą jednak też o tym, że nie wszystkie reakcje mają taką samą wartość. „Gniew” jest aż pięciokrotnie cenniejszą reakcją niż „lajk”. Algorytm częściej wyświetla więc treści, które miały użytkowników rozgniewać, bo rozgniewany użytkownik chętniej przekazuje dalej to, co go oburzyło, i spędza na portalu więcej czasu, oglądając reklamy, na których Facebook zarabia.

„Facebook Files” ujawniają wewnętrzne notatki z przestrogiami pracowników serwisu, że to „otwiera drzwi do większej ilości spamu, naruszeń i clickbaitów”. Wewnętrzne badanie z 2019 r. potwierdzało, że posty wzbudzające najwięcej gniewnych reakcji w ogromnym stopniu zawierały dezinformację, toksyczne przekazy i wiadomości o niskiej jakości. Mimo to znaczących zmian raczej nie wprowadzono. W 2018 r. – jak wynika z dokumentów – szefstwo firmy martwiło się przede wszystkim tym, że użytkownicy portalu lajkują oraz publikują coraz mniej treści. Mark Zuckerberg miał być przekonany, że zmiany w działaniu algorytmów zaktywizują coraz bardziej obojętnych facebookowiczów.

Podczas ubiegłorocznych zeznań przed Kongresem Zuckerberg zapewniał, że firma automatycznie usuwa 94 proc. przypadków mowy nienawiści, zanim jeszcze zostaną zgłoszone przez użytkowników. W rzeczywistości badacze Facebooka szacowali, że usuwanych jest poniżej 5 proc. nienawistnych wpisów.

Jak przyciągnąć dzieci

„To skoordynowana próba wykorzystania wybiórczo udostępnianych dokumentów w celu stworzenia fałszywego obrazu naszej firmy” – miał przekonywać podczas spotkania z inwestorami Zuckerberg, zarzucając mediom, że zbyt lekko podchodzą do równowagi, jaką serwis musi zachowywać, chroniąc użytkowników przed szkodliwymi postami i jednocześnie dbając o wolność słowa. „Stwierdzenie, że nie rozwiązaliśmy tego niemożliwego do rozwiązania dylematu, bo jesteśmy skupieni na zarabianiu pieniędzy, brzmi doskonale w mediach. Wielokrotnie wzywałem do regulacji, które zapewniłyby jasność, ponieważ nie sądzę, że firmy same powinny podejmować tak wiele podobnych decyzji” – argumento-

LICZBY FACEBOOKA NA KONIEC WRZEŚNIA 2021 R.



2,91 mld

użytkowników

29 mld

Wpływy z trzeciego kwartału 2021

wzrost o 35%



1,3 mld

użytkowników

18,16 mld

Wpływy z ostatniego kwartału 2021

wzrost o 36,9%



2 mld

użytkowników

WhatsApp nie sprzedaje reklam

ŹRÓDŁO: SPRAWOZDANIE FINANSOWE FACEBOOKA,
PAŹDZIERNIK 2021 R. DANE W DOLARACH USA,
WZROSTY PODANE ROK DO ROKU

wał. Nie wiadomo, jak dokładnie tłumaczył inwestorom rozdźwięk między tym, co im deklarował wcześniej, a tym, co wynika z ujawnionych dokumentów. Na pewno atmosfery nie poprawił spadek kursu akcji firmy o ponad 11 proc. od początku października. Zwłaszcza że możliwości rozwoju wcale nie są świetlane.

Z dokumentów ujawnionych przez Haugen wynika, że gwałtownie ubywa użytkowników najcenniejszych dla reklamodawców. Badacze firmy szacują, że liczba korzystających z Facebooka nastolatków w USA w ciągu najbliższych lat spadnie nawet o 45 proc. Część przesiadnie się zapewne na należące do koncernu Zuckerberga Instagrama, ale ta aplikacja

nie jest nawet w przybliżeniu takim monopolistą jak Facebook, a jej pozycja jest zagrożona przez agresywnych konkurentów – Snapchata i TikToka. Do tego firma tak naprawdę nie wie, ilu ma realnych użytkowników. Okazuje się, że 56 proc. nowych kont na Facebooku zakładają osoby, które już miały inne konta. Populacja amerykańskich 20-latków na Facebooku przekracza dziś faktyczną liczbę 20-latków w USA. Jeśli wierzyć danym, konta na Instagramie ma 108 proc. amerykańskich i 132 proc. brytyjskich nastolatków.

Szukając nowych pól do rozwoju, pracownicy firmy w wewnętrznych notatkach rozważali nawet, jak przyciągnąć do portalu dzieci w wieku 10-12 lat. W ujawnionej przez „The Wall Street Journal” notatce takich użytkowników nazwano „cenną, ale niewykorzystaną publicznością”. Inna notatka sugeruje wykorzystanie *playdates*, czyli umówionych spotkań dzieci w celu wspólnej zabawy, jako sposobu napędzania wzrostu Facebooka.

Równie poważne konsekwencje co utrata użytkowników może mieć fakt, że marka Facebook staje się toksyczna wśród potencjalnych pracowników. Kiedyś imperium Zuckerberga było jednym z najbardziej pożądanych pracodawców w Dolinie Krzemowej. Jeszcze w 2018 r. firma mogła zatrudnić niemal każdego, kogo chciała. Według danych CNBC odsetek absolwentów najlepszych uczelni, którzy przyjmowali złożone im przez Facebooka oferty pracy, wynosił 85 proc. Teraz to zaledwie 35 proc., a Francis Haugen twierdzi, że firma realnie odczuwa brak rąk do pracy, który przekłada się na coraz mniejszą innowacyjność i na braki w obsadzie kluczowych zespołów. Takich jak te odpowiedzialne za walkę z fake newsami czy przestępczością.

Co z tym przełomem

Z opublikowanych właśnie najnowszych danych finansowych wynika, że Facebook w trzecim kwartale 2021 r. zarobił ponad 29 mld dolarów – o 35 proc. więcej niż w tym samym okresie ubiegłego roku. Przytłaczająca większość dochodów pochodziła z reklam docierających do 1,9 mld użytkowników, którzy korzystają z serwisu codziennie, i do 2,9 mld zaglądających tam co najmniej raz w miesiącu. Dla porównania, wszystkie wspólnoty chrześcijańskie świata łącznie około 2,5 mld wiernych.



→ Nie ma podobnych zbiorczych danych o tym, ilu ludzi ucierpiało wskutek działania algorytmów napędzających wzrost firmy. Dzięki wewnętrznym dokumentom i pracy organizacji pozarządowych wiadomo, że Mark Zuckerberg osobiście podjął decyzję o tym, że portal ugnie się pod naciskiem Komunistycznej Partii Wietnamu i będzie cenzurować posty opozycjonistów. Ta decyzja była warta miliard dolarów wpływów z tamtejszego rynku.

Mechanizmy Facebooka wykorzystywała także birmańska junta do napędzania przemocy wobec demokratycznych demonstrantów, a wcześniej do szerzenia nienawiści prowadzącej do ludobójstwa na Rohingach. Komisja ONZ zarzuciła Facebookowi współodpowiedzialność za śmierć co najmniej 25 tys. ludzi. Z ujawnionych właśnie dokumentów wynika, że plotki i fabrykacje nakręciły także spiralę przemocy w Etiopii, co przyczyniło się do wybuchu wojny do-

mowej. W Indiach posty posłużyły podżeganiu do antymuzułmańskich pogromów.

Portal stał się globalną siłą mającą realny wpływ na życie i śmierć ludzi na całym świecie, ale jego działania nie świadczą o tym, by poczuwał się do odpowiedzialności. Według wewnętrznych dokumentów firmy, aż 85 proc. wszystkich środków na moderację i eliminowanie szkodliwych treści kierowanych jest na walkę z mową nienawiści na rynku amerykańskim. Reszta świata musi radzić sobie sama, a z tej językowo-kulturowej luki chętnie korzystają – co także wynika z wewnętrznych badań – przestępcy, dyktatorzy i terroryści.

Po tym, jak zaczęły wyciekać „Facebook Files”, z nową siłą wróciła debata o tym, czy da się rozwiązać problemy, które generują giganci mediów społecznościowych. Tylko – jak to uczynić? Podzielić te firmy? A jaka by była wówczas pewność, że pięć mniejszych i zaciekle rywalizujących ze sobą serwisów nie wyrządzi jeszcze większych szkód? Więc może oddać je pod kontrolę państwa? Którego? Wietnamu czy Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa? I co wówczas z prawem własności? Nie ulega przecież wątpliwości, że media społecznościowe powstały dzięki pomysłom i ciężkiej pracy ich twórców.

A zatem może nałożyć zdecydowanie silniejsze regulacje prawne? Możliwe, że Amerykanie zdecydują się na zmianę obowiązującego jeszcze od prezydentury Billa Clintona Communications Decency Act, które zwalnia strony internetowe od odpowiedzialności za treści umieszczane przez użytkowników. Innym proponowanym podejściem jest zmuszenie gigantów technologicznych do ujawnienia algorytmów, które sterują ich działaniem, by niezależni badacze mogli potwierdzić, że nikomu one nie szkodzą. Jest też zamysł, by giganci musieli się dzielić zebranymi danymi.

Decyzje w dużej mierze zależą od użytkowników-obywateli: od tego, jak oni sami zareagują na ujawnione im właśnie wiadomości. I czy wiedząc o szkodliwości cyfrowego nałogu, nadal będą się mu oddawać.

Natomiast konkretne rozstrzygnięcia są w rękach polityków. A oni też są użytkownikami.

© AGATA KAŻMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI



ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. VINCENT F. HENDRICKS zajmuje się m.in. badaniami wpływu mediów społecznościowych na ludzi. Duński logik i filozof, założyciel Centrum Badań nad Bańkami Informacyjnymi Uniwersytetu Kopenhaskiego.

Zysk z demokracji

AGATA KAŻMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Czy „Facebook Files” cokolwiek zmienia? O szkodliwych efektach mediów społecznościowych mówi się od lat.

VINCENT F. HENDRICKS: Dotąd mówili o nich ludzie z zewnątrz. Francis Haugen zabiera głos jako ktoś ze środka. Pokazuje, że firma doskonale zdaje sobie sprawę ze szkód, że wprawdzie tworzyła inicjatywy, które miały zapobiegać negatywnym skutkom, ale kasowała je, bo szkodziły jej interesom. Teraz mamy na to dokumenty.

Co to zmienia?

Tego samego dnia, w którym Haugen miała zeznawać przed Kongresem, Instagram, Facebook i WhatsApp padły na sześć godzin. Ludzie nagle zdali sobie sprawę, że to bardzo delikatny system, który jednocześnie stanowi krytyczną infrastrukturę społeczną. I wymaga większej kontroli. Po raz pierwszy od lat

Republikanie i Demokraci zgadzają się w czymkolwiek.

A mają pomysły, jak to uregulować?

Część Kongresu chce zmian w obowiązującym od lat 90. prawie, które zwalnia strony internetowe od odpowiedzialności za treści umieszczane przez użytkowników. Unia Europejska wprowadziła RODO, dzięki któremu mamy jakiś rodzaj przejrzystości. Zapewne będziemy obserwowali mieszanek kilku podejść, obejmujących działania antymonopolowe i kwestie odpowiedzialności za treści, albo przynajmniej odpowiedzialności za algorytmy, które dobierają informacje pokazywane użytkownikom.

Pojawiły się głosy, że te algorytmy powinny być ujawnione.

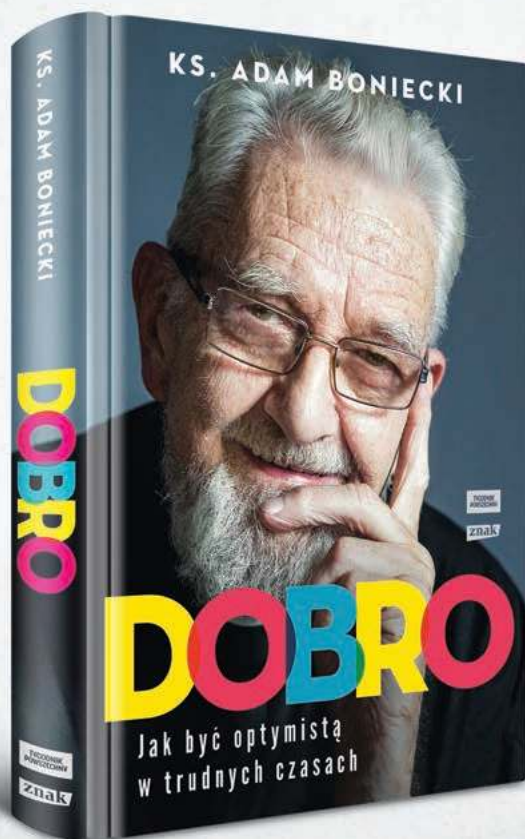
To trochę tak, jakby kazać Coca-Coli opublikować swoje receptury. Tyle że taka informacja niewiele powie użytkownikom. Problem jest większy, bo tak naprawdę cała infrastruktura, na której opiera się nasza przestrzeń publiczna, jest dziś w prywatnych rękach. A to tam żyje demokracja. Nikt nie powinien jej monetyzować ani mieć w niej przywilejów, których nie mają inni obywatele.

Rozbicie Facebooka jest dobrym wyjściem?

Nie sądzę, żeby doszło do podziału na zasadzie „tu jest Instagram, tu jest Facebook, tu jest WhatsApp, to teraz osobne firmy”. Wymaga to innego podejścia. Można wydzielić Facebook News, firmę obsługującą mobilne płatności oraz firmę, która zajmuje się komunikacją między ludźmi. Dobry podział to podział według modeli biznesowych. ©

Najnowsza książka księdza Adama Bonieckiego.

Głos rozsądku w twoim domu.



- Jak ze sobą rozmawiać mimo różnic?
- Jak odnaleźć spokój i harmonię w pocovidowej rzeczywistości?
- Czego w dobie kryzysu klimatycznego naucza nas Ewangelia?
- Jak rysuje się przyszłość polskiego Kościoła?
- Co z nami robią media społecznościowe?

PREMIERA JUŻ W LISTOPADZIE

Zamów w przedsprzedaży na stronie
www.znak.com.pl

znak

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński,
Marek Rąbi, Mariusz Sepiolo, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Piciak (kierownik),
Historia: Wojciech Piciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczyńska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomątkowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszać,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOŻA

S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Córki Lota



AZ ME HOT TECHTER, FARGEJT DER GELECHTER (jid. dosł. „Kiedy się ma córki, przechodzi śmiech”) – cytował stare żydowskie porzekadło Tewje Mleczarz, obdarzony w „Skrzypku na dachu” pięcioma żeńskimi potomkiniami. Wygląda na to, że

Lot – bratanek Praojca Abrahama – miał podobną sytuację rodzinną. Aniołowie wyprowadzili ojca z dwiema córkami z mającej ulec zniszczeniu Sodomy. Żona Lota – według midraszu – spojrzła za siebie, by sprawdzić, czy miasto opuszcza także jej zamężne latorośle. Niestety, ich mężowie nie potraktowali poważnie słów teścia o mającej nastąpić zagładzie (zob. Rdz 19, 14 – Biblia Tysiąclecia sugeruje, że Lot rozmawiał z narzeczonymi ostatecznie ocalonych córek, ale oryginał tego nie potwierdza).

Midrasz opowiada o jeszcze jednej córce Lota, zdradzając nam jej imię: Paltit. Dziewczę to – wbrew zasadom panującym w Sodomie – wynosiło w dzbanie na wodę chleb, by karmić głodnego biedaka. Gdy postępowanie Paltit wyszło na jaw, została żywcem spalona. W 18, 21 mamy „jej krzyk” (skazanej dziewczyny, by Najwyższy oddał jej sprawiedliwość), a poprzedni wers mówi o „wołaniu Sodomy i Gomory” oraz „ich grzechu”, stąd potrzeba wyjaśnienia liczby pojedynczej – z wersji Biblii Tysiąclecia niestety tego nie wyłuskamy.

Pewnie niekoniecznie spytamy, gdzie był wówczas ojciec Paltit, gdyż opowieść o jej godnych sławienia czynach jest jednym z elementów uzasadnienia Bożej kary wymierzonej grzesznym miastom i Lot służy tu jedynie za punkt zaczepienia. Inaczej jest w czystym przekazie biblijnym, gdzie postępowanie Abrahamowego bratanka wobec swoich córek napawa zgrozą. Kiedy zgromadzeni przed domem Lota mieszkańcy Sodomy żądają wyprowadzenia na zewnątrz jego gości, przechodzą mu przez gardło takie słowa: „Otóż mam dwie córki, które nie poznały męża, wyprowadzę je raczej do was, a czynicie z nimi co najlepszym w oczach waszych; a tylko mężom tym nie czynicie nic, ponieważ weszli pod cień dachu mojego” (19, 8; Cylkow).

Skręca mnie, gdy jako komentarz do tego wersu widzę pochwałę Lota, który nauczył się od swego wuja gościnności i „tak jak Mojżesz oddał swoje życie za lud, tak Lot oddał swoje dwie córki za dwóch aniołów”. Już łatwiej znieść popularne do dziś obwinianie ofiar („bo miała za krótką spódniczkę”): córki Lota – choć dziewice – były takie i owakie, jak gdyby interpretator insynuował, że trochę im się należało. Szczęśliwie są też głosy – choć odległe od nas o nieomal tysiąclecie – nieszukające usprawiedliwień dla Lota, tylko oceniające jego postępowanie wobec córek z całą stanowczością. A nawet upatrujące w tym, co zaszło potem w jaskini między córkami a upitym Lotem, bezpośredniej konsekwencji traumy z Sodomy. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Módlmy się do Hanika



„JEŚLI WIDZI PAN KOGOŚ – MÓWI PEWIEN minister – kto nielegalnie przekracza granicę, to jasne, że metoda *push back* musi być zastosowana”. Spróbujmy jednak to zdanie powiedzieć całkiem po polsku: „Jeśli widzi pan kogoś, kto nielegalnie prze-

kracza granicę, to jasne, że metoda wypychania musi być zastosowana”. Czyżby minister nie wiedział, w co trudno uwierzyć, że uchodźców, choćby tylko na mocy prawa, nie tylko nie możemy odpychać i przepychać z powrotem za granicę, ale musimy przyjąć. Po co ów minister oszpeca nasz język nowym makaronizmem, nietrudno się domyśleć.

Prawie 3 tysiące lat temu prorok Eliasza, na polecenie Boga, wybrał się do fenickiej Sarepty, od dłuższego czasu cierpiącej głód z powodu suszy. „Kiedy wchodził do bramy miasta, pewna wdowa zbierała drwa. Zwrócił się do niej: »Przynieś mi, proszę, w kubku trochę wody do picia (...) Proszę jeszcze o kromkę chleba«. Wdowa odpowiedziała: »Nie mam już nic do jedzenia! Zostało mi tylko trochę oliwy w baryłce i garść mąki w dzbanie. Właśnie zbieram kilka drewniaków, aby przygotować posiłek sobie i mojemu synowi. Zjemy go, a potem umrzemy”. A Eliasza na to: „Nie bój się! Idź i zrób, jak powiedziałaś. (...) Tak bowiem mówi Pan, Bóg Izraela: »Nie skończy się mąka w dzbanie ani nie braknie oliwy w baryłce aż do dnia, w którym Pan zesle deszcz na ziemię«. (...) Odtąd Eliasza oraz kobieta i jej rodzina codziennie mieli co jeść”.

Mieszkanka Sarepty nie miała żadnego powodu, żeby uwierzyć zapewnieniom Eliasza, a tym bardziej pomagać, narażając siebie i syna na niechybną śmierć. Po 30 latach od tamtego wydarzenia w Katowicach 30 grudnia 1942 r., na skutek donosu, z wyroku sądu Rzeszy, zostali ścięci na gilotynie ks. Jan Macha, kleryk Joachim Gürtler i Leon Rydrych. Zostali ukarani za „zdradę stanu”, w rzeczywistości za działalność charytatywną. W liście pożegnalnym do rodziny ks. Macha napisał: „Pogrzebu mieć nie mogę, ale urządzić mi na cmentarzu ciche zakątek, żeby od czasu do czasu ktoś o mnie wspomniał i zmówił za mnie »Ojcie nasz«”. Umieram z czystym sumieniem. Żyłem krótko, lecz uważam, że swój cel osiągnąłem. Nie rozpaczajcie! Wszystko będzie dobrze. Bez jednego drzewa las lasem zostanie. Bez jednej jaskółki wiosna też zawita, a bez jednego człowieka świat się nie zawali. (...) Pozostało mi bardzo mało czasu. Może jeszcze jakie trzy godziny, a więc do widzenia! Pozostańcie z Bogiem. Módlcie się za waszego Hanika”.

Miłość prawdziwa „jest konkretna”, mówi Franciszek. Za Biblią trzeba dodać, że mocniejsza od śmierci. 20 listopada usłyszymy: „Błogosławiony Janie Macho, módl się za nami”. Ale o co? Czy tylko o „potrzebne nam łaski”? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Wewnątrz Bożego spojrzenia

Gniew niweczy wiedzę,
wielkoduszność
zaś ją gromadzi.

EWAGRIUSZ Z PONTU



Wybijaj monetę
z każdego błędu.

LUDWIG WITTGENSTEIN



„NIE JESTEŚCIE JUŻ obcymi i przybyszami, ale jesteście współobywatelami świętych i domownikami Boga” – pisze św. Paweł do Efezjan (liturgia przypomniała nam te słowa w święto apostołów Szymona i Judy Tadeusza; zob. Ef 2, 19). Słowa te próbują najpierw oddać to, w jaki sposób „widzi” ludzi Bóg. Otóż dla Boga nikt przede wszystkim nie jest „obcy” (greckie: *xénos*). Nie jest także (gr.) *pároikos*, co można tłumaczyć jako „przybysz”, ale również (dosłownie) „sąsiad” – ten, który mieszka / ma dom (*oikos*) blisko (*pará*).

Otóż właśnie: Bóg nie tylko nie potrafi nikogo traktować jako „obcego”; nie zadowala Go również nawet najbliższe „sąsiedztwo” z jakimkolwiek człowiekiem. Nie! Bóg każdego chce widzieć jako swojego domownika. Nie chce / nie potrafi pogodzić się z tym, że ktoś żyje „obok” Niego – nawet blisko, ale jednak „obok”. Jesteśmy Jego rodziną. Każdy z nas ma miejsce w Jego Domu.

Co więcej, dwa wersety dalej Paweł pisze, że Bóg pragnie również mieszkać w nas: „i wy także wznosicie się we wspólnym budowaniu, by stanowić mieszkanie Boga przez Ducha” (Ef 2, 21). A więc z jednej strony oferuje nam swój dom na zamieszkanie, z drugiej widzi nas jako najpiękniejsze i najbardziej odpowiednie mieszkanie dla siebie.

To dotyczy każdego – Paweł pisze do wchodzących do Kościoła pogan; i pisze to nie tylko w imieniu Pana Boga, ale również w imieniu Kościoła – w imieniu ludzi, którzy od dawna doń należą. Wierząc mocno, że nie tylko Pan, ale również oni zobaczą braci z pogaństwa w ten właśnie – Boży sposób. Że nie potrafią już myśleć o nich jak o „obcych”, i że nie zadowolą się jedynie ich „sąsiedztwem” i – konsekwentnie – ich nie tyle „bycie”, co wzajemne „bywanie” (sąsiedzkie) od czasu do czasu u siebie.

Czy ten fragment Objawienia, zapisany ręką Apostoła Narodów, potrafi zdyscyplinować także nasz wzrok? Czy potrafi oczyścić i uzdrowić nasze widzenie ludzi żyjących obok?

Czy uda nam się wreszcie w tych, których najchętniej uznajemy za „obcych” – zobaczyć kogoś, kto należy do domowników Boga, i kogoś, w kim sam Bóg mieszka?

Czy Pawłowa deklaracja: „nie jesteście obcymi i przybyszami, ale domownikami” oddaje w prawdzie i dyscyplinuje nasze (tzn. dzisiejszego Kościoła) odniesienie do „obcych”?

Ci, którzy się ze swym wzrokiem odnajdą w widzeniu Boga, są zaiste – mówi Paweł – święci. Jest oznaką prawdziwej świętości uznać współobywatela w przybytku. Współobywatela – a więc kogoś, kto ma równe z Tobą prawa, głos i zakres odpowiedzialności.

©

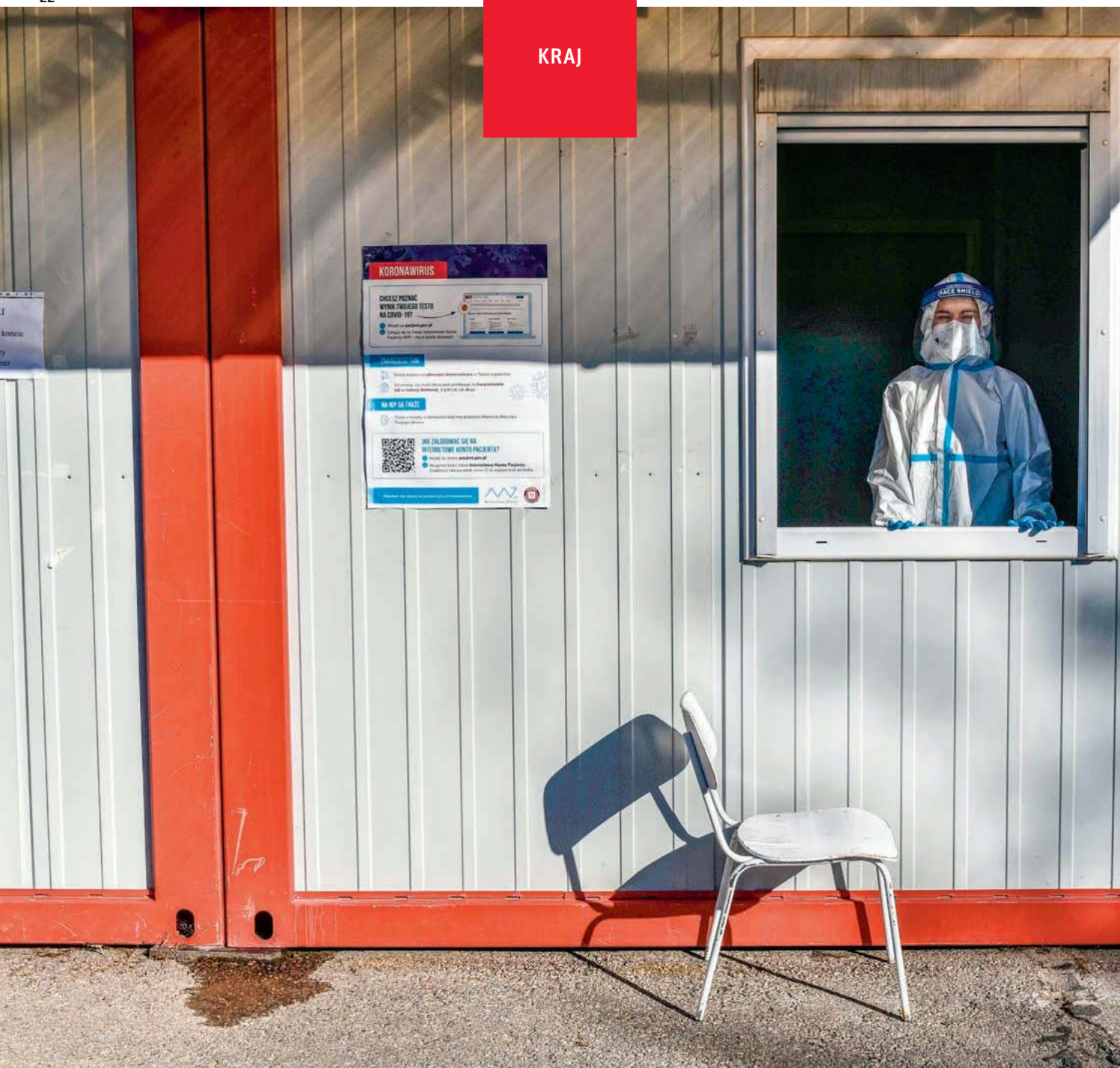
CZYTANIA LITURGICZNE (7 – 14 XI)

32. niedziela zwykła: 1 Krl 17, 10-16;
Ps 146; Hbr 9, 24-28; Mk 12, 38-44;
Poniedziałek: Mdr 1, 1-7; Ps 139; Łk 17, 1-6;
Wtorek: Ez 47, 1. 23-27a;
Ps 46; 1 Kor 3, 9b-11a. 16-17; J 2, 13-22;
Środa: Mdr 6, 1-11; Ps 82; Łk 17, 11-19;

Czwartek: Mdr 7, 22 – 8, 1; Ps 119; Łk 17, 20-25;
Piątek: Mdr 13, 1-9; Ps 19; Łk 17, 26-37;
Sobota: Mdr 18, 14-16. 19, 6-9;
Ps 105; Łk 18, 1-8;
33. niedziela zwykła: Dn 12, 1-3;
Ps 16; Hbr 10, 11-14. 18; Mk 13, 24-32.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ



JAKOŚ TO BĘDZIE

Czwarta fala pandemii uderza w nieprzygotowany i jak zwykle zarządzany po partyzancku system ochrony zdrowia.

MACIEJ MÜLLER



*Punkt wykonywania testów
na COVID-19 przy Wojewódzkim Szpitalu
Specjalistycznym im. Stefana Kardynała
Wyszyńskiego w Lublinie,
25 października 2021 r.*

w województwach podlaskim i lubelskim. Ale Jankowski nie ma wątpliwości: to kwestia czasu, by kryzys związany z czwartą falą pandemiczną rozlał się na cały kraj.

Niedoszacowanie

20 października liczba raportowanych zakażeń SARS-CoV-2 skokowo wzrosła do 5559, a minister zdrowia Adam Niedzielski ocenił, że to „eksplozja pandemii”. Kiedy zamykamy ten numer „TP”, liczba zakażonych sięga 8,4 tys. Liczby te niewiele mówią o realnej wysokości fali: eksperci radzą mnożyć je przez 5, inni nawet przez 8. W Polsce przeprowadza się bowiem bardzo mało testów na obecność koronawirusa. Dziennie raportuje się ich w ostatnich tygodniach 40-60 tys. Wykonując 1,15 testu na tysiąc mieszkańców, jesteśmy w ogonie Europy: wskaźnik ten dla Bułgarii wynosi – 3,4, dla Francji – 4,6, dla Austrii – 36,6.

– Oficjalne dane nie odzwierciedlają poziomu transmisji wirusa w populacji – mówi Rafał Halik, epidemiolog i specjalista zdrowia publicznego z Zakładu Monitorowania i Analiz Stanu Zdrowia Ludności NIZP-PZH. – Wynika to ze strategii testowania, które jest właściwie wyrywkowe, stosowane u pacjentów ostro przechodzących infekcję albo podczas przyjęć do szpitali czy w ogniskach epidemicznych. Ponadto wiele osób zaszczepionych nie chce się testować. Uważają, że nie po to się kłuli, by teraz, w razie pozytywnego wyniku, trafić na izolację.

– Z pewnością możemy mówić o niedoszacowaniu – zgadza się Tadeusz Jędrzejczyk, dyrektor Departamentu Zdrowia Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego, lekarz, prezes Centrali NFZ w latach 2014-16. Zarazem uważa, że potencjał obecnej fali jest niższy niż poprzednich. – Połowa populacji jest zaszczepiona, w przypadku osób starszych ten poziom jest jeszcze wyższy – tłumaczy. – Znakomita większość ozdrowieńców osiągnęła także odporność „naturalną”, co nawet wobec nowych mutacji zapewni ochronę dzięki zjawisku odporności krzyżowej.

Kształt fali

Czwarta fala będzie więc zapewne niższa, ale może za to dłużej potrwać. Tak Rafał Halik odczytuje prognozy Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego UW (ICM). – Fala będzie miała długi, powoli opadający szczyt. Może jednak się pojawić jakiś *game changer*, np. kolejny wariant koronawirusa, co jest prawdopodobne, jeśli się weźmie pod uwagę jego biologię – mówi epidemiolog. – Na kształt fali ma też wpływ poziom odporności populacyjnej. Według raportów OBSERCO (Ogólnopolskiego Badania Seroepidemiologicznego) przeciwciała anty-SARS-CoV-2 ma połowa mieszkańców Polski w wieku powyżej 20 lat. Odsetek ten kształtuje się od 36,4 proc. w grupie wiekowej 20-39 lat, aż do 82,7 proc. wśród osób 70+. Ta odporność jednak będzie się zmniejszać z czasem, co też wpłynie na kształt fali.

Halik doradza ostrożność w porównywaniu obecnej sytuacji do tej sprzed roku. – Ta fala wiąże się z zupełnie innymi uwarunkowaniami epidemiologicznymi z powodu dominacji wariantu Delta. Do tego dochodzą zjawiska psychologiczne i socjologiczne, jak zmęczenie epidemią, niechęć do przestrzegania zasad sanitarnych czy skłonność zaszczepionych do bagatelizowania ryzyka infekcji.

Delta

Europę atakuje dziś głównie wariant Delta koronawirusa SARS-CoV-2, wykryty pierwotnie w Indiach. Jego cechy, przede wszystkim ogromna zakaźność, spowodowały, że w ciągu kilku miesięcy zdominował poprzednie warianty.

Kogo atakuje Delta? – Znaczna część populacji, zwłaszcza starszej, która była bardziej podatna na infekcję, jest obecnie zaszczepiona. Dzisiaj chorują w większym stopniu młodszy, ze słabiej wyszczepionych roczników, a także dzieci – mówi dr hab. Wojciech Feleszko, immunolog, pediatra i specjalista chorób płuc z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – Przy pierwszych dwóch falach były one izolowane w domach, a w tej chwili wszystko puszczono na żywioł: otwarto przedszkola i szkoły, a władze nie ustaliły klarownych reguł sanitarnych. Skutek był łatwy do przewidzenia. Co ciekawe, jak dotąd w krajach o dużym stopniu zaszczepienia wysoka liczba zakażeń nie przekładała się na znaczący ↗

W CIĄGU OSTATNIEJ DOBY DR ŁUKASZ Jankowski, prezes warszawskiej Okręgowej Izby Lekarskiej, odebrał trzy telefony z prośbą o pomoc na oddziałach covidowych. Wszędzie brakuje ludzi. Zdarza się, że karetki wożą pacjentów od placówki do placówki, nie znajdując dla nich miejsca. Sytuacja na Mazowszu jeszcze nie jest krytyczna: region ten dysponuje największą bazą szpitali w kraju, a do ponad jednej trzeciej nowych infekcji koronawirusem wciąż dochodzi

→ wzrost liczby zgonów. W Polsce jednak może być inaczej, gdyż zaszczepiła się niewiele ponad połowa populacji, a to zdecydowanie za mało. Nadal więc umierać będą w Polsce i starsi, i młodszy, ale wyłącznie ci, którzy nie skorzystali ze szczepienia. W moim szpitalu przez półtora miesiąca walczył o życie 15-latek z Podlasia. Dzięki nadludzkiemu wysiłkowi lekarzy udało mu się opuścić OIOM, ale jego płuca, zniszczone przez wirusa, prawdopodobnie nigdy już nie umożliwią mu cieszenia się sportem czy turystyką. Jego rodzina „obawiała się szczepionki”...

Trzydziesta dawka

Do końca października pełny schemat szczepień przeciw covid przyjęło ok. 53 proc. Polaków. Daleko nam do Niemiec (66 proc.), Włoch (71 proc.) czy europejskiej rekordzistki Portugalii (87 proc.). Żeby ten wynik nieco podbić, politycy lubią do liczby zaszczepionych dodawać ozdrowieńców. Jest to jednak zabieg karłowaty. – Wielu ozdrowieńców z pierwszej fali w 2020 r. ma najprawdopodobniej bardzo słabą odporność – mówi Rafał Halik. – W modelach matematycznych spotkałem się z założeniem, że poziom odporności spada w tempie 5 proc. wartości początkowej na miesiąc. W Rumunii jest bardzo dużo ozdrowieńców, a odsetek zaszczepionych wynosi 30,2 proc. A jednak czwarta fala niemal zupełnie zablokowała system ochrony zdrowia.

Na ile więc zabezpieczają nas szczepienia? – Przyjęcie nawet jednej dawki lub przechorowanie covidu wytwarza odporność na zakażenie i niemal eliminuje ryzyko wystąpienia powikłań – tłumaczy dr hab. Feleszko. – Taki zaszczepiony organizm jest w stanie zlikwidować wirusa we wczesnym etapie zakażenia. Patogen albo nie jest w stanie zagnieździć się w drogach oddechowych, albo, jak wariant Delta, może częściowo przełamać odporność po jednej lub dwóch dawkach, i zacząć się namnażać w górnych drogach oddechowych. Wówczas pojawiają się objawy przypominające przeziębienie lub grypę, ale nie dochodzi do powikłań w płucach i innych narządach, nie ma ryzyka wystąpienia zakrzepów.

Pojawienie się Deltę zmieniło reguły gry w kwestii odporności. Dr hab. Feleszko: – W czasie, kiedy opracowywano szczepienia przeciw covid, badania kliniczne wykazywały ich skuteczność na

Ministerstwo Zdrowia
nie korzysta z oczywistej,
wydawałoby się, okazji,
by za pomocą danych
epidemicznych dowodzić
skuteczności szczepień.

poziomie 96-97 proc., co oznacza, że taki odsetek zaszczepionej populacji był odporny na zakażenie. Kilku procentowa grupa mogła więc ulec infekcji, ale w ich przypadku nie kończyła się ona ciężkim przebiegiem choroby. Okazało się jednak, że odporność z biegiem czasu się zmniejsza. Tymczasem wariant Delta jest nie tylko bardziej zakaźny, ale potrafi, jak w przypadku trenera Paolo Sousy, przełamywać odporność poszczepienną, ochrona po dwóch dawkach szczepionki sięga zaledwie 75 proc. Ale znowu: nie przekłada się to na ciężkie powikłania i zgony. Według piśmiennictwa naukowego pacjenci hospitalizowani i umierający to w 99 proc. ludzie niezaszczepieni.

Wiele wątpliwości dotyczy tego, jak długo trwa odporność. W internecie powstają memy o dziesiątej i trzydziestej dawce szczepionki. – Po zetknięciu się z wirusem lub szczepionką, która imituje sytuację zakażenia, w naszym układzie odpornościowym na lata zostają tzw. komórki pamięci – tłumaczy specjalista. – Po epidemii SARS w 2003 r., kiedy testowano pierwsze szczepionki mRNA, komórki pamięci wykrywano nawet po 10 latach. Sądzono więc, że odporność jest trwała. Teraz jednak, kiedy mamy możliwość obserwacji bardzo dużych populacji, okazało się, że spostrzeżenia laboratoryjne nie pokrywają się z klinicznymi. Innymi słowy: nawet po dwóch dawkach szczepionki i przy wykrytych przeciwciałach nadal u części osób dochodzi do zakażenia. Trzecią dawkę zdecydowano się podawać z tego względu, że poziom odporności populacyjnej był wciąż niewystarczający, by powstrzymać namnażanie się wirusa. Nie mam żadnych wątpliwości natury medycznej co do podawania trzeciej dawki szczepień.

Mobilizacja zasobów

Na codziennie publikowanych przez MZ w internecie niebieskich planszach liczba łóżek dla chorych na covid rośnie w miarę

potrzeb. Scenariusz rumuński zdaje się nam nie grozić. A jak to wygląda w realu?

– W niektórych placówkach oddziały internistyczne samoistnie przekształcają się w covidowe; po prostu przywożeni są tam zakażeni pacjenci, innych trzeba izolować – opisuje dr Łukasz Jankowski z warszawskiej izby lekarskiej. – W skali województwa mazowieckiego to na razie kilka przypadków, ale one świadczą o tym, że koordynacja przepływu chorych między placówkami działa słabo i że dla pacjentów przewidziano za mało łóżek.

Zwiększanie puli łóżek covidowych to niebagatelna operacja logistyczna. Utworzenie oddziału wymaga przesunięcia gdzie indziej np. interny, co wywołuje kaskadę kolejnych przesunięć: ortopedia zabiera łóżka chirurgii itd. Niedostępna staje się część sprzętu. Zaczynają się sypać terminy zabiegów planowych.

– Sposób mobilizacji zasobów na potrzeby rosnącej liczby pacjentów praktycznie się nie zmienił od poprzednich fal pandemicznych – uważa Tadeusz Jędrzejczyk. – Oznacza to, że w rejonach najbardziej dotkniętych, szczególnie w województwie lubelskim, leczenie pacjentów z covidem odbywa się kosztem innych. Tego zaś, po doświadczeniach z poprzedniej jesieni i wiosny, można było uniknąć. W części kraju już doszło do „zatkania się” systemu ochrony zdrowia. Scenariusz, według którego problem ten rozszerzy się na kolejne obszary, jest niemal pewny.

A jak wygląda raportowanie dla ministerstwa? – Podczas trzeciej fali na oddział, w którym pracowałem, zadzwonił pan z urzędu wojewódzkiego i spytał, ile mamy łóżek – wspomina dr Łukasz Jankowski. – Usłyszał: „Osiem, ale na podjazdach stoją już cztery karetki”. „Dobrze, wpisuję osiem”, padła odpowiedź.

Plansze z algorytmem

Polska nie dysponuje systemem, który pokazywałby w czasie rzeczywistym liczbę wolnych łóżek albo śledził drogę pacjenta, tak jak to ma miejsce w ruchu lotniczym. A wyzwania koordynacyjne bywają jeszcze bardziej skomplikowane. Jankowski: – Gdzie np. znaleźć oddział kardiologiczny dla zakażonego koronawirusem pacjenta, który ma przełom nadciśnieniowy? Przesłanie się systemu na walkę z covidem oznacza dla chorych tułanie się bez gwarancji, że zostaną gdzieś przyjęci. Pamiętam z czasu poprzedniej fali młodego pacjenta, który

wymagał kolonoskopii i trafił ostatecznie z Warszawy do Szczecina. A nie mówimy przecież o badaniach z wyższej półki, tylko takich podstawowych dla diagnostyki. Ponadto za wiele świadczeń pacjenci muszą płacić z własnej kieszeni, bo system publiczny nie jest w stanie ich zapewnić.

– Lekarze pracujący w szpitalach nie-covidowych żyją w ciągłym napięciu, bo nie wiedzą, czy ich placówka jest przewidziana do przekształcenia – mówi Jankowski. – Ale to nie wszystko: względnie spokojnego czasu między falami nie wykorzystano również na przeszkolenie personelu. Uznano, że doświadczenia poprzednich fal wystarczą. A to błąd, bo np. wciąż zmieniają się wytyczne dotyczące leczenia. Koledzy z Włoch mają w swoich szpitalach plansze ze schematami działań w zależności od tego, w której dobie choroby jest pacjent, w jakim stanie, jakie ma choroby współistniejące. To pozwala podejmować szybkie decyzje. Chodzi po prostu o wystandaryzowanie leczenia. W Polsce decydują o nim doświadczenia danego ośrodka i dostępność leków.

Inni eksperci zwracają uwagę, że chodzi tu nie tylko o kwestie medyczne. Lekarze czy pielęgniarki np. z oddziałów pediatricznych czy ortopedycznych, na co dzień nie stykający się z ciężko chorymi i umierającymi pacjentami, po pracy na oddziałach covidowych przeżywają nawet załamania psychiczne.

Jankowski obserwuje wśród lekarzy narastające zniechęcenie. – Jej przyczyny to mizéria systemowa, nieustannie zmieniane zalecenia, brak szacunku ze strony rządzących, groźby, że zostaniemy wykreśleni z listy wolnych zawodów – wymienia. – W efekcie wielu stwierdziło, że ma tego dosyć i zaczęło odchodzić ze szpitali. Stracili dodatki covidowe, ale uwolnili się od nieustannego napięcia. Przyczyną kryzysu kadrowego jest nie tylko niedofinansowanie ochrony zdrowia, ale panująca w niej atmosfera. Kiedy 22 października Naczelna Rada Lekarska zaapelowała, żeby lekarze nie pracowali dłużej niż 48 godzin tygodniowo, minister Niedzielski uznał to za przejaw braku odpowiedzialności.

Fasada

Obecnie w Polsce działa 16 szpitali tymczasowych, a minister Niedzielski zapewnia, że „w gotowości jest 7 szpitali pasywnych” (czyli gotowych w każdej chwili do

przekształcenia się w covidowe). Łukasz Jankowski patrzy na to krytycznie. – Odpowiedzią na wyzwania pandemii jest raczej takie rozwiązanie, jak szpital modułowy postawiony w pobliżu Wojskowego Instytutu Medycznego na Szaserów – mówi. – Korzysta on z istniejącej infrastruktury tlenowej, a do szpitali tymczasowych tlen trzeba dowozić w butlach. W szpitalu modułowym jest sala operacyjna, dostęp do wszystkich specjalistów, do diagnostyki. Jeśli trafi się pacjent z zapaleniem wyrostka, można go operować. A w szpitalu tymczasowym nie ma dostępu do chirurgii. Jeśli szpital modułowy można było wybudować w osiem tygodni, dlaczego nie zdecydowano o pójściu w tym kierunku w skali kraju?

Jankowski negatywnie ocenia całą strategię antyepidemiczną państwa. – W postępowaniu władz widzę ostrożność, by nie narażać się pewnym grupom wyborców. Narodowy Program Szczepień okazał się niewypałem. Nie tylko nie osiągnęliśmy odporności populacyjnej, ale w niektórych regionach, jak w Lubelskiem, poziom wyszczepialności jest krytycznie niski.

Według Tadeusza Jędrzejczyka wciąż jednak warto myśleć o zdecydowanych zachętach do szczepień. – Choć efekt i tak pojawi się dopiero przy naturalnym opadnięciu fali, ale akcja szczepień przyspieszy ten proces i zmniejszy liczbę zachorowań endemicznych, już po jej wygaśnięciu. Także egzekucja obostrzeń sanitarnych jest już spóźniona i nie zapobiegnie zablokowaniu się szpitali. Innymi słowy: brak działań sprawi, że liczba ofiar będzie liczona w tysiącach przedwczesnych zgonów, których moglibyśmy uniknąć.

A ilu ludzi może uśmiercić czwarta fala? – Według jednej ze scenariuszowych prognoz ICM od października do lutego 2022 r. nastąpi wzrost zgonów według najbardziej optymistycznego wariantu o 9 tys., a najbardziej pesymistycznego: o 34 tys. – mówi Rafał Halik. – Według tego modelu w szczycie fali może być nawet ponad 28 tys. hospitalizowanych, a najlepszym przypadku 12 tys.

Maseczka na cmentarzu

Łukasz Jankowski zauważa, że narracja władzy skupia się na kwestii karania, np. za brak maseczek, tymczasem niespójna jest cała strategia informacyjna: – Nie podaje się, ilu jest zaszczepionych i niezaszczepionych wśród hospitalizowanych.

Istotnie, Ministerstwo Zdrowia nie korzysta z oczywistej, wydawałoby się, okazji, by za pomocą danych epidemicznych dowodzić skuteczności szczepień. W nieregularnych odstępach czasu na ministerialnym Twitterze pojawiają się tylko chaotycznie dobierane dane, takie jak te z 22 października: „Zaledwie 0,17 proc. w pełni zaszczepionych zostało zakażonych”, „Wśród wszystkich zgonów osób zakażonych koronawirusem 2,19 proc. stanowiły osoby zaszczepione”. Według Rafała Halika takie informacje są zbyt wyrywkowe: do analizy potrzebne są pełne dane, zawierające przekroje płci, wieku itd.

Nietrudno o inne przykłady niespójności informacyjnej. 25 października prof. Andrzej Horban, główny doradca premiera ds. COVID-19, powiedział w radiowej „Trójce” (cytat dosłowny): „Cmentarze zwykle są na świeżym powietrzu. Jeżeli będziemy przestrzegali zasad [zachowania odstępów] 1,5-2 m od siebie, to nawet nie jesteśmy entuzjastami noszenia masek na świeżym powietrzu”. 27 października minister zdrowia Adam Niedzielski podczas konferencji prasowej ogłosił: „Apeluję do wszystkich, aby (...) stosować maseczki również na cmentarzach. (...) Liczba ludzi, którzy pojawiają się w miejscach pamięci, jest bardzo duża, pojawia się tłok, trudno o zachowanie dystansu”.

Czego jeszcze zaniechał rząd? Np. prac nad przepisami umożliwiającymi pracodawcom sprawdzenie, czy ich pracownicy się zaszczepili. Nie wprowadzono też obowiązku legitymowania się w punktach usługowych, kinach czy restauracjach tzw. paszportami covidowymi, czyli elektronicznymi potwierdzeniami przebytego szczepienia lub aktualnego testu na covid. We Francji dzień po tym, jak zapowiedziano ich wprowadzenie, na szczepienie zapisał się prawie milion chętnych.

Nawet Ministerstwo Zdrowia nie ukrywa, że poprzednie fale pandemiczne spowodowały ogromne w skali kraju zaniedbania w diagnozowaniu i leczeniu innych chorób, nie mówiąc już o zgonach spowodowanych brakiem dostępu do pomocy medycznej [pisaliśmy o tym w tekście „Oddział zamknięty”, „TP” 20/2021]. Już w styczniu mówiło się o tym, że spłacanie tzw. długu zdrowotnego to zadanie na lata. Tym bardziej dziwi bez troska, z jaką zmarnowano ostatnie cztery miesiące.

© P MACIEJ MÜLLER

Jesień Lecha Wałęsy

WITOLD GŁOWACKI

Kiedyś miliony Polaków poszłyby za nim w ogień. Dziś nie bronią go już nawet najwięksi zwolennicy, zażenowani kolejnymi internetowymi wybrykami laureata Pokojowej Nagrody Nobla.

WTYM, CO BYŁY PREZYDENT OSTATNIO mówi – a jeszcze częściej pisze lub publikuje w postaci nagrań w mediach społecznościowych – pobrzmiewają dwa lejtmotywy. Pierwszy to przemijanie, choroby, odchodzenie, łącznie z publicznym ustalaniem dość często zmieniających się szczegółów pogrzebu i pokazywaniem zdjęć stopy cukrzycowej. Wygląda to tak, jakby Lech Wałęsa, który niedawno skończył 78 lat, publicznie żegnał się ze światem.

– Tak, oczywiście, że się żegnam. Patrzę w kalendarz i wiem, że to czas na pożegnania. Nikomu nie udało się nie przejść na tamtą stronę. Wszyscy przejdziemy. Pan też – były prezydent nie pozostawia miejsca na wątpliwości.

Drugi temat to pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Te, które Wałęsa stracił, te, których mu brakuje – i te, które chciałby jeszcze zarobić.

– Tak mi dobrze szło, że nie musiałem patrzeć, skąd płyną, bo ładnie płynęły. Ale tak było, póki byłem na fali. Kiedy fala się skończyła, to skończył się ich dopływ. I kiedy się rozglądałem, to widzę, że część z tego przepuściłem, a resztę rozdałem. I teraz naprawdę mam problemy. Wiele o tym myślę – potwierdza.

Dwa inne do niedawna stale obecne tematy dziś niemal poszły w odstawkę. Mniej się słyszy o teczach „Bolka” i konsekwentnej negacji przez Wałęsę wszystkich dokumentów, dowodów i poszlak świadczących o jego współpracy z SB. A także o jego krytyce rządów PiS, której Wałęsa częściowo wyrzekł się w zeszłym roku, ogłaszając, że wycofuje się ze spraw publicznych – choć czasem jednak do nich powraca. Ostatnio po wyroku TK w sprawie wyższości prawa krajowego nad unijnym.

Wszystkie te tematy łączy jedno. Wałęsa wykorzystuje do ich podejmowania przede wszystkim media społeczno-

ściowe, a nie te tradycyjne. I robi to we własnym, dość niepowtarzalnym stylu, który od lat wywołuje konsternację nawet największych stronników byłego prezydenta, a jest pożywką dla jego wrogów i okazją do produkcji ośmieszających memów.

Ze wsi do globalnej wioski

Przygoda Wałęsy z internetem i mediami społecznościowymi zaczęła się wcześniej – były lider „S” zdecydowanie wyprzedził tu polską klasę polityczną.

– Używam takich środków komunikacji, które odpowiadają epoce, które są sprytne, powszechne i skuteczne. Pokolenie moich rodziców prawie nie opuszczało swojej wioski, więc będzie zapamiętane i oceniane w skali swojej wioski. My dostaliśmy znacznie lepsze narzędzia, więc z nich korzystajmy – mówi.

Wałęsa już w 2005 r. stał się aktywnym użytkownikiem bardzo popularnego wówczas komunikatora Gadu-Gadu. W rozmowach z dziennikarzami twierdził, że kontakt ze światem za pośrednictwem GG pochłania mu cały wolny czas. Wtedy też z Wałęsą mógł sobie popisać w Gadu-Gadu dosłownie każdy, a przynajmniej każdy, kto trafił na właściwy moment.

Potem była era Skype’a, po której Wałęsa nie bez pewnej ekstrawagancji zainstalował się na pełnym nastoletnich trolli Wykopie – prowadząc tam mikroblog. Wreszcie w 2016 r. były prezydent opuścił i tę internetową przestrzeń, przenosząc się na Facebooka.

Przeglądanie jego postów to jazda bez trzymanki. Choć przeważają okolicznościowe fotografie ze spotkań w Instytucie Wałęsy i różnych miastach Polski, to od czasu do czasu laureat Pokojowej Nagrody zjawia się tam w całej okazałości swojego ego – a to wzywając naród do opamiętania, a to dzieląc się szczegółami swych



chorób, a to narzekając na kłopoty finansowe czy wreszcie dając ogłoszenie o poszukiwaniu pracy.

– Ostatnie miesiące Wałęsy to dla mnie smutny finał upadku tej kiedyś wielkiej postaci. On po odejściu z polityki ani nie był w stanie odnaleźć się w nowych realiach, ani nie był zdolny do jakiegokolwiek refleksji. Był za to całkowicie impregnowany na wszelką krytykę – mówi prof. Antoni Dudek, badacz historii politycznej Polski po 1989 r. – Nie zwalajmy tego na karb podeszłego wieku. Przecież ten dzisiejszy Wałęsa w gruncie rzeczy niczym nie różni się od Wałęsy z lat 90., poza tym, że wtedy nie było Facebooka, gdzie mógłby na bieżąco dokumentować swoje potoki myśli. Pamiętajmy, że to człowiek, który pełnił funkcję prezydenta wysyłał do gazet rozwiązane krzyżówki i publicznie chwalił się nagrodami. Uważam zresztą, że Wałęsa jest ofiarą me-



Lech Wałęsa w drodze na „Święto Wolności 2021” w 41. rocznicę podpisania porozumień sierpniowych w Europejskim Centrum Solidarności, Gdańsk, 31 sierpnia 2021 r.

sandra Kwaśniewskiego i Bronisława Komorowskiego.

Ale noblista twierdzi, że wcale nie zależy mu na liczbie odtworzeń i lajkach.

– Nie, nie liczę ich, nie sprawdzam zasięgów. Nie wolno tak! To internet ma nam służyć, a nie my mamy służyć internetowi – mówi.

Instytut objazdowych występów

22 grudnia 1995 r., dokładnie w dniu, w którym odchodzący prezydent przekazywał władzę Aleksandrowi Kwaśniewskiemu – powstał Instytut Lecha Wałęsy. Początkowo miał być wyborczym wehikułem czy też załącznikiem nowego Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform. Ale po wyborach 2000 r., w których Wałęsa przegrał z kretesem z wynikiem zaledwie 1 procenta głosów, stał się po części przedłużeniem biura byłego prezydenta, a po części jego impresariatem. Nic dziwnego: głównym źródłem zarobków Wałęsy stały się wówczas rozmaite formy aktywności publicznej za granicą. Instytut miał kilku szefów – w ostatniej dekadzie byli to kolejno: Piotr Gulczyński, Mieczysław Wachowski, Jerzy Stępień i Adam Domański, który kieruje nim do dziś.

Antoni Dudek: – Trzeba przyznać, że Instytut Lecha Wałęsy miał cenne inicjatywy. W jednej sam brałem udział, to były szkolenia dla kubańskich dysydentów prowadzone w czasach, gdy Instytutem kierował Gulczyński.

Ale głównym obszarem aktywności noblisty były wykłady – pod tym hasłem kryją się zarówno publiczne wystąpienia, jak i sama obecność Wałęsy na różnych imprezach. Występował najczęściej w USA, gdzie zakorzeniła się kultura objazdowych występów bohaterów czasów minionych.

Za wykłady lub uświetnianie swą obecnością rozmaitych uroczystości i imprez dostawał każdorazowo nie mniej niż 10 tys. dolarów, choć bywało, że stawka sięgała wielokrotności tej kwoty. O czym mówił? W pierwszych latach prezydenckiej emerytury najczęściej o historii Solidarności, przedstawianej jako awangarda albo wręcz wiodąca siła globalnej manichejskiej walki

diów społecznościowych i tego, że tak łatwo może każdą swoją, choćby najbardziej absurdalną wypowiedź natychmiast w nich zamieszczać. Trochę tego czytałem, trochę słuchałem. I dla mnie to katastrofa wizerunkowa – podkreśla Dudek, zaznaczając, że mimo to Wałęsa za swoje dokonania z lat 80. i tak w pełni zasłużył na pomniki.

– Lech Wałęsa niewątpliwie znalazł sposób na funkcjonowanie w mediach społecznościowych. Tyle że to nie jest obecność w roli polityka, a raczej patocelebryty – uważa Michał Fedorowicz, założyciel i szef Instytutu Badania Internetu i Mediów Społecznościowych, twórca serwisu „Polityka w Sieci”. – Paradoks polega na tym, że to typ obecności dość charakterystyczny dla starszych generacji. To ostatnie pokolenia, które wykorzystują sieć do dzielenia się swym życiem i doświadczeniami w sensie do-

słownym, zupełnie tak, jakby media społecznościowe były jakąś areną prawdy. Do nich Wałęsa trafia pewnie całkiem nieźle.

Rzeczywiście, Wałęsa ma duże zasięgi. Tylko w pierwszej połowie tego roku ekwiwalent reklamowy publikacji na jego temat – czyli przybliżona kwota będąca miernikiem realnej popularności w mediach firm i osób publicznych, jaką należałoby wydać, gdyby te materiały były płatnymi reklamami – wyniósł według wyliczeń Instytutu Przewództwa niemal 11,5 miliona zł. Daje to Wałęsie 17. miejsce wśród wszystkich polskich polityków, plasując go m.in. przed Beatą Szydło, Grzegorzem Schetyną, wszystkimi liderami Lewicy czy postaciami tak kontrowersyjną i angażującą emocje opinii publicznej, jak Janusz Korwin-Mikke. Wałęsa wyprzedza też znacząco obu swych następców: Alek-

PIOTR ZAGIELL / EAST NEWS

→ z komunistycznym imperium zła. Ten nieco hollywoodzki romantyzm w opisie ruchu robotniczego na amerykańskim rynku sprawdzał się znakomicie, ale w końcu publika zaczęła się nudzić i trzeba było wymyślić coś nowego.

Na początku XXI w. historia „S” i krótki *speech* o jej dziedzictwie stanowiły już tylko wstęp do właściwego programu, który budowała opowieść o mniej lub bardziej autorskiej wizji potencjalnych skutków globalizacji. W 2005 r. przy okazji wywiadu z Lechem Wałęsą sam miałem okazję wysłuchać dość zawiłego wywodu na ten temat. Gdy sięgam dziś do tamtych notatek, odczuwam to samo pomieszanie znużenia z konsternacją – w telegraficznym skrócie tezy Wałęsy sprowadzały się do tego, że ludzkość może uniknąć licznych rysujących się na horyzoncie katastrof, jeśli tylko nauczy się ze sobą współpracować...

Na takie przemyślenia nie było wielkiego zapotrzebowania, a stawki za występ spadły. Nie zmienia to jednak faktu, że w najlepszym okresie Wałęsa zarabiał nie mniej niż 2 mln zł rocznie (tak mówią ostrożne szacunki serwisu money.pl). W sumie mogło to być do dziś ok. 20 mln zł, choć według innych źródeł – nawet 60 mln. Te pieniądze trafiały do Funduszu Wałęsy – osobnej instytucji o charakterze powierniczym, funkcjonującej obok Instytutu Lecha Wałęsy, lecz w powiązaniu z nim.

Co się z tym wszystkim stało? Dlaczego były prezydent podkreśla na każdym kroku, w jak trudnej sytuacji materialnej się znalazł, i publicznie zarzuca żonie, że wydaje więcej, niż on jest w stanie zarobić (jak powiedział ostatnio w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”)? Wedle audytu przeprowadzonego w 2017 r. przez zarządzającego Instytutem Wałęsy przez krótki czas Jerzego Stępnia, byłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego – długi tej instytucji sięgały 1,7 mln zł. Tę ruinę Instytut zawdzięcza przede wszystkim czasom powrotu do łask Wałęsy jego słynnego „kaptowego” z czasów prezydenckich, czyli Mieczysława Wachowskiego. Wachowski, który zaczął zarządzać Instytutem w 2014 r., korzystając z kruczków prawnych i statutowej furtki otwartej jeszcze przez Piotra Gulczyńskiego, w końcu przejął Fundusz Wałęsy i wyprowadził go do własnej fundacji, niemającej już żadnego związku z noblistą.

– Każdy pracuje i ma w tym swój interes. Jeden mniejszy, inny większy. On miał chyba głównie swój własny interes – i chwala mu. Ja mu po chrześcijańsku wybaczam. Staram się tylko zrozumieć, czym się kierował ten i ów, dlaczego postępował tak, a nie inaczej – kwituje to dziś Wałęsa. Pytanie, czy to nie nazbyt daleko idąca wyrozumiałość wobec człowieka, który przejął materialny dorobek jego życia, na byłym prezydencie nie robi wrażenia. Ucina temat.

„Bolek” nie do obrony

A temat teczki „Bolka”? Właściwie to może nawet i dobrze, że były prezydent przestał do niego wracać.

– Zwycięzcy się nie sądzą! Miałem swoje metody walki i skutecznie doprowadziłem wszystkich do zwycięstwa. Oczywiście bez ludzi wokół siebie i bez narodu bym tego nie dokonał, ale jednak dokonałem – tak zaczyna odpowiedź na pytanie o „ipeenowskie sprawy”, jak sam zwykł to nazywać. Dalej następuje mniej więcej to, co zawsze. – Przecież nawet mój największy wróg Wyszowski przyznał, że byłem na podsłuchu od lat 70. Przez lata podejrzewaliśmy, że ktoś kablował, a tymczasem to wszystko były informacje z podsłuchu, i to ten podsłuch miał kryptonim „Bolek”. To była dokumentacja przeciwko mnie, którą ktoś lata później przerobił na agenturalną. Sam Kiszczak też to przyznał na nagraniu, które trafiło do mnie za późno, bym zdążył mu przebaczyć.

W byłym prezydencie nie ma żadnej woli odniesienia się do coraz wyraźniejszego konsensusu naukowego historyków wokół kwestii jego współpracy z SB. Już w 2016 r. prof. Andrzej Friszke, znawca epoki, który długo i konsekwentnie bronił Wałęsy przed przesadnymi oskarżeniami, przyznał, że w świetle wszystkich dostępnych dokumentów nie da się obalić tezy, że Wałęsa do 1976 r. rzeczywiście był współpracownikiem SB. Zarazem brak jakichkolwiek dowodów ani nawet bardziej przekonujących poszlak, by tę współpracę kontynuował w dobie Wolnych Związków Zawodowych i Solidarności, kiedy wykazywał się niezwykłą odwagą w walce z komunizmem. To zaś mit o rzekomym pozostawianiu marionetką SB aż do Okrągłego Stołu jest dziś tym, co najbardziej Wałęsie szkodzi – zwłaszcza w oczach ludzi niepamiętających PRL-u z własnego doświadczenia.

Pytam byłego prezydenta, czy choćby ze względu na nich nie odczuwa pokusy, by spróbować jednak opowiedzieć własną historię na nowo.

– A po cholere. Było, minęło, moje zwycięstwo macie, róbcie z nim, co chcecie. Mnie na tym nie zależy. I mnie, i pana, i innych Pan Bóg rozliczy, a ja czekam, aż stanę przed Panem Bogiem – odpowiada Wałęsa.

Robert Krasowski w swym książkowym cyklu o historii III RP dowodzi, że Wałęsa był najwybitniejszym i najbardziej rasowym politykiem epoki, zdezonizowanym – jedynie częściowo – dopiero przez Jarosława Kaczyńskiego.

Prof. Antoni Dudek ma na ten temat zupełnie przeciwne zdanie: – Wszystko, co robił Lech Wałęsa po 1989 r., było stopniowym przekreślaniami i wymazywaniem jego najcenniejszego dorobku z lat 80. Miał wówczas status bohatera narodowego, który niemal całkowicie zaprzęścił. Był bardzo złym prezydentem, który doprowadził kraj do realnego chaosu. I głównie nasze szczęście sprawiło, że nie była to zupełna katastrofa. Po zakończeniu prezydentury zachowywał się jeszcze gorzej. Może ktoś kiedyś zrobi o nim film, dużo lepszy niż cukierkowa opowieść Wajdy. Ten film może zacząć się w 2000 r. sceną, w której Wałęsa siedzi przed telewizorem i ogląda powtórkę wieczoru wyborczego, podczas którego skończył z wynikiem 1 procenta. To była miara jego politycznego upadku, z którego nie wyciągnął żadnych wniosków.

Polacy nie są aż tak krytyczni wobec Wałęsy. Po ujawnieniu teczek z „szafy Kiszczaka” w 2016 r. 64 proc. Polaków zadeklarowało w sondażu IBRiS, że twórca „S” i tak pozostaje dla nich bohaterem narodowym.

Michał Fedorowicz z IBIMS: – Jedno na pewno trzeba o Wałęsie i jego obecności w internecie powiedzieć. Niczego nie gra, na nikogo nie pozuje, nie sprawdza nawet, czy zdjęcie dobrze wyszło. Jest w każdym calu prawdziwy. Aż do bólu.

Pytam Lecha Wałęsę, jak chciałby zostać zapamiętany.

– To akurat najmniej mnie obchodzi. Mnie obchodzi tu i teraz, bo mam odbiór, bo czuję, bo widzę. A kiedy już będę spalony i rozsypany po morzu, to czy będzie mnie interesowało, co sobie o mnie myślicie?



Protest „Matki na granicę”, Michałowo, 23 października 2021 r.

Nadal zależy to od dobrej woli i postawy konkretnej nauczycielki bądź nauczyciela.

Z tym problemem mierzymy się nie tylko w szkole. Nawet w największych mediach rzadko można usłyszeć dobrą, spokojną i merytoryczną rozmowę na temat migracji. Co do szkoły: stworzyliśmy scenariusze konkretnych lekcji pt. „Rozmowa o uchodźcach w Polsce”, które uwzględniają bieżącą sytuację na polsko-białoruskiej granicy i są gotowe do wykorzystania w klasie. W ciągu kilku tygodni skorzystało z nich już ponad tysiąc osób, co pokazuje nie tylko skalę potrzeb, ale i gotowość wielu nauczycieli, by podejmować ten temat. Sporo innych organizacji również wspiera nauczycieli, dla których nie jest on obojętny.

A co w domu? Jak rodzic, który sam nie zna odpowiedzi na pytanie, czy wpuszczać, czy nie wpuszczać imigrantów do Polski, ma wytłumaczyć dziecku, dlaczego ludzie giną w lesie?

Spróbujmy podejmować takie rozmowy nawet wtedy, gdy nie czujemy się w pełni przygotowani. Na początku warto jest podziękować dziecku, że przychodzi do nas z tak trudnym pytaniem, i nie bać się własnej niewiedzy, bezradności. Pokażmy, że dla nas też nie jest to łatwe.

Nasza bezradność i niewiedza nie przestraszą dziecka?

Niewiedza nie jest niczym złym, choć wielu rodziców i nauczycieli się jej panicznie boi. Pytanie, na które nie znamy odpowiedzi, może być okazją do wspólnych poszukiwań. Razem z dzieckiem możemy usiąść do komputera czy książek, próbować połączyć elementy układanki, zweryfikować informacje, wyrobić sobie zdanie. Najważniejsze jest zapewnienie wsparcia emocjonalnego. Niezależnie od poglądów politycznych ten temat prowokuje silne emocje od najstarszych do najmłodszych. Poczucie zagrożenia, niesprawiedliwości, złość – bądźmy uważni i reagujmy na sygnały, które wysyłają nam dzieci i młodzież. Pozwólmy im na przeżycie tych emocji, pomóżmy je zidentyfikować i nazwać.

W jaki sposób przekazywać informacje o tragicznych wydarzeniach na granicy?

Granica. Dziecko ma prawo wiedzieć

ELŻBIETA KRAWCZYK, EDUKATORKA:

Dzieci często wiedzą i czują znacznie więcej, niż nam się wydaje.

KRZYSZTOF STORY: Stan wyjątkowy, ofiary śmiertelne, migranci uwięzieni w wielką politykę i ostre podziały naszego społeczeństwa. Rozmawiać o tym z dziećmi?

ELŻBIETA KRAWCZYK, CENTRUM EDUKACJI OBYWATELSKIEJ: Według mnie pytanie brzmi nie „czy?”, tylko „jak?”. Tego tematu nie da się ukryć. Oczywiście jako rodzice czy nauczyciele możemy stworzyć sobie fikcyjną rzeczywistość, w której przemilczany temat po prostu znika, przestaje istnieć. Często to robimy, kiedy nie wiemy, jak się do takiej rozmowy zabrać, boimy się jej.

Kryzys na granicy polsko-białoruskiej jest na tyle skomplikowany, że przerasta większość dorosłych. Pokusa, żeby oszczędzić go najmłodszemu, wydaje się naturalna.

Tylko że wiadomości docierają do dzieci i młodzieży bardzo różnymi kanałami. Ci ludzie tak samo są odbiorcami mediów. Kolejne informacje wzbudzają

w nich różne emocje, niepokój, poczucie zagubienia i rozdarcia. Taka rozmowa jest ważną okazją, by dać ujście uczuciom i wątpliwościom oraz wytłumaczyć młodym to, co dzieje się w Polsce i na świecie.

Gdzie jest miejsce na takie rozmowy?

O kryzysie humanitarnym na granicy polsko-białoruskiej powinniśmy rozmawiać teraz gdzie tylko się da, żeby domagać się rozwiązań systemowych, m.in. udzielenia pomocy humanitarnej osobom, które się na niej znajdują. Oczywiście przestrzenią do rozmów powinna być przede wszystkim szkoła, bo nie w każdym domu podejmuje się takie tematy. W Centrum Edukacji Obywatelskiej od lat podpowiadamy i wspieramy nauczycieli i nauczycielki w znajdowaniu w szkolnym systemie przestrzeni na edukację globalną. Naturalnym wyborem na rozmowę o kryzysie na granicy jest godzina wychowawcza, ale temat migracji można poruszyć na większości zajęć przedmiotowych.

→ Na pewno nie unikajmy trudnych pytań, unikajmy za to popularnych słów kluczy, które wywołują silne emocje, ale niewiele znaczą – ostatnim przykładem takiego straszaka jest „wojna hybrydowa”. Naszą rolą jest dostosowanie odpowiedzi do wieku dziecka. Możemy po prostu opisać sytuację. Opowiedzieć, kim są ci ludzie. Jak się nazywają, skąd pochodzą, w co wierzą, jaka jest ich kultura. Jak znaleźli się w tym lesie. Czy ktoś im pomaga. Warto też powiedzieć dzieciom, że większość z tych ludzi liczy na Polskę i na ochronę międzynarodową.

CENTRUM EDUKACJI OBYWATELSKIEJ



ELŻBIETA KRAWCZYK jest szefową Działu Edukacji Globalnej i Ekologicznej Centrum Edukacji Obywatelskiej.

Koordynowała projekty takie jak „W świat z klasą” oraz „Rozmawiajmy o uchodźcach”. Absolwentka arabistyki na Uniwersytecie Warszawskim, międzynarodowej współpracy rozwojowej w Collegium Civitas oraz Akademii Treningu Antydyskryminacyjnego.

Od wprowadzenia stanu wyjątkowego dostęp do tych informacji jest bardzo utrudniony.

Ubolewam nad tym, bo bardzo potrzebujemy rzetelnych, wiarygodnych informacji. Bez obecności dziennikarzy w strefie stanu wyjątkowego ten dostęp do prawdziwych wiadomości jest ograniczony. Możemy posiłkować się relacjami aktywistów i aktywistek, którzy działają przy granicy, możemy korzystać z materiałów opracowywanych przez Grupę Granica, która zrzesza różne organizacje pozarządowe i inicjatywy oddolne, ale to za mało. W rozmowach z dziećmi bar-

dzo przydaje się również metoda storytellingu, opowiadania ciekawych historii. Fundacja Ocalenie przygotowała portrety konkretnych osób, które znalazły się na granicy w Usnarzu Górnym. To są proste grafiki opatrzone krótkimi komentarzami. Właściwie od takich historii można zacząć rozmowę.

Warto angażować się wraz z dziećmi w akcje pomocowe?

Tak, choć wbrew pozorom nie jest to łatwe. Doświadczenie aktywnego działania, własnej sprawczości jest niesamowicie cenne, ale w tym przypadku liczy się

skuteczność i zrozumienie, czym jest mądra pomoc i jak odpowiadać na faktyczne potrzeby.

A jak wytłumaczyć nieskuteczność tej pomocy? Dwa miesiące po wprowadzeniu stanu wyjątkowego nie jesteśmy wcale bliżej rozwiązania kryzysu niż 2 września. Co powiedzieć dziecku, które nie rozumie politycznej gry i prowokacji reżimu Aleksandra Łukaszenki, działań Straży Granicznej i chciałoby po prostu wszystkim pomóc?

Coraz więcej osób, w tym mieszkańców i mieszkanki miejscowości przy granicy polsko-białoruskiej, angażuje się w działania pomocowe. Warto o nich mówić i pokazywać sens tych inicjatyw, ale też konieczność systemowych zmian i potrzebę natychmiastowej pomocy humanitarnej. Rozmawiamy o możliwych rozwiązaniach, także tych w naszym bezpośrednim zasięgu. I pamiętajmy też, że polityczny i instytucjonalny wymiar tej sytuacji to nie wszystko. Mówimy tu przede wszystkim o podstawowych prawach człowieka. O nich zresztą dzieci często wiedzą i czują znacznie więcej, niż nam się wydaje.

© Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim pod sygn. akt I Ns 535/21 toczy się sprawa z wniosku Gminy Mińsk Mazowiecki o zezwolenie na złożenie do depozytu sądowego na okres 10 lat kwoty 109 440 (sto dziewięć tysięcy czterysta czterdzieści) złotych z tytułu odszkodowania za nieruchomość zajęta pod drogę – działkę nr 298, o pow. 0,3800 ha, położoną w Grębiszewie, dla której nie ma urzędzonej księgi wieczystej, a dla której według wypisu z ewidencji gruntów nie ustalono właściciela – z tym zastrzeżeniem, że odbiór tego świadczenia może nastąpić przez właściciela działki po przedstawieniu przez niego dowodu własności.

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 533/20 toczy się postępowanie z wniosku Ryszarda Zgraja o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na rzecz Mieczysława Zgraja udziału 1/2 części we współwłasności działki ewid. nr 1706, o pow. 392 m², położonej w Brzesku – wpisanego obecnie w księdze wieczystej TR1B/00023853/0, prowadzonej przez Sąd Rejonowy w Brzesku, na rzecz Krystyny Turskiej, c. Stanisława i Józefy.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem, o ile zostanie udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygn. akt I Ns 90/21 na wniosek Protegat! Niestandaryzowanego Sekurtyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego w Krakowie, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Jakubowskiej, zm. 23 września 2019 r. w Warszawie, ostatnie stale zamieszkałej w miejscowości Marianka.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jasle pod sygn. akt I Ns 42/21 z wniosku Moniki Dziedzic, z udziałem Czesława Biernackiego, Kazimierza Janiszewskiego, Krystyny Wrózek i innych, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Władysławie Biernackiej, zm. 28 lutego 1996 r. w Kunowej, i Edwardzie Biernackim, zm. 13 listopada 2004 r. w Kunowej, ostatnio przed śmiercią zamieszkałych w Kunowej, gmina Skołyszyn, powiat jasielski. W skład spadku wchodzi działki nr 263/2 i 100 położone w Kunowej.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

DOROTA

Masłowska: Księżne



PODOBNO NIC TAK POZYTYWNE NIE stymuluje naszych mózgów jak spontaniczne interakcje z obcymi ludźmi. Jednak kultura bezinteresownej pogawędki pozostaje na polskich ulicach w fazie umiarkowanego rozkwitu; jej głównymi praktykami są osoby kompletnie pijane, ankieterzy Greenpeace'u (czy masz może wolne 45 minut?), *pickup artists* oraz uliczni sprzedawcy golarek do ubrań i niezbędnych w każdym domu frezarek do warzyw. Sama też staram się nikogo nie zagadywać i niepotrzebnie nie komplementować. Ale nigdy nie żałuję przełamywania zażenowania i nieśmiałości na widok pięknie ubranych staruszek.

Starsze panie nie kojarzą się u nas w linii prostej z modą. Raczej z antymodą: włochatymi beretami i kraciastymi torbami na kółkach pełnymi nówek wieprzowych i chryzantem. Z maskującymi kolorami ziemi, dzięki którym jeszcze za życia osiągają przezroczystość i niewidzialność. W konserwatywnym, patriarchalnym społeczeństwie niemłoda kobieta kręci się ze swoją torbą BigShopper po podnóżach hierarchii. Przystając byc obiektem seksualnym, ulega przekształceniu w babę-obiekt społecznych nerwów, lęków i – co za tym idzie – drwin. Babę, która, gdy zsiada z wozu, to koniom lżej. Babę, która przychodzi i przychodzi do lekarza; babę, która wysiaduje. Wyczekuje w poczekalniach, wystaje po tanie zamienniki leków. Babę się deseksualizuje i poddaje wzmożonej kontroli społecznej. Niewiele jej wypada, łatwo popada w niestosowność i śmieszność. By nie zwracać uwagi, nie budzić domysłów i docinków, ścina włosy i wyzbywa się uroków. Zdekoloryzowana i bezkształtna może lepiej pełnić różne funkcje służebne. Opieka nad dziećmi, asystentura chorym mężczyznom, pielęgnacja i konserwacja grobów, weki, pozytywne relacje z bóstwami chthonicznymi.

Tym bardziej cieszę się zawsze, widząc starszą kobietę pięknie ubraną. Pędzącą na łeb na szyję tramwajem w ślepią srebrnej aureoli włosów. Takie księżne Warszawy w najzwyklejszy poniedziałek z szaf potrafią powyciągać sobole i klejnoty. Kamee, grzebień, suknie nierealnego, niewspółczesnego piękna; etole, lisy, jedwabie, arasy. Oplesć miękkimi szalami swoje kruche, bibułkowe ciała, w suche białe włosy wpiąć różę, paprocie i cmy. Jest w tym emancypacja; niezgoda na szaroburość, niewidzialność i prymat życia wiecznego nad niewiecznym. Odmowa baby.

Wzrusza mnie ich wdzięk i poczucie harmonii, uwielbienie koloru, oryginalność, autoekspresja. Jadą tramwajem, patrzą w dal na szare smugi życia i brudne elewacje budynków, a same tryskają kolorami jak samozwańcze dzieła sztuki. Zachwyca mnie to bezinteresowne piękno dla piękna, praktykowane bez marek i stylistów, niedomagające się oklasków, zazdrości, cen i zdjęć. Gdy tylko widzę pięknie ubraną staruszkę, staram się przemóc wstyd i jej to powiedzieć.

To nie jest wcale łatwe. Zawsze podnoszą się na mnie oczy zdziwione, nieufne, bezbronne. Nim rozbłyśnie w nich iskierka radości z komplementu, zawsze jest ten moment dezorientacji, przerażenia. Jakbym mówiła: „Bardzo ładnie jest pani ubrana. Lecz pani wnuczek miał właśnie wypadek samochodowy. Został aresztowany. Potrzebne jest szybko 30 tysięcy gotówką. Proszę dać je mi, a resztę oszczędności spakować do reklamówki i wyrzucić przez balkon”.

Spontaniczne interakcje społeczne nie są łatwe w tych skomplikowanych czasach. W czasach fałszywych wnuczków i złodziei udających policjantów i pracowników banków. Demonicznie złych księży, nieprawych sędziów, cynicznych polityków całujących na kolanach krzyż z jęczmikiem. Fałszywej telewizji pokazującej niedorzeczne fotomontaże i krótkie wywiady z nieistniejącymi ludźmi. Mimo to zawsze komplementuję pięknie ubrane staruszki. Kiedy już widzą, że nie próbuję sprzedać im golarki do ubrań – rozkwitają. ©

POŻEGNANIE

Ś.†P.

Regina Maria Chłopicka z d. Rudnicka

ur. 19 sierpnia 1934 r. w Jaryczowie Nowym, k. Lwowa

Teoretyk muzyki, profesor Akademii Muzycznej w Krakowie,
nasza kochana Mama, Babcia i Teściowa,
opatrzona świętymi sakramentami,
odeszła do wieczności 25 października 2021 r.
Pełna pasji, optymizmu i ciekawości świata,
aktywna do końca, długie pracowite życie poświęciła
dla innych, była centrum rodzinnym, autorytetem
i wsparciem dla wielu.

Msza św. pogrzebowa odbędzie się w kolegiacie św. Anny
w Krakowie 5 listopada 2021 r. o godz. 11.00, po czym nastąpi
odprowadzenie Zmarłej do grobu rodzinnego na cmentarzu
Rakowickim (od bramy głównej o godz. 13.15).

SYNOWIE Z RODZINAMI

POWOŁANIOWY KRACH

Liczba chętnych do kapłaństwa w Polsce w tym roku zmniejszyła się aż o jedną piątą. Czy Kościół w Polsce czeka los katolickiej wspólnoty w Irlandii?

MARCIN CHODUŃ

TAK ŹLE JESZCZE NIE BYŁO. ZE STATYSTYK powołań, ogłoszonych na październikowej Konferencji Rektorów Seminarium Duchownych, wynika, że formację do kapłaństwa w seminariach diecezjalnych i zakonnych rozpoczęło w tym roku 356 kandydatów, podczas gdy w roku ubiegłym było ich 441. Liczba powołań jest więc o około 20 proc. niższa niż w roku poprzednim.

Trend spadkowy utrzymuje się w polskim Kościele od dawna – na przestrzeni ostatnich 20 lat wyniósł około 60 proc. I jest widoczny nawet w diecezjach, które zalicza się do najbardziej pobożnych w Polsce. Choćby w największym w kraju seminarium tarnowskim, w którym liczba alumnów spadła o połowę w porównaniu do 2020 r. (z 26 do 14) i jest najniższa w całej jego historii (choć nadal należy do najwyższych w kraju). Czy też w diecezji krakowskiej, gdzie kandydatów jest aż trzykrotnie mniej niż w roku poprzednim (4 w porównaniu do 13). Do czterech seminarium diecezjalnych – w Bydgoszczy, Drohicznicy, Elblągu i Łowiczu – oraz aż 19 zakonnych nie zgłosił się w tym roku nikt.

Ciche korytarze

– To już katastrofa – przyznaje ks. dr hab. Andrzej Kobyliński, filozof i etyk z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Jego zdaniem trzeba

jednak mieć na uwadze, że skala tego problemu jest różna w poszczególnych regionach kraju. – W Olsztynie jest zdecydowanie gorzej niż w Tarnowie, wyraźnie różnią się też między sobą Bydgoszcz i Katowice. Najbardziej jednak wciska w fotel świadomość, że w tym roku do tak wielu seminarium nie zapukał żaden kandydat. Gdy dziś się do nich wejdzie, można usłyszeć stukot własnych butów. Kiedyś na ich korytarzach tętniło życie, teraz panuje cisza.

– Jeszcze większym dramatem jest kryzys powołań w zakonach żeńskich – dodaje duchowny. – Są takie zgromadzenia, do których od lat nikt się nie zgłasza.

Przyczyny? Na pewno czynniki demograficzne – wchodzące obecnie w dorosłość pokolenie to dzieci urodzone w dołku demograficznym lat 90. Ważniejsze wydaje się jednak co innego – malejąca religijność młodych Polaków. W ciągu ostatnich dziesięciu lat jej deklarowany poziom spadł o 20 proc.

– Jesteśmy już społeczeństwem podobnym do innych krajów Europy Zachodniej, na dobre i na złe. – mówi ks. Kobyliński. – Także jeśli chodzi o podejście młodego pokolenia do religii. Co więcej, mamy pierwsze miejsce na świecie, gdy chodzi o tempo galopującej sekularyzacji dzieci i młodzieży w stosunku do religijności pokolenia ludzi dorosłych.



No i oczywiście kwestia zapewne najbardziej dewastująca reputację oraz zaufanie do Kościoła w Polsce: skandale seksualne i wątpliwy tryb ich rozliczania przez kościelną hierarchię.

– Najważniejszą przyczyną obecnego krachu powołań w naszym kraju, obok demografii, sekularyzacji czy licznej emigracji młodych Polaków, jest negatywny obraz biskupów i księży w przestrzeni medialnej i życiu społecznym – mówi etyk z UKSW.

Głębia upadku

Podobnie było w Irlandii. Gdy w latach 2005-09 na światło dzienne wyszły liczne przypadki emocjonalnego, fizycznego i seksualnego wykorzystywania tysięcy dzieci przez księży – chodzi zwłaszcza o raport tzw. Komisji Ryana z dziewięcioletniego dochodzenia w sprawie wykorzystywania dzieci w katolickich



ŁUKASZ KACZANOWSKI / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Wyższe Seminarium Duchowne w Lublinie jest jednym z nielicznych, gdzie kandydatów do kapłaństwa jest tyle samo, co nowo wyświęconych księży. Na zdjęciu: święcenia kapłańskie w lubelskiej katedrze, maj 2020 r.

szkołach, sierocińcach i szpitalach od lat 30. do 90. XX w., opisujący „szeroko rozpowszechnione nadużycia seksualne” w szkołach dla chłopców – reputacja Kościoła rozpadła się na kawałki. Rozmiar degrengolady miał się zresztą wkrótce okazać jeszcze głębszy. Kilka miesięcy później ujawniono wynik innego rządowego śledztwa, które wykazało, że irlandzcy hierarchowie w zмовie z policją tuszowali przypadki wykorzystywania seksualnego dzieci w archidiecezji dublińskiej w latach 1975-2004.

Fala oburzenia spowodowana tymi nieprawościami przyniosła konkretne skutki: mimo głosów sprzeciwu irlandzkich hierarchów kościelnych w 2015 r. w wyniku referendum w republice Irlandii zalegalizowano małżeństwa jednopłciowe, a od początku 2019 r. legalna jest aborcja na życzenie do 12. tygodnia ciąży (a w przypadku ciężkiego uszkodzenia

płodów lub zagrożenia dla życia kobiety bez ograniczeń).

Skutkiem wizerunkowego krachu irlandzkiego Kościoła jest też dramatyczny spadek liczby powołań. Na 26 irlandzkich diecezji zaledwie sześciu alumnów rozpoczęło tej jesieni studia. Czterech w Kolegium św. Patryka w Maynooth, dwóch pozostałych – w seminarium Drogi Neokatechumenalnej w Dundalk.

Znakiem czasu jest zresztą sama liczba uczelni formujących przyszłych kapłanów – Maynooth i Dundalk to jedyne irlandzkie miasta, w których mieszczą się tego typu placówki. A przecież w Irlandii działało niegdyś 13 seminariów.

Skoro nowych księży jest jak na lekarstwo, obowiązki duszpasterskie w parafiach muszą przejąć pozostali. Najczęściej z długim stażem duszpasterskim – średnia wieku irlandzkich księży wynosi obecnie 70 lat. A parafii do zaopie-

kowania jest nierzadko kilka, ponieważ niektóre diecezje rozpoczęły proces ich łączenia. Choćby Limerick, gdzie z 60 parafii utworzono 13 grup. Cel? Lepsza komunikacja pomiędzy nimi, ale przede wszystkim dzielenie się zasobami ludzkimi. Dotyczy to także świeckich – program grupowania parafii w znacznym stopniu polega bowiem na zaangażowaniu parafian w działania administracyjne i zarządcze. W leżącej w diecezji Limerick miejscowości Banogue na południu kraju mieszkańcy już sami wypełniają wszystkie obowiązki związane z prowadzeniem parafii.

Nawet gdyby liczba księży na wyspie nagle wzrosła, wcale nie musiałoby to oznaczać tłumów wiernych w kościołach. Frekwencja na mszach w Irlandii bowiem gwałtownie spada – jeszcze w 1990 r. ponad 80 proc. mieszkańców wyspy deklarowało uczestnictwo →

→ w mszy przynajmniej raz w tygodniu, a 95 proc. przynależność do Kościoła. Dziś liczba osób uczęszczających regularnie na nabożeństwa wynosi niecałe 30 proc., a więcej niż jedna osoba na pięć twierdzi, że nie należy do Kościoła katolickiego.

Znikające sakramenty

Nawet wierzący rodzice, którzy kiedyś z dumą wysyłali swoich synów do seminarium, dziś raczej zniechęcają ich do pójścia tą drogą. – Jednym z powodów spadków powołań w Irlandii jest z pewnością rosnąca otwartość wokół kwestii związanych z seksualnością. Celibat staje się coraz mniej atrakcyjny – mówi ks. Roy Donovan, proboszcz z parafii Caherconlish w hrabstwie Limerick.

Ks. Donovan jest członkiem zarządu Stowarzyszenia Katolickich Księży (ACP), grupy zrzeszającej ponad tysiąc progresywnych irlandzkich kapłanów. ACP od lat nawołuje do radykalnej reformy Kościoła, obejmującej złagodzenie zasad celibatu, wyświęcanie żonatych mężczyzn, ponowne przyjmowanie do posługi duchownych, którzy opuścili swoje parafie, wchodząc w związki małżeńskie, oraz wyświęcanie kobiet do diakonatu.

Wedle członków ACP kryzys powołań stał się tak poważny, że podstawowe sakramenty jak chrzty i małżeństwa mogą w najbliższej przyszłości „zniknąć” w niektórych parafiach. – Teraz starsi księża są zachęcani do pozostania w posłudze aż do śmierci i prowadzenia nawet trzech parafii jednocześnie z powodu braku następców. Za dziesięć, najdalej dwadzieścia lat księża w Irlandii mogą stać się gatunkiem zagrożonym.

Otwartość na reformę

Co na to irlandzki episkopat? Prymas całej Irlandii i przewodniczący tamtejszej Konferencji Episkopatu, arcybiskup Armagh Eamon Martin deklarował, że jest otwarty na apele o reformę Kościoła – w tym złagodzenie zasad celibatu. Nawiązywał do stanowiska papieża Franciszka, który w adhortacji podsumowującej synod dotyczący Amazonii wprowadził nie zliberalizował stanowiska Kościoła w tej sprawie (na synodzie rozważano postulaty dopuszczania do święceń kapłanów tzw. *virī probati*, a więc cieszących się szacunkiem, zaangażowanych w parafiach żonatych mężczyzn), ale, zdaniem

Kapłaństwo musimy na nowo zdefiniować.

Być może w przyszłości nie będzie ono polegać na kierowaniu ludem Bożym, tylko na współtowarzyszeniu mu w jego drodze duchowej.

irlandzkiego prymasa, zostawił ją do dalszej dyskusji.

Natomiast jeśli chodzi o wyświęcanie kobiet do diakonatu, to prymas, owszem, niejednokrotnie wzywał wszystkich świeckich, w tym kobiety, do angażowania się w posługę duszpasterską – jednak niewymagającą święceń. Chodzi po prostu o udział w organizowaniu i administrowaniu parafii oraz podejmowanie decyzji aż do poziomu diecezjalnego, a nawet sprawowanie opieki duszpasterskiej, którą w przeszłości wykonywali księża.

– To tylko miłe słowa i mało znaczące gesty – uważa ks. Donovan. – Irlandzcy biskupi, podobnie zresztą jak Watykan, przyjęli minimalistyczne podejście do kwestii integracji kobiet w Kościele.

Księża z importu

Księża brakuje również w innych krajach Europy Zachodniej. W Niemczech z powodu ich spadającej liczby i zmniejszających się wpływów z podatku kościelnego diecezje mocno redukują liczbę parafii. Kapłanów sprowadza się z zagranicy. Nierzadko z odległych krajów, jak choćby z Indii. Już około 10 proc. duchowieństwa stanowią imigranci. Co ciekawe, mimo takiego poważnego deficytu niemiecki episkopat nadal odrzuca sugestie Watykanu, by parafie prowadziły zespoły równouprawnionych duchownych i świeckich.

Nie inaczej jest we Francji. Wobec braku księży Francja także „importuje” ich z zagranicy; podobnie jak nad Renem stanowią oni 10 proc. duchowieństwa. Przybywają głównie z biednych krajów afrykańskich, takich jak Togo, Madagaskar czy Burkina Faso.

W parafiach Hiszpanii coraz częściej można spotkać kapłanów pochodzących z Ameryki Południowej. Księża na wsi są czasem odpowiedzialni nawet za kilka

parafii. W Kantabрії jeden kapłan opiekuje się 22 parafiami. Prawie połowa parafii w kraju nie ma księdza na stałe.

Nie jest lepiej nawet we Włoszech – kraju uchodzącym, podobnie jak Irlandia czy Polska, za bastion katolicyzmu. W ciągu ostatnich 30 lat liczba księży spadła tam o niemal 30 proc., a średnia ich wieku przekroczyła już 60 lat. Władze włoskich diecezji oddają coraz więcej parafii nie tylko diakonom stałym, ale także rodzinom czy wspólnotom, które współpracują z księżmi sprawującymi sakramenty. Jeden ksiądz musi bowiem opiekować się nierzadko kilkunastoma kościołami.

Seminarium to nie dogmat

Czy tak może być również w Polsce? Według ks. Kobylińskiego Polska kroczy już śladami Kościoła irlandzkiego. – Irlandia wyprzedza nas po prostu o jakieś dwie, trzy dekady – tłumaczy. Jego zdaniem takie porównanie z uwagi na zbliżone losy obydwu narodów oraz niegdyś silną pozycję Kościoła jest jak najbardziej zasadne.

– Jeśli chodzi o sytuację w Polsce i Irlandii, to oczywiście można szukać zarówno podobieństw, jak i różnic – uważa z kolei ks. dr hab. Andrzej Draguła, profesor na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Szczecińskiego. – Moje doświadczenie nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach, a także refleksja nad synodalnością Kościoła, którą proponuje papież Franciszek, pokazuje, że potrzeba nam, duchownym, bardziej kreatywnego i elastycznego myślenia nie tyle o naturze Kościoła, co o historycznych formach jego istnienia. Chodzi o otwarcie się na teologiczną zdolność wyobrażenia sobie innego Kościoła. Rzecz jednak nie w tym, żeby zaprojektować Kościół przyszłości, bo nikt nie wie, jak on będzie wyglądał. Chodzi raczej o to, żeby nie żyć wyłącznie w wierności pewnym historycznym czy kulturowym formom Kościoła, bo zawsze jest pokusa utożsamienia tych form z jego teologiczną naturą. A historia pokazuje nam wyraźnie, że Kościół w przeszłości miał wiele najróżniejszych wcieleni w kulturę czy geografie. Na naszych oczach przemija postać Kościoła, w którym się urodziliśmy i w którym narodziło się np. moje kapłaństwo.

Środki zaradcze? – Jeśli nie zatrzymamy rozpadu wizerunku Kościoła w Polsce, to nie pomogą żadne akcje

powołaniowe czy promocje – twierdzi ks. Kobyliński. – Duchowni i świeccy muszą stanąć na głowie, żeby to zmienić.

Coraz częściej słychać głosy o potrzebie łączenia seminariów. Trudno jednak dostrzec się w takiej wizji przemysłanego remedium na kryzys.

– Jaki będzie realny związek między kandydatem a wspólnotą, z której się wywodzi czy w której ma pracować, jeśli jego formacja seminaryjna będzie się odbywać kilkaset kilometrów dalej? – zastanawia się ks. Draguła. – Skoro jest tak mało kleryków, to może potrzeba innych środowisk rodzenia się i wzrostu powołań niż seminaria? Seminaria nie są żadnym dogmatem. Pojawiły się przecież dopiero po Soborze Trydenckim. Można sobie wyobrazić, że wkrótce narodzi się nowa formuła kształtowania księży. Być może będzie to relacja między kandydatem a mistrzem, który będzie go prowadził. Może też będzie tak, że wspólnota, w której kandydat wzrasta, będzie miała większą odpowiedzialność i podmiotowość. I to tam będzie się rodziło i kształtowało powołanie.

Bez mapy

1 października 2021 r. weszły w życie nowe reguły formacji kapłańskiej w Polsce: „Droga formacji presbiterów w Polsce. *Ratio institutionis sacerdotalis pro Polonia*”. Punktem wyjścia do ich opracowania były wytyczne Kongregacji ds. Duchowieństwa, zawarte w opubliko-

wanym w 2016 r. dokumencie: „Dar powołania do kapłaństwa. *Ratio fundamentalis institutionis sacerdotalis*”. Zasady te określają nowy model formacji: bardziej dynamiczny, pastoralny, otwarty na świat i silniej zorientowany na rozwój osobowy i duchowy kleryka. Formacja seminaryjna jest podzielona na cztery etapy: propedeutyczny, czas stawiania się uczniem Jezusa, upodabniania się do Chrystusa i etap pastoralny. *Novum* stanowi obowiązkowy rok propedeutyczny, czyli poprzedzający właściwe studia seminaryjne.

– Nowe zasady formacji, a zwłaszcza etap wstępny, mniej akcentują elementy strukturalne, a bardziej idą w stronę dynamicznie i osobiście przeżywanego procesu poznawania, zbliżania i upodabniania się do Chrystusa – uważa ks. dr Wojciech Rzeszowski, dyrektor Centrum Edukacyjno-Formacyjnego w Gnieźnie, były rektor Wyższego Seminarium Duchownego w Gnieźnie oraz były przewodniczący Konferencji Rektorów Wyższych Seminarium Duchownych. – Okres propedeutyczny ma pomóc klerykom wejść głębiej w siebie i doświadczenie życia, ma też charakter inicjacyjny i ewangelizacyjny. Chodzi nie tyle o wiedzę, co o wejście w doświadczenie życia wiarą. Dzięki temu późniejsze podjęcie formacji seminaryjnej w nowym kształcie będzie bardziej owocne.

Ks. Andrzej Draguła: – Mamy do czynienia z radykalną zmianą społecznej po-

zycji księdza. Społeczne ujawnianie się kapłaństwa musi być w związku z tym inne. Może w przyszłości nie ma ono opierać się na kierowaniu ludem Bożym, tylko na współtowarzyszeniu mu w jego drodze duchowej. Nie w roli nadrzędnej pod względem mentalnym czy społecznym.

Ks. Andrzej Kobyliński: – Na naszych oczach papież Franciszek przeprowadza głęboką reformę Kościoła, do której kluczem są jego decentralizacja i synodalizacja. Do tej wielkiej reformy trzeba w pewnym sensie dopasować całą resztę: rozumienie papieństwa, interpretację prawd wiary i moralności, model parafii, władzę biskupów itd. Oczywiście, w tym wszystkim bardzo ważne jest właściwe, współczesne rozumienie kapłaństwa. Chodzi o zlikwidowanie wszelkich możliwych form klerykalizmu. Ograniczenie władzy finansowo-administracyjnej biskupów i księży na poziomie zarządzania parafią i diecezją, a zwrócenie większej uwagi na ich funkcje liturgiczne, duchowe, sakralne. Wprowadzenie takiego modelu sprawiłoby, że relacje duchownych z wiernymi stałyby się bardziej partnerskie, a nie oparte na zasadzie feudalnej zależności.

Ks. Roy Donovan: – Żyjemy w czasach przejściowych, bez mapy drogowej. Kapłaństwo musi zostać obecnie zastąpione przez wiele nowych rodzajów posług. Nadszedł czas, żeby je wymyślić na nowo.

© MARCIN CHODUŃ

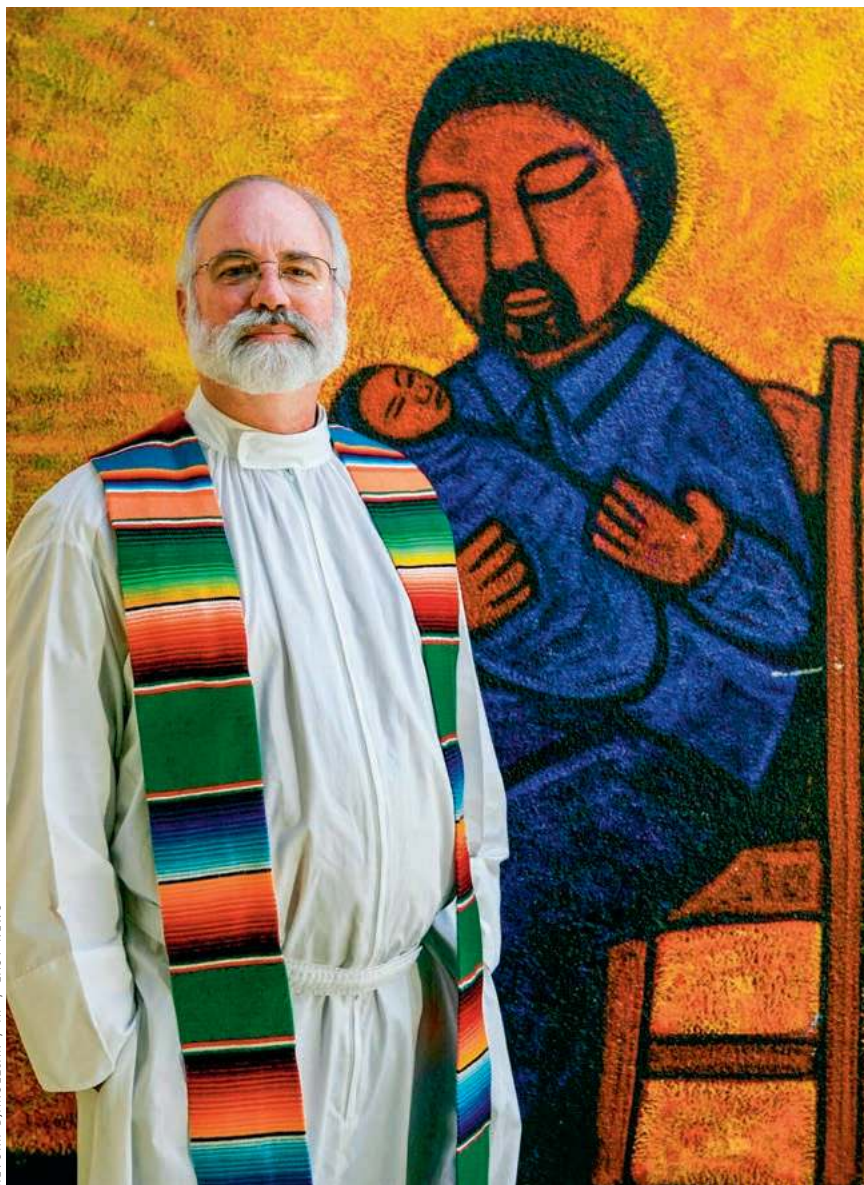
REKLAMA

Mistrzyni rozmowy,
Katarzyna Kubisiowska,
zaprasza do intymnego
świata wyjątkowych
osobowości

Premiera
27 października



Nosowska, Tokarczuk,
Kulig, Wilczyński, Holland,
Santor, Bonowicz,
Bargielska, Zagajewski,
Bieńczyk, Braunek, Englert,
Glińska, Hund, Klicka,
Przemyk, Pilch, Łoziński,
Barański i inni



Bezwarunkowe miłosierdzie

KS. GREG BOYLE SJ, ZAŁOŻYCIEL I SZEF HOMBOY INDUSTRIES:

Członkowie gangu mogą mówić, że wstąpili do niego dla prestiżu. Ale często jest to ucieczka przed własną matką.

MARTA ZDZIEBORSKA:

W książce „Tattoos on the heart” („Tatuaże na sercu”) pisze Ojciec, że jako młody kapłan miał pracować na jezuickim uniwersytecie Santa

Clara, ale wyprosił u prowincjała przeniesienie do parafii w biednej dzielnicy Los Angeles – Boyle Heights. Dlaczego Ojciec nazywa tamte starania samolubnymi?

KS. GREG BOYLE (ur. 1954) jest amerykańskim jezuitą, który na przełomie lat 80. i 90. zeszłego wieku, gdy w Los Angeles w wyniku porachunków między gangami ginęło nawet tysiąc osób rocznie, założył Homeboy Industries – organizację pomagającą byłym więźniom i członkom gangów w zdobyciu zawodu. W ramach 18-miesięcznego kursu uczestnicy otrzymują zatrudnienie w jednym z prowadzonych przez organizację biznesów: restauracji, piekarni, kawiarni, sklepie spożywczym lub punkcie utylizacji elektrośmieci. Oferuje ona również pomoc psychologiczną i prawną, terapię uzależnień i usuwanie tatuaży, które symbolizują przynależność do gangu i odstraszały potencjalnych pracodawców.

Przecież motywacją była chęć pomagania potrzebującym.

GREG BOYLE SJ: Bo częściowo kierowałem mną właśnie egoizm. Chciałem pracować z ubogimi, bo wiedziałem, że tylko wtedy będę miał szansę na zgłębianie Ewangelii na co dzień. Przekonałem się o tym tuż po święceniach kapłańskich, gdy pojechałem w podróż do Boliwii. To tam, podczas posługi w niewielkiej górskiej wiosce, zrozumiałem, że pomaganie innym działa w dwie strony. To doświadczenie bardzo mnie zmieniło i po powrocie do Kalifornii nie wyobrażałem sobie pracy kapłana na uniwersytecie. Na szczęście znałem wtedy trochę hiszpański i prowincjał uznał, że przydam się w parafii Dolores Mission w Boyle Heights.

I jako 32-latek został Ojciec proboszczem parafii w jednej z najbardziej niebezpiecznych dzielnic Los Angeles.

Gdy zaczynałem posługę w Boyle Heights, w naszej okolicy rywalizowało ze sobą osiem gangów. Do strzelanin dochodziło non-stop: rankiem, w południe, w nocy. W najgorszym okresie pochowałem ośmiu nastolatków w ciągu zaledwie trzech tygodni. Nie zapomnę pierwszego takiego pogrzebu w 1988 r. Żegnaliśmy wtedy Rafaela. Został zadżgany na śmierć w parku w pobliżu naszego kościoła. Od tamtej pory pochowałem już 251 członków gangów – nie tylko z Boyle Heights, ale też z innych rejonów Los Angeles. Nigdy nie chcia-

łem i nie chcę patrzeć na taką przemoc bezczynnie.

W reportażu amerykańskiej telewizji CBS z 1992 r. widać, jak Ojciec zaczepia młodych chłopaków na ulicy i prosi ich, by trzymali się z daleka od terytorium rywalizujących z nimi gangów. Nie bał się Ojciec?

Szczerze mówiąc nie. Odwiedzałem wcześniej tych chłopaków w areszcie i szpitalu, gdy byli ranni. Po wyjściu na wolność mówili o mnie swoim kolegom i tak powoli zdobywałem ich zaufanie.

O czym rozmawiali z Ojcem podczas pobytu w szpitalu lub areszcie?

To był czas, gdy czuli się bezbronni. Często przy mnie płakali. Na ulicy zgrywali twardych, ale w chwilach słabości ściągali maski i mówili mi o tym, co w życiu przeszli. To zmieniło moją perspektywę i zacząłem im współczuć.

Często powtarza Ojciec, że młodzi ludzie dołączają do gangów nie po to, żeby czegoś doświadczyć, ale po to, by od czegoś uciec. Od czego?

Przede wszystkim od traumatycznych przeżyć w dzieciństwie. Większość członków gangów wychowywało się bez ojca. Z drugiej strony nie mogli liczyć na wsparcie matki, która była albo bierna i wycofana, albo stawiała się katem dla swoich dzieci. Pamiętam historię Gusa. Jego matka przypalała go papierosami albo wsadzała mu głowę do muszli klozetowej i spuszczała wodę, podtapiając własnego syna. Gus mógł mi mówić, że wstąpił do gangu dla prestiżu czy z jakiegoś innego powodu, ale w głębi serca to była ucieczka przed własną matką.

O tym, jak wiele przeżyli członkowie gangów, pokazują wyniki badania Adverse Childhood Experiences Study. W teście padają pytania o to, czy w rodzinie dochodziło do przemocy fizycznej, psychicznej i seksualnej, czy któryś z rodziców miał chorobę psychiczną, siedział w więzieniu lub był uzależniony od narkotyków. Osoby zgłaszające się po pomoc do naszej organizacji zwykle odpowiadają twierdząco na 9 z 10 pytań. Dla porównania, ja z takiego testu mam zero punktów. A przecież też wychowywałem się w Los Angeles.

Psycholodzy mówią, że wystarczy odpowiedzieć twierdząco na pięć

pytań, by być uznanym za osobę cierpiącą potencjalnie na zaburzenia psychiczne. Czy uzdrowienie człowieka, którego matka podtapiała w muszli klozetowej, jest w ogóle możliwe?

W przypadku Gusa to się udało. Pracuje teraz jako ochroniarz i prowadzi dość dobre, normalne życie.

Co pomogło mu wyjść na prostą?

Kluczowe dla jego uzdrowienia było przebaczenie matce. Gus zrozumiał, że nie chciała być dla niego podłą czy okrutna. Ona po prostu była chora psychicznie. Swojej matce wybaczył też inny mężczyzna. Jako dziecko był bity niemal codziennie. Gdy miał zaledwie sześć lat, matka mówiła mu wręcz, że powinien się zabić. W pewnym momencie zawiozła go nawet do sierocińca w Meksyku, przekonując personel, że znalazła dziecko na ulicy.

Przypuśćmy, że osoba z podobnym bagażem doświadczeń odchodzi z gangu i aplikuje o 18-miesięczny program zatrudnienia w Homeboy Industries. Jak wygląda procedura kwalifikacyjna?

Każda osoba, która chce dołączyć do naszego programu, musi mieć negatywny wynik testu na obecność narkotyków. Taką kontrolę przeprowadzamy potem cyklicznie. Po serii rozmów kwalifikujemy kandydatów do kursów zawodowych odpowiadających ich potrzebom.

Czy dużo osób rezygnuje w trakcie z pomocy?

Oczywiście. Funkcjonujemy na podobnej zasadzie jak ośrodek uzależnień. Czasami pytasz kogoś, ile razy był na odwyku, i on odpowiada, że był już dziesięć razy. Z naszymi projektami jest podobnie. Ale podopiecznym gwarantujemy jedno: jeśli do nas wrócą, zawsze mogą liczyć na dawkę Homeboy.

Czyli na co dokładnie?

Na to, że potraktujemy ich z łagodnością i współczuciem. Będziemy zwracać się do nich po imieniu, z szacunkiem. Oni tego potrzebują, bo nie doświadczyli w życiu spokoju i ukojenia. I nawet jeśli znów trafią do więzienia, to po wyjściu na wolność zapewne do nas wrócą.

Czy są jednak jakieś granice pomocy? W jednym z wywiadów opowiadał Ojciec o mężczyźnie zabitym przez dwóch byłych uczestników projektów Homeboy Industries. Ojciec znał całą trójkę. Czy po wyjściu z więzienia sprawcy zabójstwa mogliby ponownie skorzystać z Waszego wsparcia?

Tak, przyjmujemy każdego. Wielokrotnie trafiali do nas byli członkowie gangów, zabójcy ludzi, których znałem. Ale to nie oznacza, że nie okażę im miłostki i nie pomogę im znaleźć pracy. Homeboy to miejsce, w którym można doznać odkupienia win. Jednocześnie to miejsce, gdzie ramię w ramię pracują ze sobą dawni wrogowie – ludzie należący kiedyś do rywalizujących ze sobą gangów.

Czy dochodzi między nimi do bójek?

Bardzo często. Na przykład wczoraj dwie kobiety pokłóciły się i zaczęły się bić. Ale koordynatorami wielu projektów są byli członkowie gangów, którzy wiedzą, jak rozwiązywać takie konflikty. Zawsze powtarzamy, że jeśli ktoś nie jest gotowy – może zrezygnować i wrócić do nas za jakiś czas. Ale jeśli chce dalej pracować, to musi dogadać się z innymi.

I właśnie w takich sytuacjach trudno mi uwierzyć, że działacie wyłącznie w oparciu o łagodność i akceptację.

Ale od tego trzeba zacząć. Agresja i przemoc są oznaką innego, głębszego problemu, z jakimi zmagają się członkowie gangów. Dlatego aby skłonić naszych *homies* [uczestników programów pomocowych Homeboy Industries – red.] do pracy nad sobą, musimy najpierw podejść do nich z łagodnością. Tylko wtedy poczują się bezpiecznie i pójdą na warsztaty radzenia sobie z agresją. Wielu myśli, że wystarczy załatwić takim ludziom pracę i po sprawie. Jeśli coś im potem nie wyjdzie, to znaczy, że nie potrafili pracować albo byli leniwi. A tu nie o to chodzi. Źródłem większości problemów są ich rany z przeszłości.

Dlatego po latach pracy z członkami gangów zaczęliście oferować im nie tylko zatrudnienie, ale także terapię. Zdaje się, że na zmianę strategii wpłynęła konkretna historia.

Dokładnie tak. Chodzi o Roberta, któremu załatwiliśmy pracę, a w zasadzie →

→ karierę w branży filmowej. Chłopakowi bardzo dobrze szło i pewnie dalej odnosiłby sukcesy, gdyby nie to, że rzuciła go dziewczyna. Wpadł wtedy w rozpacz, upił się i wdał się w bójkę z innym mężczyzną. Obaj mieli przy sobie broń. Gdy doszło do szamotaniny, Robert strzelił w jego kierunku i go zabił. Został skazany na 125 lat więzienia.

Po tamtym wydarzeniu zdałem sobie sprawę, że to, iż były członek gangu znalazł pracę lub zdobył wykształcenie, nie musi oznaczać, że nie trafi znów do więzienia. Ale ci, którzy przepracowali swoje traumy z dzieciństwa, mają szansę nie wrócić na złą drogę.

Nie brakuje krytyków, którzy zarzucają Ojcu naiwność, a nawet chronienie członków gangów przed policją. Sześć lat temu w Los Angeles głośno było o federalnym śledztwie, które m.in. ustaliło, że wśród uczestników Waszych programów pomocowych znaleźli się członkowie meksykańskiej mafii. Według śledczych traktowali Homeboy Industries jako przykrywkę do działalności przestępczej.

Po pierwsze, nigdy nie kryliśmy nikogo przed policją. Jeśli ktoś popełnia przestępstwo, to powinien za nie odpowiedzieć. Natomiast jeśli chodzi o tamto śledztwo, to rzeczywiście z nagrań pozyskanych przez prokuraturę udało się ustalić, że oskarżeni rozmawiali w naszej kawiarni o handlu narkotykami. Muszę jednak podkreślić, że żadna z tych osób nie była pracownikiem Homeboy Industries.

Powróćmy jeszcze do lat 80., gdy rozkręcał Ojciec swój pierwszy program aktywizacji zawodowej dla członków gangów. Jaka była wówczas reakcja ze strony mieszkańców i lokalnej policji?

Spotkałem się z dużą nieufnością, także ze strony parafian. Ludzie powtarzali, że Kościół jest dla dobrych ludzi i nie ma w nim miejsca na członków gangów. Przez pierwsze dziesięć lat nasza organizacja dostawała listy z wyzwiskami, groźbami śmierci i groźbami podłożenia bomby. Pisali też funkcjonariusze policji. Jeden na przykład napisał, że mnie nie nawidzi i uważa, że swoimi działaniami przyczyniam się do wzrostu przemocy na ulicach. To były zresztą czasy, gdy wyjątkowo mocno demonizowano członków

Przyjmujemy każdego.

Wielokrotnie trafiali do nas byli członkowie gangów, zabójcy ludzi, których znałem.

Ale to nie oznacza, że nie okażę im miłosierdzia i nie pomogę im znaleźć pracy.

gangów, co jeszcze bardziej pogłębiało ich marginalizację i utrudniało przerwanie spirali przemocy.

Często powtarzałem i powtarzam, że zamiast od razu oceniać członków gangów, powinniśmy najpierw przyjrzeć się temu, co przeżyli w przeszłości. Nie można od razu skreślać zranionych, tylko trzeba ich przyjmować z otwartymi ramionami. Taka sama zasada dotyczy nie tylko potrzebujących: bezdomnych czy trudnej młodzieży, ale także osób, które mają odmienne zdanie niż my. Podstawowym problemem jest to, że z założenia dzielimy ludzi na dobrych i złych. A przecież każdy z głębi serca jest dobry.

W tym kontekście ciekawi mnie, jak Ojciec postrzega obecną w amerykańskim Kościele dyskusję, czy udzielać komunii świętej politykom popierającym liberalne prawo aborcyjne.

Jeśli ktoś chce komuś zakazać przyjmowania komunii, to znaczy, że jest przepełniony strachem i nie rozumie przesłania Ewangelii. Cechą prawdziwego chrześcijanina jest radość i odwaga, a nie strach i smutek! Jezus mówił o czterech wartościach: poczuciu przynależności, bezwarunkowej miłości, współczującej akceptacji oraz niestosowaniu przemocy. Jeśli naprawdę weźmiemy to sobie do serca, to nie będziemy skupiać się na tym, czy prezydent Joe Biden powinien przyjmować komunię świętą, czy nie. Takie rozważania są niezdrowe. Nikt, kto pozostaje w harmonii z samym sobą, nie będzie w ogóle zajmował się takimi sprawami.

Czy ma Ojciec w amerykańskim Kościele wrogów?

Miałem trudny moment w 1992 r., gdy musiałem przerwać pracę w parafii

Dolores Mission i rozpocząć procedurę trzeciej probacji. Nie brakowało wtedy głosów, że po odbyciu probacji nie powinienem wracać do posługi w Los Angeles.

Dlaczego?

Chyba głównie dlatego, że w archidiecezji Los Angeles rozkręcano wówczas konkurencyjny program pomocowy dla byłych członków gangów. Ale to było prawie 30 lat temu i teraz mam lepsze relacje z przełożonymi. Zresztą stworzone przez nas projekty stanowią dziś wzór do naśladowania dla organizacji w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie.

Czy po tylu latach jest jeszcze coś, co stanowi dla Ojca wyzwanie w pracy z członkami gangów?

Na pewno to, że zawsze muszę mieć w stosunku do nich szerszy zakres tolerancji. To w głębi serca dobrzy ludzie, ale czasami doprowadzają mnie do szału. Zawsze biorę wtedy głęboki oddech i powtarzam sobie, że to z powodu ich traumatycznych przeżyć z przeszłości. Na przykład spójrzmy na historię chłopaka, który stoi teraz pod drzwiami mojego biura i pilnuje, by nikt nie przeszkadzał mi podczas naszej rozmowy. Jeszcze cztery lata temu ten sam chłopak kazał mi, za przeproszeniem, „sp...ć”. Wtedy nie był gotowy na pomoc. Przyszedł do Homeboy za namową dziewczyny i wściekł się, gdy powiedziałem, że dostanie pracę, ale pod warunkiem, że zerwie wszelkie kontakty ze swoim gangiem. Dałem wtedy jego dziewczynie wizytówkę. Powiedziałem, że czekam na kontakt, gdy jej chłopak ochłonie i będzie gotowy na pomoc. No i w końcu się odezwał. Dziś jest nie do poznania. Usunął u nas wszystkie tatuaże i już od dłuższego czasu pracuje jako ochroniarz i kierowca.

Czy odejście z gangu nie wiązało się dla niego z problemami? W końcu podkradacie gangom siłę roboczą. Z Waszego 18-miesięcznego programu zatrudnienia korzysta około 450 osób rocznie.

Wielu myśli stereotypowo, że taka sytuacja może wywoływać konflikty. Do tej pory jednak ani razu nie dostaliśmy listu z pogrózkami od członków gangów. Może dostrzegają w naszych działaniach nadzieję na to, że można się z tego wszystkiego wyrwać.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Doktor Jedności

KS. PRZEMYSŁAW SZEWCZYK

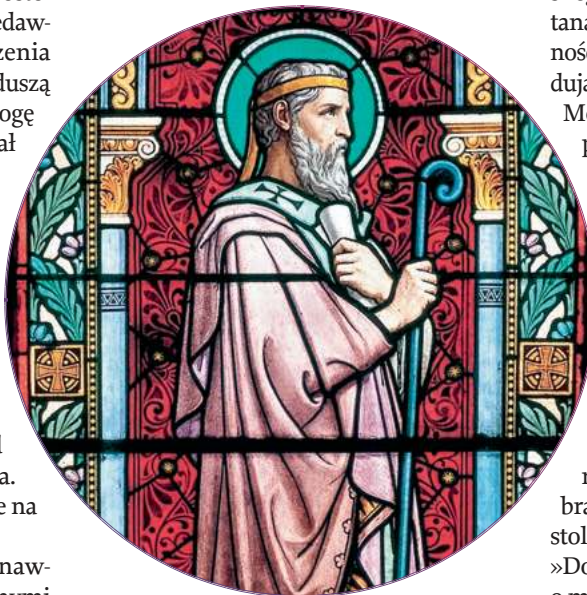
Papież zapowiedział, że żyjącemu w II wieku Ireneuszowi z Lyonu nada tytuł Doktora Kościoła.

W LIŚCIE DO FLORINUSA – CYTOWANYM przez Euzebiusza z Cezarei w „Historii kościelnej” – Ireneusz z Lyonu wspomina swoje dzieciństwo, podczas którego przyswajał z zachwytem naukę chrześcijańską głoszoną przez Polikarpa, ucznia św. Jana Apostoła: „Lepiej pamiętam te czasy niż niedawne zdarzenia, bowiem doświadczenia z dzieciństwa rozwijają się razem z duszą i zrastają z nią do tego stopnia, że mogą nawet wskazać miejsce, gdzie siadał i przemawiał błogosławiony Polikarp, jak wychodził i wchodził, jaki był jego tryb życia i sylwetka ciała, jak przemawiał do ludu, jak opowiadał o swoich kontaktach z Janem i innymi, którzy widzieli Pana, jak przypominał ich słowa i to, co od nich słyszał o Panu, o Jego cudach, o nauce, tak jak Polikarp opowiadał to, co przejął od naucznych świadków Słowa Życia. (...) Przechowałem to w pamięci, nie na kartach, ale w swoim sercu”.

Gdy więc wielu jego współwyznawców fascynowało się przypudrowanymi chrześcijańską retoryką naukami gnostyków, bił na alarm, walcząc o wierność doktrynie Apostołów: „Mogę zaświadczyć, że ten błogosławiony i apostołski prezbiter, gdyby słyszał coś podobnego, krzyknąłby i zatkał sobie uszy, i zgodnie ze swym zwyczajem zawołał: »Dobry Boże, jakich to kazałeś mi dożyć czasów, że muszę znosić takie rzeczy!«, i słysząc takie słowa, uciekałby z miejsca, w którym by siedział czy stał”.

Ten obrońca wiary apostołskiej przed kuszącymi chrześcijan gnostykami niebawem zostanie ogłoszony Doktorem Kościoła. Taka zapowiedź padła z ust papieża Franciszka podczas niedawnego spotkania z przedstawicielami katolicko-prawosławnej grupy roboczej świętego Ireneusza. O taki tytuł dla św. Ireneusza od lat zabiegali biskupi francuscy, złasz-

cza kard. Philippe Barbarin, w latach 2002-2020 biskup Lyonu i prymas Galii. Bowiem znaczenie tego świętego biskupa z II wieku znacznie wykracza poza jego czas i miejsce.



Św. Ireneusz, witraż autorstwa Luciena Bégule'a (1901 r.) w kościele pod wezwaniem świętego w Lyonie.

Papież podał główny motyw swojej decyzji: „Święty Ireneusz z Lyonu przybył ze Wschodu, pełnił swoją posługę biskupią na Zachodzie i był wielkim duchowym oraz teologicznym mostem pomiędzy wschodnimi i zachodnimi chrześcijanami”. Franciszek wspominał także o szczególnym tytule, który przyzna biskupowi Lyonu: Doctor Unitatis, Doktor Jedności.

Biskup i pisarz

Rzeczywiście przyszły biskup leżącego nad Rodanem miasta przyszedł na świat – jak się szacuje – między 135 a 140 ro-

kiem w Smyrnie w Azji Mniejszej (dziś Izmir w Turcji). We wczesnym dzieciństwie poznał św. Polikarpa i zaczerpnął od niego wrażliwość na niebezpieczeństwo gnozy, która w tamtym czasie silnie inspirowała się nauką chrześcijańską, co prowadziło do niebezpiecznego zatarcia granic między doktryną przekazywaną przez apostołów a naukami mistrzów gnozy. W 177 r. spotykamy Ireneusza już w Lyonie jako członka kolegium prezbiterów, ale ani motywy, ani dokładny czas jego przeniesienia się do Galii nie są znane.

W Kościele galijskim cieszył się szacunkiem i wyznaczony został na przewodniczącego delegacji wysłanej przez tamtejszą wspólnotę do Eleuteriusza, ówczesnego biskupa Rzymu, w sprawie Montana, którego nauki zdobywały popularność już nie tylko we Frygii, krainie sąsiadującej z ojczyzną Ireneusza, gdzie działał Montan, ale także w Galii i Rzymie. Po powrocie z tej misji Ireneusz został wybrany biskupem Lyonu i pełnił swoją posługę aż do męczenniczej śmierci w 202 lub 203 roku.

Św. Hieronim poświęcił Ireneuszowi XXXV rozdział swojego pisma „O wybitnych mężach”, wymieniając przy okazji pozostawione przez niego dzieła: „Napiisał pięć ksiąg »Przeciw herezjom«, małe dziełko »Przeciw poganom«, rozprawę »O karności«, następnie »Do brata Marcjona o przepowiadaniu apostołskim«, »Księgę różnych traktatów«, »Do Błasta o schizmie« i »Do Floryna o monarchii, czyli że Bóg nie jest twórcą zła« oraz piękną rozprawę »O ogdoadzie«. Od Hieronima wiemy także, że Ireneusz pisał do Wiktora, biskupa Rzymu, w sprawie sporu o świętowanie Paschy, którą wiele Kościołów Wschodu – w tym Kościoły Janowe, jak ten w Smyrnie, z którego pochodził biskup Lyonu – obchodziło razem z Żydami 14 dnia miesiąca nisan.

Niestety całość pism Ireneusza nie zachowała się do naszych czasów. Przetrwało powstające etapami dzieło „Przeciw herezjom”, tekst skierowany do Marcjona na temat apostołskiego przepowiadania oraz kilka fragmentów cytowanych w dziełach innych starożytnych autorów. Zachowane pisma wystarczają jednak, jak napisał we wstępie do przygotowanej przez siebie antologii pism Ireneusza z Lyonu Hans Urs von Balthasar, →

→ „aby autora zaliczyć do niezaprzeczalnie największych teologów jego stulecia”.

Spór z gnostykami

Ireneusz działał w czasie prześladowań młodej religii przez potężną machinę Imperium Rzymskiego. Mentor Ireneusza, Polikarp, poniósł śmierć męczeńską na miejskim stadionie w Smyrnie, a kilka lat wcześniej tamtejszy Kościół gościł u siebie innego sławnego męczennika, Ignacego z Antiochii, który w asyście cesarskiego wojska prowadzony był do Rzymu, gdzie miał ponieść śmierć podczas teatralnego widowiska. Tym bardziej znamienne jest, że to nie nienawiść i niesprawiedliwość, której doświadczał Kościół, są głównym zmartwieniem Ireneusza, ale kwestie doktrynalne.

Spór pomiędzy nauką kościelną a gnostykiem mitem wydaje się nam obecnie egzotyczny, zwłaszcza z powodu fantastycznych konstrukcji gnostyckiej mitologii, w której roi się od przedziwnych eonów i emanacji duchowej Pleromy, ale wywodząca się z gnostycyzmu pokusa głębokiego przeciwstawienia ciała i ducha niestety pozostaje trwała do dziś. Dlatego nie traci aktualności teologiczny wysiłek Ireneusza z Lyonu, by wykazać, że ortodoksyjna doktryna chrześcijańska wyznaje prawdziwe przyjęcie ciała przez duchowe Słowo i upatruje narzędzie zbawienia w autentycznym człowieczeństwie, prawdziwym cierpieniu krzyża i prawdziwym zmartwychwstaniu.

Po osiemnastu wiekach
Ireneusz przypomina
o potrzebie przeżywania
chrześcijaństwa
w szerokiej perspektywie,
**obejmującej różne tradycje
chrześcijańskie.**

Benedykt XVI w katechezie o Ireneuszu z Lyonu zwraca uwagę na inną, także i dziś dyskutowaną kwestię: na znaczenie tradycji. W polemice z mistrzami gnozy Ireneusz posługuje się zarzutem, że tego, co głoszą, nie przejęli od apostołów. Rzeczywiście, ruchy gnostyczne oferowały swoim adeptom naukę tajemną i bardziej wzniosłe rozumienie doktryn publicznie głoszonych. Bazując na miłym dla ludzkiej próżności przekonaniu, że sięga się głębiej niż pozostali, gnostycy tworzyli chrześcijaństwo elitarne. Takie rozumienie religii chrześcijańskiej było dla Ireneusza czymś zupełnie odmiennym od nauk, które przekazywali Kościołowi apostołowie.

Jedność w różnorodności

Ogłoszenie Doktorem Kościoła pochodzącego z azjatyckiej Smyrny Ireneusza, który posługę biskupią pełnił na Zachodzie,

będzie przypomnieniem o potrzebie przeżywania chrześcijaństwa i podejmowania refleksji teologicznej w szerokiej perspektywie, obejmującej różne tradycje chrześcijańskie.

Zdolność chrześcijaństwa do postrzegania prawdy w jej różnych ujęciach czyni z niej narzędzie pokoju, płynące z zachowania jedności w różnorodności. Idąc za Euzebiuszem z Cezarei, który o Ireneuszu z Lyonu napisał, że „nie na darmo nosił swoje imię i czynnie szerzył pokój [z gr. Ireneusz to „pokojowy”], upominał w ten sposób i przemawiał wśród Kościołów na rzecz pokoju”, papież Franciszek także zwrócił uwagę na obecność w imieniu biskupa Lyonu słowa „pokój”. „Pokój Pański nie jest pokojem wynegocjowanym, owocem uzgodnień zmierzających do zachowania poszczególnych interesów – przypomina papież – ale pokojem, który jedna”.

Tym właśnie jest tradycja apostolska: przekonaniem, że uwierzyliśmy Bogu, który stał się człowiekiem i który – jak napisał Ireneusz w III księdze „Przeciw herezjom” – „wszystkie ludy rozproszone od czasów Adama na wszelkie języki i pokolenia ludzkie, razem z Adamem zjednoczył w samym sobie”.

© KS. PRZEMYSŁAW SZEWCZYK

Autor jest historykiem Kościoła, patrologiem, tłumaczem dzieł Ojców Kościoła.

Współzałożyciel Stowarzyszenia „Dom Wschodni – Domus Orientalis”.

REKLAMA

SZTUCZNA INTELIGENCJA – PODRÓŻ W NIEZNANE

DEBATY

Sztuczna inteligencja i społeczeństwo

04.11., 18.11., 25.11 / na żywo / Kraków

PREZENTACJE

Sztuczna inteligencja i sztuka

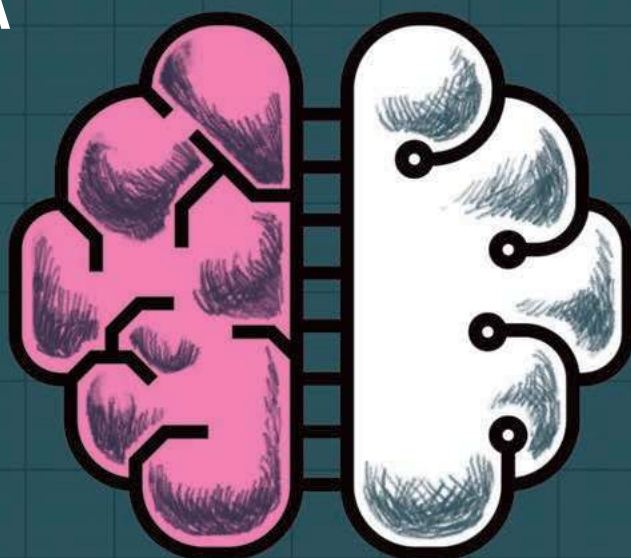
02.12., 09.12. / na żywo / Kraków

Antydystopijny kongres: 12.11 / online

Pokaz filmów: 09–14.11 / online

Wszystkie informacje na stronie:

www.goethe.de/krakow/SI



**GOETHE
INSTITUT**

Partner

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

ZUZANNA

Radzik: Nauczyciel



ZGONY NA GRANICY, ZGONY W SZPITALACH. Przyzwyczajamy się? Dla obrony swojego i cudzego życia nawet maseczkę ciężko założyć. Tak jak się spodziewaliśmy, obrona życia przejawia się tylko w dyscyplinowaniu kobiet, broń Boże w oczekiwaniu, że klient dyskontu będzie musiał zakryć nos i usta.

I jeszcze ten plakat z manifestacji zeszłorocznych realizuje się rok później jak klątwa: „Bronie życia? Przyjmijcie uchodźców”. Nastąpiło wielkie „sprawdzam”. Chyba nikt nie miał złudzeń, ale czy ktoś myślał, że słowa „go, go” nie będą brzmiały jak sportowy doping, tylko jak wypędzanie bliźniego?

Boję się, że przywyknę do tego wszystkiego. Przycupnęłam w sobie i bardzo kusi mnie, by wyprzeć, że to mój kraj podjął się roli przedmurza czegoś (bo nie chrześcijaństwa), chce bronić ojczyzny wielką armią, ogłasza III wojnę i śni o budowie muru. Kiedy to było, gdy śmialiśmy się z wyższością z Trumpa i jego muru?

Z tego skulenia wyrwywa mnie inna śmierć. Bliska. Odszedł nagle charyzmatyczny nauczyciel Zbigniew Wiczorek. Druh wspólnej, polsko-żydowskiej sprawy. Prawy, mądry, którego zawadiacko roześmiane oczy nie dadzą się zapomnieć. Tacy ludzie nie powinni odchodzić, zostawiając nas w ponurych czasach.

Zbyszku, mówiłeś, że uczysz o Żydach, działasz, upamiętniasz, bo dręczy cię cisza po nich. Ale też cisza nasza, społeczna. Zapomnienie, niemówienie, niepamiętanie. Zmaganie z tą ciszą to w Polsce nie jest przynoszące popularności zajęcie. To też pamiętam i wiem, że raniło. A i tak mówiłeś: „Nie mogę na to milczenie nie reagować. To, co robię w sprawie pamięci, jest odpowiedzią na ciszę, brak i milczenie”.

W ramach odpowiedzi na tę ciszę stawiałeś co roku z uczniami w prostym, a wciąż rzadkim w tym kraju gościu: odczytywaliście listę przedwojennych żydowskich mieszkańców Radomia. Było ich zbyt wielu, by zmieścić w jednej uroczystości, więc czytaliście fragmenty, rok po roku, a plac po synagodze wypełniał się nazwiskami. Chciałbyś na pewno, by inni robili podobnie, rozumiejąc, że tak trzeba.

Wśród powodów, dla których uczyłeś właśnie tak i właśnie tego, wymieniałeś: „Nie chcę uczniów zostawić sam na sam z trudną moralnie problematyką”. I jeszcze dodawałeś, że starasz się pokazać własnym zaangażowaniem postawę, którą należy zająć wobec antysemityzmu. A za tym wszystkim kryła się nadzieja, że uda ci się uczniów zaszczerpić przeciw obojętności na przeszłe i przyszłe losy innych wśród nas.

Uważałeś chyba, że bycie polonistą zobowiązuje. Twierdziłeś, że gdy się uczy polskiego, pojawiają się liczne powody, by zająć się kwestiami polsko-żydowskimi. W końcu uczniowie muszą poznać kontekst, a w tym kontekście Żydzi byli. Na pewno byli w Radomiu. Liceum im. Jana Kochanowskiego, w którym uczyłeś, stało parę domów od miejsca, gdzie mieściło się przedwojenne żydowskie Gimnazjum Koedukacyjne Towarzystwa Przyjaciół Wiedzy. Powiedziałybyśmy, że to sprawiło, iż ciężko przed tą historią uciec, ale oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda. Da się, niemal cały kraj ucieka. Więc nie musiało, tylko chciało się od tego nie odwrócić. Odkrywaliście z uczniami tamtych nauczycieli i uczniów, a przez nich tamten Radom i Polskę.

Skąd wzięłeś mocne przekonanie, że to, co robisz, leczysz również tych, którzy musieli wyjechać, lub których rodzice wyjechali? Czy zrodziło się, gdy zbieraliście relacje dawnych uczniów gimnazjum żydowskiego, rozmawiając o Radomiu z izraelskimi radomiankami? Gdy spotykałeś ocalałych z Zagłady mieszkańców twojego miasta? Potem już wiedziałeś, ile to znaczy. Gdy ktoś upchnął nam księgę pamięci w walizce, by oddać ją tobie, od razu zabrałeś się za przygotowanie jej wydania. Pamiętam, gdy przedstawiliśmy ci Sharon i Hildzie, córkom radomskich Ocalałych. Nie spodziewałam się, że od razu zaczniesz obradować przez ocean, by wkrótce zorganizować pierwszy od kilkudziesięciu lat seder w Radomiu. Na rozpoczęcie święta Pesach przyjechały z rodzinami, które patrzyły z niedowierzaniem. Pamiętam, że posadziłeś mnie wśród pięciu księży, którzy... nie przyszli. Siedziałam tak otoczona pustką, przegryzając macę z chrzanem i łypiąc na ciebie niezadowolona. Oboje wiedzieliśmy, co to mówi o Kościele w Polsce.

Pamiętasz ten happening, gdy w odpowiedzi na milczenie władz miasta postawiłeś proponowane przez siebie tablice, tymczasowo oznaczające szlak pamięci radomskich Żydów?

Potem wreszcie powstał ten szlak, o który już razem z Sharon i Hildą zabiegaliście. Zjechali się żydowscy radomianie, by to zobaczyć. A teraz płaczą po tobie właśnie ci, dla których swoją wieloletnią pracę i ludzkim ciepłem stworzyłeś kojącą przestrzeń dialogu i spotkania.

Czytałbyś pewno ten felieton, gdybyś nam nie umarł. ©

Lekcje czytania

Zapraszamy na warsztaty poświęcone twórczości **CHRISTINE LAVANT**, ze szczególnym uwzględnieniem noweli „**Chłopak**” z tomu „Historia zapisana na drzwiach i dwie inne opowieści” w przekładzie Małgorzaty Łukasiewicz, które poprowadzi historyk literatury, krytyk i eseista Jan Balbierz.

Warsztaty zaprezentowane zostaną **online w środę 10 listopada o godz. 12.00** na profilu **FB/LekcjeCzytania**.

Współorganizatorem wydarzenia jest Austriackie Forum Kultury w Warszawie.





W CIENIU CUMBRE VIEJA

Wybuch wulkanu zmusił do ewakuacji siedem tysięcy ludzi, niszcząc ich domy. O tym, jak wygląda dziś życie na wyspie La Palma, opowiadają jej mieszkańcy.

MAŁGORZATA PROCHAL I AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z LA PALMY (WYSPY KANARYJSKIE)

WYBUCH

19 września, niedziela, godzina 15.10 czasu lokalnego.

BARTŁOMIEJ Z TAZACORTE: Pływałem w oceanie, gdy zobaczyłem ogromny słup dymu. Mieszkańcy spoglądali w niebo, wskazywali w jego kierunku. Czym prędzej wynurzyłem się z wody i w samych kąpielówkach poszedłem po znajomą. Plecak, buty i okulary zostały na plaży, a część rzeczy, w tym paszport, w domu

kolegi. Wyobrażałem sobie scenariusz jak z Pompejów: rozżarzone kamienie spadające z nieba. Gdy pojawia się zagrożenie, różne abstrakcje przychodzą do głowy. Stwierdziłem, że głupio byłoby zginąć pod warstwą popiołu, wsiedliśmy więc do pierwszego przejeżdżającego auta. Przed nami utworzył się korek, a jedyna droga ewakuacji prowadziła w kierunku chmury dymu. Gdy znaleźliśmy się już w miejscu, gdzie nie zagra-

żał nam strumień lawy, poczuliśmy euforię. Pierwszej nocy z szeroko otwartymi oczami patrzyliśmy na płonącą górę. To był spektakularny widok.

JUSTYNA Z SANTA CRUZ DE LA PALMA: Byłam na koncercie reggae. Miał skończyć się o północy, ale już o godzinie 22 organizatorzy kazali nam wracać do domów. Może ze względu na niewielką frekwencję lub alarmy wulkanowe – od ponad tygodnia

*Wulkan Cumbre Vieja,
18 października 2021 r.*

scu uderzyła mnie duża liczba służb na ulicach, wszechobecny popiół i chmura gęstego dymu. I dla kontrastu ludzie siedzący przy stolikach w restauracjach.

MIASTO POD POPIOŁEM **16 października, sobota,** **27 dni od wybuchu.**

Ze względu na ogromną ilość pyłu, w sobotę loty na La Palmę odwołano aż do niedzieli do godziny 13. Dzień przyniósł poważne erupcje w pobliżu głównego stożka wulkanicznego, ale zmniejszyła się prędkość wydobywającej się lawy – podał Instytut Wulkanologii Wysp Kanaryjskich.

■■■

Od wczesnego poranka przebywanie na zewnątrz jest męką. Stolica wyspy, Santa Cruz de la Palma, pokryła się czarnym pyłem. W ruch idą miotły i szufle. Wysilek, zwłaszcza sklepikarzy i restauratorów, to jednak syzyfowa praca. W miejsce uprzątniętego popiołu pojawia się nowy, choć miasto od wulkanu dzieli ok. 20 km. Do tego dochodzi kalima – drobny pył znad Sahary, który miesza się z tym wulkanicznym. Nieliczni przechodnie mrużą oczy, inni nie ściągają gogli pływackich. Co młodziejsi wychodząc z domu zabierają parasole i maseczki z filtrem. W krajobraz miasta wpisują się worki z wulkanicznym pyłem ustawiane przy głównych ulicach, które mają dziś zostać odebrane przez serwis wywozący śmieci.

W centrum, w jednej z XVIII-wiecznych kamienic, odwiedzamy Justynę, learkę ze Śląska. Z jej wpisu na Facebooku wiemy, że wolny dzień poświęca na zamiatanie dachu. Obawia się, że nagromadzenie pyłu może doprowadzić do jego zawalenia. – Po pracy pójde kupić kolejną miotłę, dwie poprzednie już się zużyły – mówi Justyna.

– Pięć dni po tym, jak w październiku 2017 r. przeprowadziłam się na wyspę, poczułam pierwsze trzęsienia ziemi. To były sygnały, że wulkan się budzi. Nikt się tym jednak nie przejmował. Myślałam, że to kwestia kilkunastu lat – zaczyna opowieść.

Gdy wybuchł wulkan, natychmiast dostała informację z pracy, że w koszarach może powstać szpital polowy. Odwołano wszystkie jej konsultacje plano- ➔

trzęsła się tu ziemia. Kolejnego dnia rano moje dzieci jak co niedziela pojechały bussem na lekcje skateboardingu. O dziewiątej zaczęły latać helikoptery. Wsiadłam do auta i pojechałam po dzieci. Bałam się, że coś eksploduje, gdy będę w tunelu. Poza służbami na ulicach nie było nikogo. To typowe dla Palmerczyków. Gdy coś się dzieje, zamykają się w domu na cztery spusty. Po piętnastej, gdy uciinałam sobie popołudniową drzemkę, przyszły dzieci i powiedziały: „Mamo, wybuchł wulkan”. Kiedy cztery lata temu zamieszkałam na wyspie, nie sądziłam, że do tego dojdzie.

SABINA Z LOS LLANOS: Krzątałam się po patio, weszłam do domu i jak zwykle chwyciłam za komórkę, by sprawdzić newsy ze świata. To taki mój rytuał, lubię być na bieżąco. Popatrzyłam na ekran telefonu, kolejne portale pisały, że wybuchł wulkan. To było godzinę po fakcie. Wcześniej nie poczułam żadnego tąpnięcia

ani wstrząsu. Wybiegłam z domu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Teraz trochę się tego wstydzę, ale pomyślałam: „Jakie to piękne”. Urodziłam się w Bytomiu: miście pełnym sadzy, z pojedynczymi rachitycznymi drzewkami. A tu raptem patrzyłam na wulkan w czasie erupcji.

ADAM Z TIGALATE: Byłam wtedy na Azorach. Na La Palmie została moja mama, która zajmowała się domem podczas naszej nieobecności. Najgorsze były pierwsze godziny, bardzo się o nią martwiłem. O wszystkim dowiadywałam się z mediów i od znajomych, którzy relacjonowali mi przebieg erupcji. Nie mogłem przyspieszyć powrotu, bo miałem po drodze liczne przesiadki. Najpierw musiałem dostać się na wyspę Sao Miguel, stamtąd do Lizbony, potem do Madrytu i na Teneryfę, gdzie mój lot został odwołany. Na La Palmę dotarłem promem. To wszystko w ciągu dwóch dni. Na miej-

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

→ wane na kolejny dzień. – Nie jestem specjalistą od medycyny katastrof, ale dyrekcja placówki, w której pracuję, poprosiła nas o przygotowanie *plan de emergencia*. Wybuch wulkanu to jedno, a krążyły też w mediach wieści o możliwym oderwaniu się fragmentu wyspy i ogromnym tsunami. Na szczęście się nie sprawdziły.

Tutejsi lekarze wciąż mają zwiększoną liczbę godzin, pracodawcy wymagają od nich pełnej dyspozycyjności. Justyna podkreśla, że martwią ją problemy zdrowotne ludzi, których dorobek całego życia zniszczyła lawa. Mało się o tym publicznie mówi: to silne zespóły lękowe, stres pourazowy, stany depresyjne.

Justyna: – To może być spektakularne pierwszego dnia, gdy wszystkie media pokazują niezwykle zdjęcia i mówią o nieznanym dotąd wyspie. Ale mnóstwo ludzi traci codziennie domy. Gdy przyjeżdżają do mnie na konsultację, nie mają ze sobą nic, żadnych rzeczy. Wszystko zostało w domach, z których musieli uciekać.

Wulkan wybuchł w innym miejscu, niż prognozowano. Justyna: – Ludzie pytają, jak można mieszkać na wyspie wulkanicznej. Ale tam, gdzie spodziewano się erupcji, przecież nikt się nie budował od lat. Wybuch był w niespodziewanym miejscu. Lawa zalała już całe miasteczko.

Justyna czeka na przyjazd rodziny i przyjaciół, z niepokojem śledzi wieści na temat lotniska na La Palmie. Są dni, gdy ilość pyłu zmniejsza się i linie lotnicze wznowiają na krótko połączenia. Ale sytuacja jest dynamiczna: – Lotnisko jest tu naszym oknem na świat. Tak samo jak port. Odwoływanie lotów to ogromny stres, dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy odcięci.

KOBIETA PRACUJĄCA 17 października, niedziela, 28 dni po wybuchu.

Tylko w ostatnich godzinach zarejestrowano ponad 50 nowych trzęsień ziemi. Z Cumbre Vieja lawa płynie z nowo powstałego otworu. Ángel Victor Torres, premier autonomicznego rządu Wysp Kanaryjskich (Wyspy należą do Hiszpanii), mówi tego dnia: „Choć pragnęlibyśmy inaczej, nic nie wskazuje na rychły koniec aktywności wulkanu”.

■■■

– Musicie spróbować ciasta, które upiekłam – Sabina, mieszkająca w Los Llanos, wita nas na progu swojej restauracji



Sabina przed swoją restauracją La Vitamina,
17 października 2021 r.

La Vitamina, położonej w sercu miasta. Umówiliśmy się tu na spotkanie, dlatego mimo niedzieli drzwi zostawiła otwarte. Tuż przy wejściu uwagę zwraca bujna roślinność. – Uwielbiam kwiaty – uśmiecha się.

– Wreszcie ktoś zjawił się na La Palmie. Dotąd rozmawiałam z dziennikarzami głównie na Skypie – mówi z lekką irytacją w głosie.

Sabina na facebookowej grupie codziennie publikuje posty, w których opisuje, jak wygląda życie na wyspie podczas erupcji: – Zaczęłam prowadzić ten dziennik, bo chciałam uspokoić rodzinę i znajomych. Nie wyrabiałam się z odpisywaniem im na wiadomości i tłumaczeniem, że nie jest tak źle, jak pokazują media.

Los Llanos to największe miasto La Palmy (20 tys. mieszkańców w całej gminie). Część ze względu na bliskie sąsiedztwo wulkanu już ewakuowano, ale w ścisłym centrum nie dziwi widok Palmerczyków w restauracjach. Przywykli już do sprzątania pyłu z ulic, drżenia pod stopami czy charakterystycznych odgłosów towarzyszących erupcji. Wszyscy jednak w równym stopniu nie mogą się doczekać jej końca.

– Są ciche dni i takie, gdy przed snem muszę wkładać zatyczki do uszu. Ze względu na trzęsienia ziemi uszczelniałam też szyby – mówi Sabina.

Mieszka na La Palmie od 15 lat. Przyleciała tu na wakacje i – jak mówi – zakochała się w niej od pierwszego wejrzenia. Dlatego pewnego dnia wróciła, by zostać tu na dłużej. Początkowo zajmowała się domem pod nieobecność jego właściciela,

rozglądając się za stałym zajęciem. Ma różne nietuzinkowe doświadczenia. Np. wspomina, jak pomagała znajomej przy budowie dachu. – Z tego jestem chyba najbardziej dumna – podkreśla.

Gdy idzie o La Vitaminę, potrzeba stała się matką wynalazku. – Stwierdziłam, że na La Palmie nie można zjeść sałatki, a jestem sałatkożercą. Zaczęliśmy od zera, kładliśmy w kuchni kafelki, malowaliśmy ściany, wieszaliśmy dekoracje – opowiada. – La Vitamina to moje dziecko, ma już 12 lat.

Oddech wulkanu

Dawniej Sabina nie narzekała na brak klientów. Teraz martwi się o turystykę na wyspie: – Covid postawił nasze życie na głowie i bez subwencji byłoby ciężko. Udało nam się jakoś przetrwać lockdown. A teraz, gdy miał się zacząć sezon, wybuchł wulkan. Największy ruch jest na La Palmie od listopada do kwietnia, bo ludzie nie przylatują tu, by poleżakować na plaży, lecz wędrować szlakiem wulkanów, Ruta de los Volcanes, ponurkować z delfinami czy polatać na paralotni.

Po erupcji Cumbre Vieja wielu turystów zrezygnowało z urlopu na La Palmie. Niektórzy przestraszyli się doniesień medialnych, innym odwołano loty. Sabina: – Media pokazują piekło na ziemi, a my tu normalnie żyjemy. Stała się tragedia i ludzie stracili domy, ale żeby się z tego podnieść, potrzebujemy turystów. Są tacy, którzy przylatują, by zobaczyć erupcję, ale oni cykną fotkę i wracają do domu. Nie napiją się kawy i nie przenocują na dłużej w hotelu. Często nie respektują też zasad bezpieczeństwa i zbliżają się zbyt blisko wulkanu.

Na La Palmie żyje 85 tys. stałych mieszkańców. Jak tu się mówi, wszyscy się znają. Zwłaszcza teraz widać ogromną solidarność.

Sabina: – Wystarczy pójść do pierwszego lepszego sklepu. Zobaczysz tam wielkie kosze, do których zbierane są dary. Znana jest historia pewnego Palmerczyka, który chciał kupić produkty dla poszkodowanych przez wulkan. Wiedząc, że nie jest majątny, kasjerka dołożyła się do rachunku. Takie gesty chwytają za serce. Mieszkanie nade mną, które stało wolne, zajmują dziś ewakuowani.

Niektórzy znajomi Sabiny stracili domy. Gdy o nich opowiada, w jej zazwy-



MŁŁGORZATA PROCHAL

Justyna sprząta pył ze swojego dachu. Santa Cruz de la Palma, 16 października 2021 r.

czaj pogodnym i zdecydowanym głosem pojawia się smutek. – To ludzie, których widuję na co dzień. Danica z mężem i dwójką dzieci, pracująca w banku. Kuzynka mojego pracownika Raquel. Albo Tony, stały klient naszej restauracji. To boli, kiedy człowiek dowiadyuje się, że kolejna osoba straciła wszystko.

Wieczorem idziemy razem z Sabina zobaczyć erupcję. W oddali widać lawę wyrzucaną przez wulkan i czerwone strumienie wijące się u jego podnóża. Widok jest tyleż piękny, co przerażający. – Jak na razie nie zanoszę się, abym musiała się ewakuować – ma nadzieję Sabina. – Ale znajomi już zapowiedzieli, że w razie potrzeby mogą nie ruszać. Wiem, że nigdzie się stąd nie ruszą, La Palma to moje miejsce na Ziemi.

PRÓBKA POPIOŁU

**18 października, poniedziałek,
29 dni po wybuchu.**

Tego dnia dzieci z okolic El Paso, Tazacorte i Los Llanos po raz pierwszy od 29 dni mogły wrócić do szkół. To ponad 4,5 tys. uczniów i 600 nauczycieli. Część została przeniesiona do innych placówek, gdyż ich szkoły zniknęły pod lawą.

■ ■ ■

Do domu Adama w Tegalate prowadzą kręte drogi, charakterystyczne dla krajobrazu La Palmy. Jadąc z El Paso, gdzie życie zdominował wulkan, po pokonaniu tunelu można odnieść wrażenie, że jest się na innej wyspie. Co uderza, to wszechogarniający spokój, który bije też od naszego rozmówcy. Spóźniłyśmy się przez zamknięte drogi, ale 32-latek

wyказuje się zrozumieniem i wita się z nami w towarzystwie swojej dziewczyny Eleny.

Na horyzoncie, zza wzgórz za domem, chmura dymu przypomina o trwającej erupcji.

– Na pierwszy rzut oka życie w cieniu wulkanu toczy się normalnie – mówi Adam. – Miejscowość Tegalate jest położona na południowym wschodzie masywu Cumbre Vieja. Mamy szczęście, że nasz dom nie znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca, w którym otworzył się ostatni krater. W tej części wyspy najbardziej uciążliwe są trzęsienia ziemi i popiół. Choć ryzyko ewakuacji i tutaj istnieje.

Razem z Eleną byli ostatnio na specjalnym spotkaniu: – Żyjemy na wyspie, która jest wulkanem, ale nikt wcześniej nie mówił nam, co zrobić w sytuacji kryzysowej. Usłyszeliśmy, że gdy dostaniemy sygnał, powinniśmy zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy i udać się do punktu zbiórki. I że potem, jeśli sytuacja pozwoli, będziemy mogli wrócić po resztę w towarzystwie strażaków.

Adam to podróżnik i pilot wycieczek, zjeździł pięć kontynentów. Na La Palmę po raz pierwszy przyjechał w 2017 r. W ramach programu Erasmus+ miał praktyki w ministerstwie turystyki w Fuenaliente (dziś w budynku mieszkają ewakuowani). Elena była tu na wakacjach. Poznali się na szlaku w Parku Narodowym Caldera de Taburiente.

Adam: – Po praktykach polecałem do Peru, gdzie uczylem dzieci angielskiego. Potem był jeszcze Madryt, rodzinne miasto Eleny. Miałem tam staż w ambasadzie

RP i pracowałem w polskich liniach lotniczych. Trzy lata temu wróciliśmy na La Palmę i zatrudniłem się w biurze podróży.

Mężczyzna organizował wycieczki i rejsy statkiem, połączone z obserwacją delfinów i wielorybów. – Ostatni rok był dla nas ciężki, najpierw przez pandemię, a teraz wybuch wulkanu. Wiele szlaków jest zamkniętych, komunikacja między miastami jest utrudniona. Ale erupcja dotknęła jak na razie tylko ok. 10 procent wyspy – ocenia.

Ostatnie wydarzenia mocno odbiły się na branży, w której pracuje: – Mój szef stracił dom i biuro. Lawa spływa do oceanu i tworzy się nowa kartografia wyspy w miejscu, gdzie wcześniej wypływaliśmy oglądać delfiny i wieloryby. One nie lubią ultradźwięków, dlatego już przed wybuchem wstrząsy mogły spowodować, że oddaliły się od brzegu i nie wiadomo, kiedy wrócą. Natomiast materiał wulkaniczny trafiający do wody wraz z lawą ma dużo pierwiastków, które z czasem będą korzystne dla flory i fauny morskiej.

Choć jego działalność zawodowa jest teraz zawieszona, Adam nie chce siedzieć beczynnym. Zaangażował się w wolontariat. Codziennie zbiera próbki popiołu, które będą analizowane przez naukowców z ośrodka badawczego Pevolka.

– Mam tu zestaw młodego wulkanologa – pokazuje. W pojemniku widać śladowe ilości popiołu. Dziś nie ma go wiele, specyfika próbki zależy od dnia i warunków atmosferycznych: – Na woreczku piszę datę, godzinę i miejsce, potem pędzelkiem zbieram do niego popiół. Możesz wyczuć pod palcami, że teraz jest miękki i drobny. Ten w kolejnym woreczku jest zupełnie inny, ostrzejszy. A z kolei tamten lepki i zbity, to po deszczu. Wszystko notuję w kajeciku. Na La Palmie jest dwadzieścia takich punktów, w których zbieramy próbki.

Elena prowadzi sklep z ekologicznymi produktami. Codziennie dojeżdża do pracy 20 km w kierunku stolicy. – Rodzina bardzo się o mnie martwi. Oglądają relacje w mediach, dzwonią do mnie i mówią: „Wracaj natychmiast do Madrytu!”. Pytają, co tu jeszcze robię. Nie zdaję sobie sprawy, że erupcja nie dotyczy całej La Palmy. Na co dzień tego nie odczuwamy, dopiero gdy zbliżamy się do wulkanu, dociera do nas, że

→

→ główna droga przez południe wyspy już nie istnieje. To daje do myślenia – opowiada.

Adam nie przesądza, czy zostanie tu na stałe. – Dla turystów może to być interesujące, by odwiedzić wyspę, gdy wulkan się uspokoi. Staram się być optymistą i wierzę, że La Palma odrodzi się z popiołów.

To już trzecia erupcja, którą obserwuje 32-latek. Pierwszą zapamiętał oczami dziecka: mieszkał w Meksyku, gdy wybuchł Popocatepetl. Potem w 2017 r. było Peru i erupcja Sabancaya. A teraz na tyłach jego domu od miesiąca odzywa się Cumbre Vieja.

– W tamtych dwóch przypadkach erupcji nie towarzyszyła jednak lawa. Czasem myślę, że przywykłem do życia w poczuciu zagrożenia. To pozwala mi zachować spokój.

ŻYCIE WAŻNIEJSZE NIŻ DOM

**19 października, wtorek,
30 dni po wybuchu.**

Mija miesiąc, odkąd wulkan dał o sobie znać. Pierwsze trzęsienia ziemi pojawiły się osiem dni przed wybuchem. Wówczas jednak szefowa Narodowego Instytutu Wysp Kanaryjskich, María José Blanco, uspokajała: „Nie wierzymy, że w krótkim czasie dojdzie do erupcji”. Tymczasem 19 września wulkan wybuchł, w obszarze leśnym gminy El Paso. To pierwsza od pół wieku erupcja odnotowana na powierzchni lądowej Hiszpanii.

■■■

Już pierwszego dnia intensywność wydobytącej się lawy zmusiła 5,6 tys. mieszkańców do ewakuacji. Zarządził ją organ stworzony na taką okoliczność: El Plan de Emergencias Volcánicas de Canarias (dosłownie: Wulkaniczny Plan Awaryjny Wysp Kanaryjskich). W skład tego gremium, utworzonego w 2018 r., wchodzi osoby z administracji, naukowcy, służby bezpieczeństwa i jednostki ratownicze. Odgrywa ono kluczową rolę w koordynowaniu sytuacji związanej z erupcją.

Po miesiącu od wybuchu swoje domy musiało opuścić już ponad 7 tys. mieszkańców. Zamieszkali u rodzin, niektórzy w hostelach, jeszcze inni w przyczepach kempingowych.

– Są takie obrazy, których nie mogę zapomnieć. Zostają ze mną, gdy wracam do domu po służbie. Ten płacz i cierpienie



Widok na tereny zniszczone przez lawę, 20 października 2021 r.

ludzi – mówi nam Daniel Cabrera, strażak z La Palmy.

Przyznaje, że mimo 20 lat służby i szkoleń na wypadek wybuchu wulkanu nawet jego ta sytuacja czasem przerasta. Pierwszy raz pracuje w takich warunkach: – Gdy pomagamy ludziom ewakuować się z domów, musimy być jak psychologowie, rozmawiamy i próbujemy ich pocieszać. Na szczęście współpracują z nami. Rozumieją, że życie jest ważniejsze niż dom. Choć dla nich to nie jest zwykły budynek, lecz także wspomnienia i marzenia.

– Czasem po dniu służby czuję się zmęczony nie fizycznie, ale psychicznie – dodaje Daniel.

Trzydzieści dni po wybuchu wyspa wciąż pozostaje na łasce natury. Wulkanu nie da się powstrzymać. Jedyne, co można robić, to śledzić jego działalność i ewakuować kolejnych ludzi. Nie odnotowano dotąd ofiar śmiertelnych. Ale pod lawą znalazły się tysiące domów, a wraz z nimi emocje. A także liczne miejsca pracy.

Podczas kolacji w Los Llanos obsługuje nas Ricardo, krągły mężczyzna w średnim wieku. Gdy widzi aparaty fotograficzne, dopytuje, czy jesteście turystkami. – Dziennikarki? Spójrzcie! – wyciąga telefon i pokazuje zakreślony markerem teren. – To moje trzy *finci* dla turystów – pokazuje domki, które wynajmował. Na zdjęciach satelitarnych widać, że lawa zabrała wszystko. – Została tylko brama – kończy lapidarnie.

Ile to potrwa?

Docieramy do małego osiedlowego sklepu w gminie El Paso.

Nie widać stąd wulkanu, ale bardzo dobrze go słychać. Wkrótce po nas przed sklepem stoją dwa inne samochody.

Jest też Ester, farbowana blondynka w pizamie. – Nie chce mi się nawet ubierać, kupię tylko kilka potrzebnych rzeczy i wracam do domu – mówi zrezygnowana. Spotyka jednak przed sklepem sąsiadów i zaczyna się rozmowa. Temat jest jeden. – Te trzęsienia ziemi powoli stają się nie do wytrzymania. Najtrudniejsze jest patrzeć na ludzi, którzy stracili domy, pracę, dosłownie wszystko – mówi Ester.

Na podstawie obrazów satelitarnych europejskiego programu Copernicus oraz zdjęć z dronów hiszpański dziennik „El País” szacuje, że po miesiącu od wybuchu wulkanu zniszczonych na La Palmie zostało 1086 działek, blisko 57 km dróg (co jest dotkliwie, bo na wyspie nie ma autostrad), a także prawie 227 hektarów bananowców oraz 1692 budynków o wartości ponad 200 mln euro.

– Na La Palmie mamy teraz dwa rodzaje zanieczyszczeń powietrza – mówi Meletlidis Stavros, wulkanolog z Hiszpańskiego Instytutu Geograficznego. Mężczyzna wygląda na zmęczonego, gdy jednak pytamy, ile godzin pracuje, zbywa nas tylko uśmiechem. – Wystarczająco. Ale musimy zbierać dane w ciągu dnia i nocy, ponieważ prognozujemy sytuację tylko z wyprzedzeniem kilku go-



Ulice Santa Cruz de la Palma pokryte pyłem wulkanicznym, 16 października 2021 r.



MAŁGORZATA PROCHAL

Uciekając pierwszego dnia po wybuchu, Bartek zostawił wszystkie swoje rzeczy. Na szczęście pozwolono mu po nie wrócić.
20 października 2021 r.

dzin. Oczywiście zmieniamy się w pracy – ucina.

Naukowcy zalecają noszenie maseczek oraz zamykanie drzwi i okien w domach.

– Nie tylko wulkan generuje do atmosfery toksyczne gazy. Lawa, która dociera do kolejnych terenów, do domów, drzew, plantacji bananów czy plastiku, powoduje pożary. Tak dochodzi do kolejnych zanieczyszczeń – wyjaśnia Metlidis.

Od wieku XV na wyspie La Palma wulkany wybuchały łącznie osiem razy. Po raz ostatni w 1971 r., a wcześniej w roku 1949. W przypadku poprzednich wybuchów lawa pokrywała maksymalnie ok. 500 hektarów. Teraz tylko po pierwszym miesiącu Cumbre Vieja zniszczył już blisko 800 hektarów.

Wciąż otwarte jest pytanie, kiedy zakończy się obecna erupcja. Wysokie wskaźniki dwutlenku siarki i aktywność sejsmiczna świadczą, że wciąż wiele lawy znajduje się w podłożu wulkanu.

STREFA ZAMKNIĘTA 20 października, środa, 31 dni po wybuchu.

Tego dnia jeden ze strumieni lawy dotarł do obszaru miejskiego dzielnicy La Laguna i zaczął zagrażać historycznemu centrum: domom, szkole, aptece i kościołowi. Narodowy Instytut Geograficzny zarejestrował też trzęsienia ziemi. Największe w mieście Villa de Mazo miało siłę 4,8 stopnia w skali Richtera.

■ ■ ■

„Zona de exclusión” – czerwony znak, który pojawił się na horyzoncie, oznaczał, że dalej można wjechać tylko za zgodą służb. Funkcjonariusze Guardii Civil (Straż Obywatelska) zawracali kierowców i rozmawiali z mieszkańcami, którzy chcieli wrócić na tereny już ewakuowane.

Celem naszej podróży była położona na wybrzeżu wioska La Bombilla, znajdująca się w pobliżu Puerto Naos. Jechaliśmy tam razem z Karoliną, mieszkającą na La Palmie od 20 lat, oraz z Bartkiem, który w trakcie ewakuacji zostawił u kolegi rzeczy i chciał odzyskać paszport. Wcześniej nie było to możliwe – najpierw ze względu na zagrożenie spowodowane przez lawę, a potem przez jakość powietrza. Czekaliśmy w aucie, podczas gdy Karolina poszła zasięgnąć języka i wytłumaczyć naszą obecność. Wróciła po kilkunastu minutach.

– Dostaliśmy zgodę na wjazd, ale cały czas będą za nami jechać służby. Powinniśmy też założyć maseczki z filtrem, bo jakość powietrza nie jest najlepsza. Jeśli nie macie, zaraz wam je dadzą. I jeszcze jedno: po dotarciu na miejsce tylko Bartek może wysiąść z auta po dokumenty – przekazała treść rozmowy.

Do celu wiodła kręta droga, a im bliżej niego byliśmy, tym bardziej postapokaliptyczny widok nas otaczał. – Wierzyć się nie chce, jak przez ostatni miesiąc zmienił się obraz tej części wyspy – od momentu erupcji Karolina była tu dziś

po raz pierwszy. Patrząc przez szybę samochodu, opowiadała o znajomych miejscach, które mijaliśmy. Jak zamieszkane nierzadko przez hipisów małe domki, które opustoszały po wybuchu. Na ulicach nie było żywego ducha, prócz pracujących robotników. Przy drogach leżały hałdy czarnego pyłu.

– Przejeżdżamy teraz przez zastępy pas lawy, który powstał po erupcji w 1949 r. – Bartek wskazywał na tereny ukształtowane przez wybuch wulkanu San Juan. Na powstałych tu żyznych glebach posadzono bananowce. Dotąd przynoszące obfite plony, a teraz uginające się pod grubą warstwą pyłu wulkanicznego. – Ten nowy strumień, który jeszcze się dymi, najprawdopodobniej zatrzymał się i nie wpadł do oceanu – Bartek wskazał widok w oddali.

Po dotarciu na miejsce zaparkowaliśmy przed bramą, a mężczyzna poszedł po dokumenty. Zabrał też inne rzeczy, które zostawił u kolegi. – Jest paszport, marynarka, kontroler dźwięku i ważne dla mnie płyty winylowe – wymieniał z ulgą.

Dom stoi teraz pusty. Po ewakuacji kolega Bartka zamieszkał w kamperze, a potem w hotelu.

Wracając, wyjechaliśmy z osiedla domków na otwartą przestrzeń, a Cumbre Vieja ukazał się nam w całej okazałości. Niezmiennie unosiła się nad nim chmura dymu.

■ ■ ■

Przed zamknięciem tego numeru „Tygodnika” eksperci z Instytutu Wulkanologii Wysp Kanaryjskich poinformowali o pojawieniu się nowego otworu w Cumbre Vieja. Doszło do zniszczenia części krateru i nasilenia emisji dwutlenku siarki oraz aktywności sejsmicznej.

Strumieni lawy jest już dziesięć, ostatni płynie w kierunku południowo-zachodniej części wyspy. Do tej pory wulkan zniszczył ponad 900 hektarów terenu.

© MAŁGORZATA PROCHAL,
AGNIESZKA ZIELIŃSKA



ARCHIWUM PRYWATNE

Już na wolności: Hamlet Lavastida z kubańskim banknotem ostemplowanym na znak protestu, październik 2021 r.

Skazany na wygnanie

HAMLET LAVASTIDA, KUBAŃSKI ARTYSTA:

Wierzę, że ten reżim kiedyś się skończy. Nie wiem tylko, ile jeszcze musimy czekać – pięć lat czy dziesięć.

HAMLET LAVASTIDA: „Ja, Hamlet Lavastida, obiecuję nie uczestniczyć więcej w życiu politycznym ani w żadnych przedsięwzięciach przeciw rządowi Kuby i rewolucji. Odtąd nie będę już współpracował ze służbami bezpieczeństwa innych krajów, nie będę przekazywał informacji za granicę, nie będę się kontaktował z prasą zagraniczną” – mniej więcej coś takiego mi podyktowali, a ja to napisałem i podpisałem. Wyrażenie żalu i obietnica poprawy. Metody z lat 60. XX w., jak za stalinizmu.

JOANNA SZYNDLER: List ten napisałeś jako więzień w Villa Marista, areszcie w Hawanie, gdzie przetrzymuje

się więźniów politycznych. Ile czasu tam spędziłeś?

87 dni. Przyleciałem na Kubę w czerwcu i ani jednego dnia nie spędziłem na wolności.

Z lotniska trafiłem na kwarantannę, a po pięciu dniach zostałem aresztowany i trafiłem do aresztu zwanego Villa Marista. Dwie godziny spędziłem w polskiej ambasadzie. 26 września przyleciałem do Polski.

Wiedziateś, o co Cię oskarżają?

Tak, o zamiar popełnienia przestępstwa. Za to grozi do pięciu lat.

Jakiego przestępstwa?

Zaproponowałem w prywatnej rozmowie na WhatsAppie, by oznaczać kubańskie banknoty stemplami ze znakami grup 27N i MSN, czyli Movimiento San Isidro.

Co to za grupy?

MSN to artyści, którzy protestowali przeciw dekretnowi ograniczającemu jeszcze bardziej wolność artystyczną na Kubie. Najpierw organizowali happeningi, potem strajk głodowy. Skończył się on tym, że funkcjonariusze bezpieczeństwa za lekarzy wyciągnęli wszystkich z mieszkania, gdzie trwał strajk, i rozwieźli po różnych miejscach.

Większość trafiła do aresztów domowych.

Tak. To było 26 listopada 2020 r., a dzień później grupa paruset intelektualistów zebrała się pod ministerstwem kultury. Chcieli wesprzeć ludzi z San Isidro, ale też negocjować z rządem. Byłem wtedy na stypendium artystycznym w Niemczech, ale pisałem w sieci: chodźmy pod ministerstwo! Co też wypomniano mi w trakcie przesłuchań.

Z dialogu coś wyszło?

Nic, ale powstał ruch 27N [od hiszp.: 27 de noviembre, 27 listopada – red.]. Zrobiliśmy profil na Facebooku. W sieci omawialiśmy taktykę, jak naciskać na rząd, żeby wychodzić na ulice, robić performansy. Zaproponowałem te stemple na banknotach, pomysł wydał mi się prosty w realizacji. Podczas przesłuchań powie-dzieli mi, że wzywałem do nieposłuszeństwa wobec władzy. Widzieli we mnie lidera ruchów artystycznych.

Z czasem zarzutów przybyło?

Znaleźli na moim telefonie wiadomości wysyłane do kolegi w USA. Pisałem, że wszyscy członkowie partii komunistycznej na Kubie powinni stanąć przed sądem i niektórzy powinni dostać najwyższą karę. Tak sobie pisaliśmy, to nie był żaden plan, tylko nasza opinia. Funkcjonariusze mówili mi, że jestem podobny do tych, którzy zaatakowali Kapitol w USA. Byłem dla nich podejrzany. Mieszkalem w Polsce, byłem na stypendium w Niemczech, USA, Hiszpanii. Nie jestem politykiem, ale polityka mnie fascynuje. Interesuje mnie, co robi reżim kubański, moje prace dotyczą mechanizmów władzy i propagandy. Oni myśleli, że służby polskie, niemieckie czy amerykańskie mnie wyszkoliły. „Podaj nazwiska, nazwy organizacji, ile ci płacili” – powtarzali. W moim telefonie szukali pornografii dziecięcej, dowodów na handel narkotykami, na powiązania z CIA. Nic nie znaleźli.

Wielu emigrantów chce odwiedzać rodziny na Kubie. Czy Twoje aresztowanie miało być dla nich sygnałem, że nie powinni zabierać głosu w sprawach politycznych?

To zapewne jeden z powodów aresztowania. Kubańczycy mają się bać.

Myślisz, że reżim kubański wierzył w Twoją współpracę z jakimś wywiadem czy też od początku był to teatr?

Jasne, że wierzył. Oni stworzyli system oparty na fałszywym postrzeganiu świata, w którym sami się pogubili. Zanim cię poznają, już wiedzą, kim jesteś. Kubańska bezpieka zakłada ci teczkę i szuka informacji, które pasują do ich teorii. Oni mają swój system myślenia, własny język. Widzą we mnie to, co chcą zobaczyć. Wy, Polacy, to rozumiecie, bo przez to przechodziliście. Dla władzy

kubańskiej spontaniczność czy przypadek nie istnieją, oni mają wytłumaczenie na wszystko. Powtarzali, że mają dowody na moją współpracę z CIA. „Teraz tylko wyjaśnisz nam, jak do niej doszło. Jeśli nam pomożesz, będziesz siedział krócej” – mówili. W Villa Marista siedzi mnóstwo młodych, którym wmawia się, że rzucali kamieniami na proteście. Nieważne, że nie rzucali. „Mamy zeznania świadków” – słyszą. Nastolatki przyznają się do winy, aby dostać dziesięć lat zamiast piętnastu.

Jak wyglądał pobyt w Villa Marista?

Wszystkim więźniom nadają numery, ja byłem 2239. Zawsze wołali mnie po numerze. Przebywałem w celi 2 na 3 metry, gdzie były dwa metalowe piętrowe łóżka. Drzwi z okienkiem, przez które podawali posiłki. Przez szczelinę przy suficie wpadało trochę światła i powietrza. Wyciągali mnie z tej komórki tylko na przesłuchania. Albo byłem przesłuchiwany, albo nic nie robiłem. Prosiłem o książki i kartki do rysowania, ale odmówili.

W celi byłeś sam?

Nie, z trzema innymi, ale nie politycznymi. Siedzieli za przestępstwa przeciw państwu, o co nietrudno oskarżyć, bo na Kubie wszystko jest państwowe. Siedziałem z człowiekiem, który pracował w firmie farmaceutycznej. Miał przyjąć prezent w postaci telefonu, tabletu i czajnika, był oskarżony o korupcję. Odsiadywał wyrok ośmiu lat w innym więzieniu. Został mu jeszcze rok, ale trafił znów do Villa Marista, bo otworzyli mu nowe śledztwo w innej sprawie. Dla mnie najgorsze były poranki, takie powolne. Wołałem wieczory, gdy wiedziałem, że kolejny dzień za mną. Okropne było też, gdy w korytarzu włączali na cały regulator telewizor z wiadomościami propagandowymi. Nic nie widzieliśmy, ale słyszeliśmy.

Pamiętasz, co usłyszeliście w telewizji 11 lipca?

Mówili, że są próby destabilizacji kraju z zewnątrz. Zorientowałem się, że są protesty. Słuchałem i starałem się zrozumieć. Na Kubie przyzwyczajasz się do czytania według kodu. Rozumiałem, że manifestacje są duże. Zacząłem się bać, że powiążą z nimi moją sprawę.

Co się wtedy wydarzyło?

Tłumy wyszły na ulice, by sprzeciwić się tylu latom zniewolenia i głodu, kłamstwom władzy. Kubańczycy są zmęczeni sytuacją polityczną, brakiem podstawowych praw i swobód. Do tego doszły problemy spowodowane pandemią i nieudolność rządu. Ludzie wyszli, by protestować, najpierw w San Antonio de Baños pod Hawanę. Dzięki mediom społecznym mnóstwo osób dowiedziało się o tym i protesty rozlały się na cały kraj.

Po 11 lipca zaczęto Cię w areszcie traktować inaczej?

Tak, gorzej. Znalazłem się w więzieniu na dwa tygodnie przed protestami. Służby zaczęły mnie pytać, czy przyleciałem na Kubę, aby je przygotować. Nie mogli pojąć, że to były spontaniczne protesty. Twierdzili, że planowaliśmy je od lat.

W kolejnych tygodniach dużo ludzi trafiło do aresztów.

Około tysiąca. Zaczęli szukać ludzi ze zdjęć, które trafiły do internetu. Po zidentyfikowanych przychodziła o świcie policja.

Dlaczego pozwolili Ci opuścić Kubę?

Było w mojej sprawie dużo nacisków z zagranicy, tak mi się wydaje. Kuba jest w kryzysie gospodarczym, bała się sankcji Unii Europejskiej. Mój syn mieszka w Polsce, Agnieszka, jego mama, też zabiegała o mój przyjazd do Polski. W sprawę zaangażowała się ambasada Polski, a także ambasada Niemiec. Negocjowano mój wyjazd i rodzaj wizy. Kuba nie chciała zgodzić się na polską wizę humanitarną, ostatecznie dostałem wizę rodzinną.

Wraz z Tobą przyleciała do Polski pisarka i aktywistka Katherine Bisquet. Miałam nadzieję, że przyjdzie dziś razem.

Kathy nie czuje się dobrze. Dużo czasu spędziła w areszcie domowym, była jedną z twarzy ruchu 27N, przed jej drzwiami wciąż stał nieoznakowany wóz policyjny. Mimo zamknięcia była jednak aktywna w sieciach społecznościowych.

Prowadziła też kampanię o Twoje uwolnienie. Spotkaliście się dopiero na lotnisku?

Raz pozwolono jej odwiedzić mnie w areszcie. Potem spotkaliśmy się tuż przed wylotem. Jako że Kathy nie mogła dostać wizy rodzinnej ani humanitarnej, →

→ przyleciała do Polski na wizie turystycznej, formalnie na 90 dni, ale ma zapewnienie od władz polskich, że wiza zostanie przedłużona. Na lotnisko zawieźli ją innym autem, nie pozwolili jej pożegnać się z rodziną. Pierwszy raz w życiu opuściła Kubę.

Jechałem na lotnisko kolumną złożoną z pięciu aut. Zajechaliśmy od tyłu. To było traumatyczne, widziałem, jak cała operacja została przygotowana, z udziałem ok. 20 funkcjonariuszy. Czułem się jak jakiś prezydent.

Jak wygląda sytuacja na Kubie?

Ludzie żyją w realiach reżimu politycznego, jest więcej strachu w społeczeństwie. Przez to, co mnie spotkało, aktywiści boją się bardziej. Wiele osób czeka na proces, wśród nich liderzy Movimiento San Isidro: Luis Otero Alcántara i Maykel Osorbo. Ale w obywatelach jest coraz więcej świadomości. Rok temu tylko artyści sprzeciwiali się rządzącym, w tym roku mnóstwo osób wyszło na ulice. Brakuje jeszcze wojskowych i policji. Kiedy i oni się zbuntują, reżim się skończy. Nie wiem, ile jeszcze musimy czekać – pięć lat czy dziesięć.

Wrócić kiedyś z Katherine na Kubę?

Jesteśmy skazani na wygnanie. Powiedzieli mi: „Nie wracaj, bo cię zamknijemy”. Poza tym choćby teraz łamię obietnicę z listu, który podpisałem. Obiecałem nie mówić źle o rządzie Kuby i nie rozmawiać z prasą. Jestem artystą, nigdy nie będę politykiem. Ale i tak wiedziałem, że jak wyjdę z więzienia, muszę od razu o tym opowiedzieć.

© Rozmawiała JOANNA SZYNDLER

HAMLET LAVASTIDA (ur. 1983 w Hawanie) jest artystą wizualnym, absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Hawanie. W czerwcu tego roku przyleciał na Kubę po ukończeniu stypendium w Berlinie, wcześniej był rezydentem w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie. W swoich pracach zajmuje się polityczną propagandą.

Przyjaciele wrócili z wojny

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIAŻEK** Z ERYWANIA (ARMENIA)

Rok po tym, jak przyszło im walczyć o Górski Karabach, trzej ormiańscy dwudziestolatkwie chcą zamknąć ten rozdział w swoim życiu i myśleć o przyszłości.

HAJK, RUBEN I WSEM POZNALI SIĘ PODczas studiów. Wszyscy trzej wzięli udział w zeszłorocznej wojnie o Górski Karabach, podczas której starły się wojska armeńskie i azerbejdzańskie. Armenia ją przegrała, a w ciągu półtora miesiąca – od końca września do połowy listopada – zginęło 6,5 tys. ludzi, z czego ogromną większość stanowili młodzi Ormianie. W Armenii powszechne były nadzieje, że będzie to pierwsza generacja, która nie zetknie się z wojną. A doświadczyła jej wyjątkowo boleśnie.

– Dawniej grałem w „Call of Duty” i w trakcie wojny czułem się, jakbym znowu w nie grał. Chciałem tylko, by ktoś nareszcie oddał mi kontroler, żeby móc przejść przez wszystkie misje – mówi Wsem Woskerczian, który za kilka dni będzie obchodził 21. urodziny. „Call of Duty” to popularna seria gier wideo należąca do gatunku tzw. strzelanek, gdzie gracz wciela się w żołnierza w trakcie różnych konfliktów.

– Nie pamiętam wiele z tej wojny, ale też nie chcę pamiętać – mówi 21-letni Hajk Chaczatrian.

– Zawsze byliśmy syci i mieliśmy wodę. To wystarczająco dużo, aby powiedzieć, że u nas wszystko było dobrze – mówi o rok młodszy Ruben Sahakian.

Po powrocie do cywila młodzi weterani układają swoje życie. Planują je z nadzieją, że już nie będą musieli sięgać po broń.

DLA CAŁEJ TRÓJKI pobór do armii był niepożądanym, lecz niemożliwym do uniknięcia obowiązkiem. Musieli przerwać swoje dotychczasowe sprawy i poświęcić dwa lata na służbę wojskową. Zapewniają, że gdyby nie to, byłoby dużo dalej w nauce czy karierze zawodowej. Choć cieszą się, że – jak uważają – sumiennie wywiązali się z powierzonego im obowiązku.

Hajk zakończył dwuletnią służbę na dwa miesiące przed wybuchem wojny. Zanim trafił do armii, odszedł z uczelni, gdzie

przez kilka miesięcy studiował inżynierię, bo stwierdził, że to nie dla niego. W cywilu szybko znalazł pracę: został kierownikiem sprzedaży w jednym z centrów handlowych w stołecznym Erywanu, z którego pochodzi on i jego dwaj przyjaciele.

Z kolei zanim do wojska trafili Ruben i Wsem, studiowali zarządzanie na Uniwersytecie Amerykańskim w Armenii. Choć młodzi, mieli praktyczne podejście: liczyli, że po takim kierunku na renomowanej uczelni będą mogli otrzymać dobrze płatną pracę.

GDY PONAD ROK TEMU, 27 września 2020 r., zaczęła się kolejna odsłona trwającego od końca lat 80. XX w. konfliktu o Górski Karabach, Ruben i Wsem pełnili akurat swoją służbę poborową. Podobnie jak wcześniej Hajk, obaj odbywali ją w Karabachu. Do końca służby Rubenowi został niecały rok, a Wsemowi cztery miesiące.

W dniu, gdy Azerowie zaczęli ofensywę, Ruben stał na posterunku. Wraz ze zmianikiem zdziwili się, że lata nad nimi dron. Wkrótce usłyszeli nie tylko jego furkot, ale też odgłos artylerii. Mimo wszystko machnęli na to ręką – pomyśleli, że to kolejne ćwiczenia, w końcu było ich wiele. Wkrótce jednak stwierdzili, że dźwięki są zbyt intensywne jak na ćwiczenia. Dron przeleciał w głąb terytoriów, które kontrolowali Ormianie, a po chwili oddział Rubena znalazł się pod ciężkim ostrzałem artyleryjskim. Ukrywali się w okopach i ziemnych schronach.

Wsem miał lepiej, nie musiał stać godzinami na posterunku. Służył w bazie w Stepanakercie, 55-tysięcznej stolicy nieuznawanej Republiki Górskiego Karabachu. Nie doświadczył zbyt wiele z wojskowego drylu. A tamtego poranka, 27 września 2020 r., był niepokieszony: jego mama miała urodziny, a siostra wychodziła za mąż. Mimo to nie dostał przepustki i musiał siedzieć w bazie, choć nie działo się nic.

Z braku zajęć, żołnierze z batalionu Wsema wygłupiali się. Dlatego nie zdziwiło go, że niedługo po tym, jak rano zadzwonił do mamy z życzeniami, budynek zaczął się poruszać, jakby doszło do trzęsienia ziemi. Myślał, że to może ci z piętra wyżej znowu się przepychają i szurają łózkami. W jego pokoju też nikt się nie przejął. Aż do chwili, gdy wpadł do nich żołnierz z krzykiem: „Chłopaki, bombardują miasto!”. Po chwili cała jednostka była postawiona w stan gotowości.

Hajk, wtedy już rezerwista, gdy tylko usłyszał, co się dzieje w Karabachu, zgłosił się na ochotnika. Następnego dnia był już na terenie nieuznawanej republiki. Miał poczucie, że nie może siedzieć w domu i potem żałować, że nic nie zrobił. Cała jednostka Hajka składała się z ochotników. Wielu z nich służbę poborową odbyło lata temu i niewiele z niej pamiętało.

NAD STEPANAKERTEM latały azerbejdzańskie drony, więc Wsem i jego drużyna ustawili się z wyrzutniami ziemia-powietrze typu „Iglą”, do których byli przydzieleni. Jednak sowiecki jeszcze system, który dobrze radził sobie z helikopterami i samolotami, wobec maszyn bezałogowych był bezużyteczny. Ich silniki emitowały zbyt mało ciepła, by pocisk naprowadzany na podczerwień je dosięgnął.

Tymczasem dni Rubena upływały tak samo. Czas mijał mu na posterunku we wschodniej części Karabachu, na regularnym ukrywaniu się przed ostrzałami i sporadycznych potyczkach z Azerami. – Nie cofnęliśmy się ani o metr w ciągu całej wojny. To nie jakiś powód do dumy czy przechwałki, że świetnie walczyliśmy. Po prostu ich strategia była taka, że nasz odcinek akurat obchodzili – mówi Ruben.

Hajk został wysłany na północny odcinek frontu. Żałował, że nie trafił na południe, bo tam spędził służbę poborową i znał okolice. Choć był wyszkolony na artylerzystę, dostał karabin i trafił na pierwszą linię. Już drugiego dnia azerbejdzańskie wojska zaatakowały ich pozycje. Choć stracili tylko jednego żołnierza, dowództwo nakazało odwrót. Wycofywali się przez las, w tym czasie waliła po nich artyleria. Hajk twierdzi, że w rezultacie ze 150 żołnierzy z jego oddziału przeżyło 80.

– Widzieliśmy rzeczy, których człowiek nie powinien widzieć – ucina Hajk.



HAJK CHACZATRIAN, 21 LAT:

Po powrocie wraz z przyjaciółmi strasznie się upiłem. To był bezrefleksyjny odruch. Bo co ma zrobić facet po tym, jak przeżył wojnę?



RUBEN SAHAKIAN, 20 LAT:

Przez pierwszy miesiąc po odejściu z armii imprezowałem. Robiłem wszystko to, co mi przyszło na myśl. Dwa lata nie byłem na wolności.

NA FRONT, a konkretnie na jego południowy odcinek – ten, o którym szybko zaczęto przebąkiwać, że jest „maszynką do mięsa” – trafił też wkrótce Wsem. Tam toczyły się najcięższe walki, gdzie Ormianie ponosili największe straty. Azerbejd-

dżan nie informował o swoich stratach. Armenia i nieuznawana republika Karabachu codziennie publikowały listy swoich poległych. Znaczną część stanowiły roczniki 2000-2001.

Batalion Wsema trafił na wysunięte pozycje we wsi koło miasta Hadrut. Wieś leżała w dolinie, wokół były góry. Tam trafili w środek piekła. Z ziemi i powietrza walono do nich jak w bęben. Wsem z „Iglą” na plecach biegał i czołgał się, aby nie dać się trafić. Dziś zaśmiewa się, że snajper czterokrotnie do niego strzelał i spudłował. Kule latały mu koło głowy. – W którymś momencie zacząłem się zastanawiać, czy oni walczą przeciw mojemu krajowi, czy wyłącznie przeciwko mnie – mówi.

Zostali otoczeni. Na oczach Wsema i innych młodych żołnierzy ginęli ich towarzysze. Byli w szoku, niektórzy widzieli śmierć po raz pierwszy. Jeszcze niedawno świętowali wspólnie urodziny i rozmawiali z kolegami o przyszłości, a teraz widzieli, jak ci sami koledzy wykrwawiają się na śmierć. W trakcie któregoś z ostrzałów odłamek utknął w łokciu Wsema. Bolało, ale pomagał innym rannym. Wreszcie nadszedł rozkaz, by się wycofać. Było ciemno i nie mogąc znaleźć swoich jednostek, przedzierali się przez góry z przypadkowo napotkanymi ludźmi.

Wsem trafił do 10-osobowej grupy, gdzie prócz żołnierzy była też starsza pielęgniarka. Na szczęście jeden z nich wychował się w okolicy, więc sprawnie prowadził. Potrzebowali doby, by dotrzeć w bezpieczne miejsce. Nic nie jedli, wodę pili z górskich strumieni.

ODDZIAŁ HAJKA stracił większość dowództwa i gdy dotarli do bazy, nie wiadomo, co z nimi zrobić. Panował chaos. Wreszcie zwierzchnictwo kazało im opuścić bazę. Dokąd i w jaki sposób? Tego im nie powiedziano. Dopiero po tygodniu zapewniono im transport i pojechali do Erywania.

– Po powrocie wraz z przyjaciółmi strasznie upiłem się wódką. To był taki bezrefleksyjny odruch, bo co ma zrobić facet po tym, jak przeżył wojnę? – wspomina Hajk.

Zgłosił się, by wrócić do Karabachu, ale na swoje zgłoszenie nie otrzymał odpowiedzi od armii. Zajął się wolontariatem w jednej z licznych grup pomocowych, wysyłał niezbędne zaopatrzenie ➔

→ dla żołnierzy na froncie. Dzięki temu miał poczucie, że zrobił wszystko, co był w stanie.

W ZBIORCZEJ BAZIE, do której trafił Wsem po tym, jak jego grupa dotarła do swoich, ocaleli żołnierze mieli się przegrupować. Straty były duże. Wsem twierdzi, że zanim trafili w zasadzkę, było ich ponad stu, a zdolnych do walki zostało sześćdziesięciu. Dziesięciu miało zginąć, a trzydzieści zostało rannych.

W bazie spokój nie trwał długo. Batalion czołgów, stacjonujący kilkaset metrów dalej, został zbombardowany. Wsem widział wielu zabitych. Dowództwo nakazało jego jednostce, by zmieniła miejsce dyslokacji. Jednak mieli poczekać z tym do rana. Ale zanim wyruszyli, spadł na nich pocisk: dwóch zginęło (jeden od obrażeń, drugi na zawał serca), kolejnych kilkunastu było rannych.

Dostali nowych dowódców, znów wysłano ich na front. W ostatnich dniach wojny spadały na nich bomby i pociski. Tracili kolejnych ludzi. – Byliśmy już jak w amoku. Ratowaliśmy rannych, nie zważając na ostrzał – mówi Wsem. – Zginął wtedy mój dobry kolega, z którym mieszkalem na tym samym piętrze w bazie w Stepanakercie.

WIEŚĆ O KOŃCU wojny przyjęli z ulgą. W nocy 9 listopada premier Armenii Nikol Paszynian i prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew podpisali porozumienie o zawieszeniu broni (w roli pośrednika wystąpił prezydent Rosji). Stanowiło m.in., że Republika Górskiego Karabachu utraci ponad dwie trzecie ziem. Weszło w życie w nocy z 9 na 10 listopada.

Wsem twierdzi, że w ich okolicy walki trwały jeszcze przez kilka godzin. Najpierw powstrzymali natarcie Azerów, a następnie zostali zbombardowani. Czterech żołnierzy zginęło, kolejny zmarł z ran w szpitalu.

– Do dzisiaj jestem rozczarowany. Ale może dobrze, że podpisano ten dokument. Inaczej jeszcze więcej by nas zginęło – mówi Wsem.

Jeszcze przez jakiś czas stacjonował w różnych częściach Karabachu, aż wreszcie trafił do szpitala wojskowego. Nie wyciągnięto mu odłamka, bo miał go już od półtora miesiąca, a łokieć był sprawny, więc lekarze zdecydowali, że lepiej nie operować. W styczniu wrócił do cywila.



WSEM WOSKERCZIAN, 21 LAT:

Trafiłem na odcinek frontu, który nazywano „maszynką do mięsa”. Tam toczyły się najcięższe walki i ponosiliśmy największe straty.

PO WOJNIE Ruben miał jeszcze miesiące służby przed sobą. Po tym, jak przekazano ziemie Azerom, został wysłany, by stać na drodze. Nie było tam żadnych umocnień, okopów. Szacuje, że 20 metrów od niego stali azerbejdżańscy żołnierze. Słyszał, jak rozmawiają. Pierwszy raz widział Azerów z tak bliska. Czasami coś do nich krzyczeli, ale Ruben i jego zmiennik to ignorowali. Nie znali ich języka.

Rubenowi nie zależało na adreinalinie. Chciał wrócić do domu, spotkać się z przyjaciółmi i zająć się rutyną codziennego życia. Pod koniec lipca wrócił do domu. Przywiózł go ojciec, na coniedzielne rodzinne spotkanie. To była niespodzianka. Matka nie mogła powstrzymać łez.

Potem Ruben – tak jak wcześniej Hajk – poszedł świętować z przyjaciółmi. Wrócił do domu o świcie.

DO CODZIENNEGO ŻYCIA Hajk wrócił szybko. Wcześniej, zanim wybuchła wojna, miał czas, by nacieszyć się życiem po dwuletniej służbie. Zdążył nawet znaleźć pracę. Udział w walkach był dla niego dwutygodniowym epizodem. Wrócił do pracy, zapisał się na kurs opracowywania danych informatycznych. Wciąż szuka tego, co chce robić w życiu. I co może dla niego najważniejsze: zaręczyć się.

Ruben też szybko adaptował się do dawnego życia. Choć przez pierwszy

miesiąc szalał: imprezował, spotykał znajomych, jeździł po Armenii. – Robiłem wszystko to, co mi przyszło na myśl. Dwa lata nie byłem w moim mieście, nie byłem na wolności. Stęskniłem się za tym wszystkim – wspomina.

Po tym miesiącu wrócił na studia, znalazł też dorywczą pracę w barze. Był zaskoczony, że przez dwa lata tak mało zmieniło się w Erywanu, i że TikTok stał się tak popularny.

Za to Wsem przyznaje, że jego proces adaptacji jeszcze się nie skończył. Po wyjściu ze szpitala buzowały w nim emocje. Początkowo czuł nienawiść nie tylko do Azerów, ale też do Ormian z Karabachu. – Uciekli, zostawili domy, nawet nie próbowali ich bronić. Zamiast tego wysłano do walki nastolatków z Erywania – wspomina.

Wprawdzie ten gniew szybko minął, ale wojna nie dawała o sobie zapomnieć. Czasem, jak oglądał zdjęcia, natrafił na twarz znajomego, który zginął. „To był dobry chłopak” – mówił w myślach. Problem sprawiało mu poznawanie nowych ludzi. Trzymał się tylko starych przyjaciół. Na studiach zmienili się ludzie w jego grupie, a poznanie nowych było trudne, bo z powodu epidemii zajęcia były online. Dopiero gdy zlecono im projekty w grupach, poznał koleżankę z roku. Zaczęli się spotykać.

– To był dla mnie moment zwrotny – mówi dziś. – Ona pomagała mi, wspierała. Dzięki niej nawiązywałem znajomości. To ważne, by spotykać nowych ludzi, bo musisz myśleć, jak się zachowujesz, czy panujesz nad sobą. Z przyjaciółmi możesz sobie pozwolić na więcej.

Początkowo często nawiedzały go wspomnienia. Dopiero docierało do niego, co przeżył. W trakcie rozmowy potrafił się wyłączyć. Dziś czuje się dobrze. Jednak wielu młodych weteranów, nie mogąc liczyć na opiekę psychologiczną, nie radzi sobie ze stresem pourazowym.

■■■

Hajk, Ruben i Wsem mówią, że nie cofnęliby czasu, nawet gdyby mogli. Choć przeszli przez trudne chwile. Teraz, jak mówią, są gotowi, by zamknąć ten rozdział i zająć się swoim życiem, w pokoju.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Tekst powstał przy wsparciu Milena Jesenská Fellowship w Instytucie Nauk o Człowieku (IWM) w Wiedniu.

Czuły „Tygodnik”

Dobra passa „Tygodnika Powszechnego”

10 września Przemysław WILCZYŃSKI otrzymał Nagrodę Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej „Czuły sygnalista” za publikowane w „Tygodniku Powszechnym” teksty poświęcone problematyce rodzicielstwa zastępczego i dzieci „z trudnych miejsc”.

20 września Łukasz GRAJEWSKI odebrał w gdyńskim Muzeum Emigracji Nagrodę im. Macieja Płażyńskiego za reportaż z Niemiec „Jesteśmy towarem” o sytuacji polskich imigrantów pracujących w tym kraju.

23 września film Aleksandry POTOCZEK „xABo: Książd Boniecki”, wyprodukowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego, został zwycięzcą Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych Flahertiana w Rosji. Przypominamy, że film dostał na Krakowskim Festiwalu Filmowym 2020 Nagrodę im. Macieja Szumowskiego, przyznaną za „szczególną wrażliwość na sprawy społeczne”.

3 października współpracujący z „Tygodnikiem Powszechnym” reporter Zbigniew ROKITA dostał dwie nagrody: Nike oraz Nike Czytelników (pierwsza przyznawana przez jury, druga przez czytelniczki i czytelników w głosowaniu), za książkowy reportaż „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”.

8 października poznaliśmy listę nominowanych do nagrody Popularyzator Nauki 2021, przyznawanej przez prowadzony przez PAP serwis „Nauka w Polsce”. W kategorii „Media” nominowani zostali Łukasz LAMŹA i Wojciech BRZEZIŃSKI z działu naukowego

„Tygodnika Powszechnego”, a w kategorii „Naukowiec” nominowano Annę ŁOSIAK, piszącą w „Tygodniku” o geologii planetarnej.

8 października na Festiwalu Twórczości Wrażliwej Społecznie w kategorii „Reportaż EkoWrażliwy” wyróżnienie otrzymał Krzysztof STORY za tekst „Najłatwiejszy przemysł świata” (powstały we współpracy z międzynarodowym zespołem dziennikarzy śledczych i ukazujący kulisy przemytu pestycydów do Europy). Anna MIKULSKA otrzymała I nagrodę w kategorii „Twórca szczególnie wrażliwy” m.in. za reportaż „Dziś nam trzeba pięciu” o afrykańskich imigrantach na Sycylii. Wojciech SZUMOWSKI, reżyser wyprodukowanego przez Fundację Tygodnika Powszechnego filmu o Dariuszu Popieli „Ukos światła”, otrzymał wyróżnienie w kategorii „Film dokumentalny/reportaż filmowy” za film „Oni mieli imiona”.

13 października nominację do Nagrody Radia ZET im. Andrzeja Woyciechowskiego – mającej na celu „uhonorowanie dziennikarzy za odwagę w docieraniu do prawdy i odkrywanie tego, co wcześniej było ukryte lub niedopowiedziane” – otrzymał Łukasz GRAJEWSKI za reportaż „Prawdziwe koszty szparaga”. By napisać ten tekst, nasz korespondent zatrudnił się na niemieckiej farmie szparagów, gdzie „Polacy i Rumuni są obywatelami drugiej kategorii”.

20 października Karol WILCZYŃSKI otrzymał nominację do Nagrody im. prof. Romana Czerneckiego za opublikowany na naszych łamach tekst „Wyższa szkoła alienacji”. Nagroda ta przyznawana jest przez Fundację EFC naukowcom, dziennikarzom i praktykom za publikacje dotyczące edukacji. Autorowi życzymy wygranej!

**„Tygodnik Powszechny” – suwerenny dzięki Czytelniczkom i Czytelnikom.
Rośniemy z Wami!**

W PONARSKIM LESIE

80 lat temu osiedle pod Wilnem stało się ostatnim etapem na drodze tutejszych Żydów, a także Polaków, członków organizacji konspiracyjnych z Wileńszczyzny.

MONIKA TOMKIEWICZ



HENRYK PIŁŚĆ MIAŁ SZESNAŚCIE LAT, gdy postanowił przyłączyć się do konspiracji. Było to w pierwszych tygodniach niemieckiej okupacji Wileńszczyzny.

Być może ten krok Henryka ułatwił fakt, iż w jego szkole – wileńskim gimnazjum imienia Mickiewicza – nie był ze swoją decyzją sam: organizacja Związek Wolnych Polaków, do której wstąpił, składała się głównie z młodzieży gimnazjalnej i licealnej, w tym zwłaszcza z liceów imienia Zygmunta Augusta i Mickiewicza. We wrześniu 1941 r. liczyła półtora tysiąca członków, których zadaniem był kolportaż konspiracyjnej prasy i szkolenia.



V. DOROSZ / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

Dla wileńskich Polaków Niemcy byli trzecim już okupantem – po Sowietach i wcześniej Litwinach, którzy zajęli miasto jesienią 1939 r. (Stalin przekazał wtedy Wilno Litwinom, by kilka miesięcy później zagarnąć je ponownie wraz z całą Litwą). Będąc jeszcze uczniem klasy trzeciej, Henryk został zatrzymany podczas lekcji przez funkcjonariuszy NKWD, pod zarzutem działalności propolskiej. Wtedy miał szczęście, po kilku godzinach w areszcie został zwolniony.

Wkroczenie Wehrmachtu w czerwcu 1941 r. na Wileńszczyznę było kolejnym już etapem w jej okupacyjnej historii. A sytuacja ludności polskiej była skomplikowana, musiała ona stawiać czoło trzem siłom: terrorowi Niemców, niechęci współpracujących z nimi Litwinów, a z czasem również narastającej wrogości ze strony sowieckiej partyzantki. Jeszcze gorsza była sytuacja wileńskich Żydów, w większości obywateli polskich, wobec których już od lipca 1941 r. Niemcy i litewscy kolaboranci zaczęli realizować program „rozwiązania kwestii żydowskiej”.

Licealiści na Łukiszkach

Pod koniec 1941 r. fala aresztowań ogarnęła środowiska polskich licealistów i studentów. Nocą z 4 na 5 października litewscy policjanci w służbie niemieckiej przyszli do domu Piłściów przy ul. Połockiej w Wilnie. Henryk trafił najpierw do aresztu w podziemiach przedwojennego Sądu Okręgowego przy ul. Ofiarnej, a po tygodniu do pobliskiego więzienia na Łukiszkach.

W dniu siedemnastych urodzin Henryka jego matka, Malwina, udała się pod bramę Łukiszek, aby przekazać synowi paczkę z ciepłym swetrem i żywnością, w tym ciastem urodzinowym, a także prosić o widzenie. Takie widzenia były rzadkie. A już na pewno do rzadkości należał sposób, w jaki Malwina Piłś uzyskała zgodę. Gdy litewscy strażnicy odmówili nawet przyjęcia paczki, matka wykorzystała moment, gdy pod bramę podjechało auto z niemieckimi oficerami. Poprosiła jednego z nich o możli-

wość wręczenia paczki synowi. Okazało się, że może go także zobaczyć.

I tak „zaczęły otwierać się kolejne bramy, prowadzono ją przez przejścia i przedsionki, sprawdzano dokumenty, o coś pytano, aż wreszcie znalazła się w zakratowanej sali, gdzie znajdował się tylko długi stół. Strażnik przeglądał powoli zawartość paczki. (...) Nagle z przeciwnych drzwi wyszedł Henryk prowadzony przez strażnika. Szedł wyprostowany, z uniesioną głową, pełen ogromnego wewnętrznego skupienia, godności i siły. Świeżo zaczesane włosy i umyta twarz czyniły go jeszcze młodszym. »Mamusiu« zawołał nagle, przypadł do matki całując, niemal płacząc i śmiejąc się na przemian. (...) Był po prostu chłopcem, który dziś kończy 17 lat” (cytat z akt śledztwa Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Gdańsku w sprawie zbrodni w Ponarach).

Śledztwo wobec Henryka, uznanego za członka „polskiego tajnego ruchu oporu” (zapis z niemieckiej kartoteki), niemiecka policja bezpieczeństwa prowadziła siedem miesięcy. Podczas widzenia z matką nie mógł o tym mówić, obserwował ich strażnik. Uwadze matki nie umknęło jednak, że starał się ukryć przed nią dłonie, zapewne poranione na skutek tortur. Możliwe, że jego przesłuchania wyglądały podobnie jak kolegi z organizacji Mariana Markiewicza, z którym Malwina Piłś udało się porozmawiać na Łukiszkach w Wigilię 1942 r. Wspominał on, że był bity pałkami po całym ciele.

„Na Ponary”

Markiewicz, który przeżył wojnę, zapamiętał, że około 10 maja 1942 r. na więziennych korytarzach zaczął się niecodzienny ruch. Z jego celi nie zabrano nikogo, za to z sąsiedniej Henryka. Wszystkich zaprowadzono do zbiorczej celi i zaczęto spisywać personalia. Według relacji innego więźnia, Jana Mietkowskiego, okazało się, iż w grupie jest o jedną osobę za dużo. Wówczas „Litwini mówili, że to nie szkodzi, jednego Polaka będzie mniej”. Jednak po chwili od grupy odłączono właśnie Mietkowskiego, który, jak usłyszał, „nie był przeznaczony na rozstrzelanie”.

Pierwsza egzekucja wileńskich licealistów na terenie Ponar miała miejsce kilka dni wcześniej, 5 maja. Kolejna 12 maja – wtedy zginął Henryk. Zapis w kartotece głosi, iż Piłś „w dniu 12 maja 1942 r. →

W latach 1941-44 w lesie w Ponarach z rąk Niemców oraz litewskich kolaborantów zginęło ok. 70 tys. Żydów (obywateli polskich) i kilka tysięcy wileńskich Polaków. Na zdjęciu: pomnik upamiętniający żydowskie ofiary. Ponary, 2013 r.



Jeden z tzw. dołów śmierci, w których chowano ofiary egzekucji w Ponarach, stan obecny.

→ został potraktowany specjalnie” – w języku III Rzeszy oznaczało to wyrok śmierci. Kolejny transport z młodzieżą wyruszył z Łukiszek „na Ponary” (jak mawiano) w dniu następnym. Wiadomo, że także 12 września 1943 r. w Ponarach odbyła się egzekucja licealistów powiązanych ze Związkiem Wolnych Polaków (nie wiadomo, czy było ich więcej). Ci członkowie Związku, którzy nie trafili do Ponar, zostali skazani na pobyt w obozach pracy przymusowej.

Małe getto, duże getto

W chwili, gdy ginęli tam wileńscy licealiści, Ponary już od dziesięciu miesięcy były miejscem masowych egzekucji wileńskich Żydów.

Aresztowania wśród obywateli polskich narodowości żydowskiej zaczęły się w Wilnie już pod koniec czerwca 1941 r., zaraz po wejściu Wehrmachtu. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy niemieckiej okupacji w mieście działała – w strukturach litewskiej policji – tzw. sekcja komunistyczno-żydowska, której zadaniem były nie tylko szykany administracyjne i eksploatacja gospodarcza Żydów, ale też sporządzanie list osób przeznaczonych do eksterminacji. Na ich podstawie funkcjonariusze oddziału specjalnego (złożonego z Litwinów, a nadzorowanego przez Niemców) zatrzymywali Żydów i transportowali na Łukiszki, a potem do Ponar. Już w pierwszych miesiącach niemieckiej okupacji zginęło ich tam kilka, może kilkanaście tysięcy.

Sytuacja wileńskich Żydów pogorszyła się drastycznie po utworzeniu we wrześniu 1941 r. dwóch gett: małego (zamieszkałego przez ok. 15 tys. osób) i dużego (liczącego ok. 45 tys. mieszkańców). 1 października 1941 r., w święto Jom Kipur, do Ponar wywieziono 1700 Żydów z małego getta, a 21 października nastąpiła jego całkowita likwidacja. Piesze kolumny prowadzono przez cały dzień z Wilna do oddalonych o 12 km Ponar. Kilka dni później, między 24 a 28 października, poprowadzono tam kolejnych 8 tys. Żydów – byli to tzw. fachowcy (rzemieślnicy, wcześniej uznani za przydatnych) wraz z rodzinami.

Duże getto zostało zlikwidowane we wrześniu 1943 r. Jego mieszkańcy trafili do obozów zagłady, część do obozów pracy, a najslabsi do Ponar. Tutaj zginęli m.in. poeta Chaim Siemiatycki oraz Bencjon Michtom, członek literacko-artystycznej grupy Jung Wilne (Młode Wilno).

Las tłumiał strzały

Wybór jako miejsca egzekucji właśnie Ponar – osiedla położonego w lasach, gdzie przed wojną chętnie odpoczywali mieszkańcy Wilna – był przemyślany. Niemcy wykorzystali fakt, że w czasie okupacji sowieckiej planowano zbudowanie tu podziemnych składów paliwa dla lotnictwa. Po przerwanej budowie zostały głębokie wykopy. Miejscowość była też dobrze skomunikowana: leżała przy drodze na Grodno i linii kolejowej, a bliskość Wilna pozwalała na doprowadzanie tutaj

także pieszych kolumn. Sosnowy las maskował teren niedosłyszanej bazy i tłumiał odgłosy strzałów.

Wykopy posłużyły za masowe groby. Po przybyciu transportu Niemcy i Litwini z formacji kolaboranckich (popularnie zwani szaulisami) wydzielali kolejne grupy po kilkanaście osób, które stawały przed plutonem egzekucyjnym (wcześniej musiały się rozebrać). Zapelnione doły zasypywano wapnem chlorowanym i piaskiem. Szacuje się, że od lipca 1941 do lipca 1944 r. na terenie Ponar zginęło ok. 80 tys. osób, w tym 70 tys. Żydów (obywateli polskich), 2-3 tys. Polaków, 5 tys. sowieckich jeńców i około tysiąca Litwinów oraz Białorusinów uznanych za komunistów.

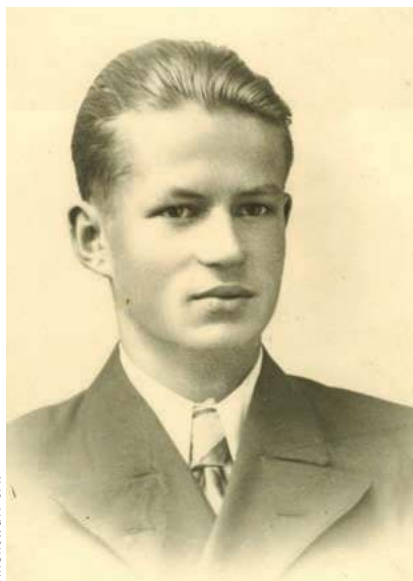
Świadkowie

Teren ponarskiej bazy chroniono przed wzrokiem niepowołanych, jednak miejscowa ludność podejmowała próby zorientowania się, co dzieje się za płotem z tabliczkami „Miny, zagrożenie życia”.

Wstrząsające świadectwo pozostawił wileński dziennikarz Kazimierz Sakowicz w „Dzienniku pisanym w Ponarach”. Z okna swojego domu, położonego kilkadziesiąt metrów od bazy, obserwował transporty i na bieżąco zapisywał spostrzeżenia, a także relacje pozyskane od sąsiadów. Notatki ukrywał w butelkach, które zakopywał w ogrodzie. Zapiski Sakowicza, który zginął w 1944 r., zostały odnalezione po wojnie. Dwukrotnie doczekały się wydania polskiego, a także wydań po angielsku, hebrajsku, niemiecku i litewsku.

Pod datą pierwszej egzekucji młodzieży ze Związku Wolnych Polaków – 5 maja 1942 r. – znajdujemy tu zapis: „we wtorek 5 maja stracono 47 osób, nie Żydów, lecz Polaków i czerwonoarmistów”. 12 maja, w dniu śmierci Henryka Piłsicia, Sakowicz nic nie zanotował.

Piłściowie szybko zorientowali się, że Henryk nie żyje. Jego brat Jan po latach zeznał, że w pewnym momencie „władze więzienia na Łukiszkach przestały przyjmować paczki, które rodzice mu tam przekazywali”. Wówczas rodzina poprosiła władze więzienne o informacje o jego losie. Odpowiedź z niemieckiej Policji Bezpieczeństwa nadeszła po roku: potwierdzono, że Henryk został skazany na śmierć przez policyjny sąd doraźny za działalność wrogą wobec III Rzeszy. Ostatnie zdanie brzmiało: „Wyrok już wykonano”.



ARCHIWUM IPN



PRZEMYSŁAW NAMSOLEK

Henryk Piłś, gimnazjalista i członek młodzieżowej organizacji Związków Wolnych Polaków (na zdjęciu z lewej), zginął w Ponarach w 1942 r. i tam został pochowany w masowej mogile. Jego rodzina postawiła mu symboliczny grób na cmentarzu Bernardyńskim w Wilnie.

Zgodnie z rozkazem szefa SS Heinricha Himmlera o zacieraniu śladów zbrodni jesienią 1943 r. Niemcy skierowali do Ponar grupę kilkudziesięciu żydowskich więźniów, których zmuszono do otwierania masowych grobów, wydobywania zwłok i ich palenia. Wiosną 1944 r. więźniowie podjęli próbę zbiorowej ucieczki. Większość zginęła, ale kilkunastu udało się ukryć w lasach i przetrwać – dzięki temu mogli zeznawać w roli świadków.

Pamięć: krok po kroku

Droga do upamiętnienia miejsca egzekucji w Ponarach nie była prosta. Pierwsze takie próby, podejmowane oddolnie przez ocalałych wileńskich Żydów (jeszcze w 1945 r.) i przez wileńskich Polaków

(na początku lat 50. postawili tu krzyż), zostały zniszczone przez władze.

W Związku Sowieckim polityka pamięci była podporządkowana ideologii: na pomnikach ofiar mogły figurować jedynie informacje o „obywatelach sowieckich”, bez ich przynależności narodowej. Na pomniku z czerwoną gwiazdą, wzniesionym tu w 1948 r., umieszczono tylko napis „Ofiarom faszystowskiego terroru 1941-1944”. Potem przez kilka dekad niewiele się tu działo. Dopiero w 1985 r. otwarto Ponarski Zespół Pomnikowy, ale tablice (po litewsku i rosyjsku) nadal głosiły, że rozstrzelano tutaj „ponad 100 tysięcy obywateli sowieckich”.

Kilka lat później, w klimacie postępującej pierestrojki i fermentu w sowiec-

kich republikach, możliwe stało się uzupełnienie ponarskich upamiętnień o akcenty narodowe. W 1988 r. dzięki staraniom wileńskich środowisk z Polski stanął tu krzyż i tablica w języku polskim. Dwa lata później pojawiła się tablica z gwiazdą Dawida i informacją (m.in. w jidysz i po hebrajsku) o żydowskich ofiarach. W 1991 r. stanął też ich pomnik, w kształcie steli.

W kolejnych latach staraniem władz RP rozbudowano polską kwaterę. Dziś przy wejściu do niej widnieją dwujęzyczne (polskie i litewskie) napisy: „Polska kwatera wojenna 1941-1944”. Po wewnętrznej stronie owalnego pomnika umieszczono tablice z nazwiskami 329 polskich ofiar, których tożsamość udało się ustalić.

W 2018 r. w Ponarach otwarto nową wystawę czasową, prezentującą stan badań i nowe ustalenia. Przygotowano też wystawę plenerową, prezentowaną na obszarze blisko pięciu hektarów.

■■■

Nie mogąc pochować swoich bliskich, niektóre rodziny wileńskich Polaków jeszcze podczas wojny stawiały im symboliczne groby. Taki grób dla Henryka Piłśa jego bliscy postawili na cmentarzu Bernardyńskim w Wilnie. Jego nazwisko znajduje się dziś także na liście zidentyfikowanych ofiar w tzw. kwaterze polskiej.

© MONIKA TOMKIEWICZ

Autorka, doktor habilitowana, pracuje w Biurze Badań Historycznych IPN w Warszawie. W 2008 r. wydała książkę „Zbrodnia w Ponarach 1941-1944”. Obecnie przygotowuje jej drugie wydanie, poprawione i rozszerzone.

W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA” DODATEK TOWARZYSZĄCY DEBACIE

WOLNOŚĆ KOCHAM I ROZUMIEM

a w nim m.in.:

rozmowa z O. NIKODEMEM BRZÓZYM i MICHAŁEM MERCZYŃSKIM, organizatorami wydarzenia, oraz głosy artystów biorących udział w uroczystym koncercie. Debata z udziałem KS. ADAMA BONIECKIEGO, TOMASZA DOSTATNIEGO OP, AGNIESZKI HOLLAND, ALEKSANDRA KWAŚNIEWSKIEGO, PROF. MARCINA MATCZAKA i PROF. ANNY WOLFF-POWĘSKIEJ odbędzie się 11 listopada o godz. 16 i będzie transmitowana na żywo w TVN24.

Organizator: Fundacja Malta
Producent wykonawczy: Estrada Poznańska
Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym:
Miasta Poznań, Samorządu Województwa Wielkopolskiego, Powiatu Poznańskiego.
Koncert i debata pod patronatem:
Jacka Jaśkowiaka – Prezydenta Poznania,
Marka Woźniaka – Marszałka Województwa Wielkopolskiego
i Jana Grabkowskiego – Starosty Poznańskiego.

KOSMICZNY BESTIARIUSZ

Astronomowie wykryli już niemal 5 tysięcy planet pozasłonecznych. Na wielu panują ekstremalne warunki. Ale kandydatek na „drugą Ziemię” nie brakuje.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

*Tak mogłoby
wyglądać niebo
z powierzchni
planety
Kepler-10b*

JEŚLI, JAK LUBIĄ POWTARZAĆ ASTRONOMOWIE, szukanie planet okrążających odległe gwiazdy jest jak próba wypatrzenia świetlika w świetle latarni morskiej, to osiągnięcie astronomów Europejskiego Obserwatorium Południowego ESO można porównać do znalezienia roztocza pełzającego po tymże świetliku.

Badacze, korzystający ze znajdującej się na pustyni Atakama baterii radiotelesko-

pów ALMA, wypatrzyli coś, co może być otaczającym odległą planetę PDS 70c dyskiem, z którego może narodzić się księżyc. Gdyby tak było, byłaby to pierwsza w historii obserwacja pozasłonecznego (proto)satelity.

„PDS 70 to młoda gwiazda, bardzo podobna do tego, jak wyglądało za młodu Słońce – napisał dr Stefano Facchini, który był jednym z autorów obserwacji.

– Jest też pierwszą planetą, wokół której bezpośrednio zaobserwowano dwie planety, które rosną i formują się. Obie są bardzo masywne”. To młody, dopiero formujący się system planetarny. I doskonałe miejsce do poszukiwania śladów nardzin planetarnych satelitów.

Bezpośrednie obserwacje planet wciąż są bardzo rzadkie. Większość spośród prawie 5 tysięcy znanych astronomom planet pozasłonecznych odkryto pośrednio, mierząc wpływ, jaki planeta wywiera na swoją gwiazdę. Albo swoją grawitacją wywołuje „kiwanie się” gwiazdy, albo przysłania nieco jej światło, gdy znajduje się bezpośrednio pomiędzy gwiazdą a naszym teleskopem. Żeby zobaczyć taką planetę bezpośrednio, na fotografii, potrzeba bardzo czułych instrumentów i sporo szczęścia. Dostrzeżenie księżycza jest o wiele rzędów wielkości trudniejsze.

Drugi Księżyc

Tymczasem księżyce są o wiele ważniejsze, niż zwykle nam się wydaje. Nie są tylko pasywnymi towarzyszami planet, ale aktywnie kształtują to, co z tymi planetami się dzieje. Gdyby nie nasz własny Księżyc, prawdopodobnie życie, a przynajmniej zaawansowane życie, nigdy nie miałoby szansy pojawić się na Ziemi.

„Księżyc ma prawdopodobnie kluczowe znaczenie dla ewolucji życia na naszej planecie – pisze prof. Siegfried Eggl z University of Illinois. – Bez Księżycza nachylenie osi Ziemi nie byłoby tak stabilne, czego skutki byłyby szkodliwe dla stabilności całego klimatu”.

Gdyby Ziemia zmieniała gwałtownie nachylenie swojej osi, mogłaby szybko i często zmieniać swoje oblicze. Raz byłaby lodową kulą, by za kilka milionów lat zmieniać się w wysuszoną pustynię. Tak gwałtowne zmiany klimatyczne nie pozwoliłyby najprawdopodobniej na powstanie żadnych bardziej złożonych form życia. Dlatego poszukiwanie księżyców innych planet może pozwolić nam odnaleźć takie, które mogą nadawać się do zamieszkania. Znalazienie „drugiego Księżycza” może być sposobem na znalezienie „drugiej Ziemi”.

Eggl, wspólnie z astrofizykiem z Georgia Tech Billym Quarlesem, opracowali nową metodę wykrywania egzoksiężyców wokół planet okrążających gwiazdy podwójne. Najbliższa taka planeta jest tuż za galaktycznym rogiem, w odległym o „zaledwie” 4,37 lat świetlnych układzie

Alfa Centauri i leży w takiej odległości od swojej gwiazdy, że panujące na niej temperatury pozwalałyby na istnienie na jej powierzchni ciekłej wody. To tzw. strefa biogenna.

„Wiemy, że planety, gwiazdy i księżyce w naszym Układzie Słonecznym oddziałują grawitacyjnie między sobą w czymś, co przypomina gigantyczną grę planszową – powiedział Eggl. – Księżyc oddziałuje pływowo z Ziemią, ale Słońce ciągnie za oba. Druga gwiazda działałaby jako kolejne zewnętrzne zakłócenie systemu”. Paradoksalnie to rytmiczne i przewidywalne zakłócenie pozwoliłoby łatwiej wychwycić wpływ, jaki księżyc wywiera na zachowanie planety, ułatwiając jego identyfikację.

Spełniona Apokalipsa

Oczywiście niebo nad taką planetą byłoby dla nas zupełnie obce, z dwiema czy więcej gwiazdami oświetlającymi jej powierzchnię. Ale teoretycznie życie mogłoby czuć się na takiej planecie doskonale. Co nie jest regułą w przypadku egzoplanet, bo w kosmicznej menażerii tworzonej przez astronomów znajdują się też prawdziwe potwory.

Oto mała próbka z astronomicznego bestiariusza. Na początek weźmy egzoplanetę WASP-76b. Odkryta po raz pierwszy w 2013 r. i dokładnie zbadana w 2020 r. planeta okrąża swoją gwiazdę w tak małej odległości, że jest z nią połączona pływowo, czyli, tak jak ziemski Księżyc, jest zawsze ku niej zwrócona tą samą stroną. Na „dziennej” stronie planety temperatury sięgają 2500 stopni Celsjusza. Na nocnej są o 1000 stopni niższe. Tamtejsza noc jest więc wciąż piekielnie gorąca, ale różnica temperatur jest tak duża, że na nocnym niebie pojawia się zjawisko rodem z wizji Boscha czy Beksińskiego. Bogata w żelazo powierzchnia planety paruje po stronie dziennej, a wiatr przenosi gazowe żelazo na stronę nocną. Tam gwałtownie się schładza i formuje krople. Z nocnego nieba spada ognisty, żelazny deszcz. Na podobnie powiązanej ze swoją gwiazdą HD 189733b, bogatej w krzemiany, zamiast żelaza na nocnej stronie pada deszcz szklanych kropli,miotanych naddźwiękowym wiatrem.

Z kolei na Kepler-10b, którego orbita jest tak bliska gwiazdy, że tamtejszy rok trwa krócej niż ziemski dzień, promieniowanie gwiazdy dawno zniszczyło atmosferę. Nie ma więc ani deszczu, ani wiatru.

Ale i tak nie jest przyjemnie – rozgrzane do 1300 stopni planetarne skały pokrywają jej powierzchnię grubym oceanem lawy. Ten ognisty ocean, bez atmosferycznej ochrony, jest porywany przez słoneczny wiatr, tworząc za planetą ognisty ogon, nadający jej wygląd przypominający piekielną komętę. To coś trudnego do wyobrażenia w naszym spokojnym, statecznym Układzie Słonecznym. Przynajmniej dzisiaj. W pierwszych milionach lat jego istnienia wiele obiektów, w tym i nasza Ziemia, miało na powierzchni oceany magmowe.

Jeszcze gorętsza planeta 55 Cancri e może być z kolei najcenniejszym obiektem w znanym Wszechświecie. Egzoplaneta, bogata w węgiel, ma masę prawie dziewięć razy większą od Ziemi. Ogromna temperatura i panujące w jej wnętrzu ciśnienie najprawdopodobniej przekształciły znaczną część tego pierwiastka w diament. Odkrywczy planety wyliczyli nawet, że według dzisiejszych cen wartość tego kosmicznego brylantu wynosi 384 miliardy razy więcej niż całkowite PKB Ziemi.

W strefie biogennej

Takich planetarnych dziwadeł jest o wiele więcej. Ekstremalne planety stanowią ogromny odsetek spośród znalezionych do tej pory obiektów pozasłonecznych z prozaicznego powodu. Stosowane przez naukowców metody znajdowania egzoplanet najłatwiej i najszybciej odnajdują te z nich, które znajdują się najbliżej macierzystych gwiazd. Jeśli planeta okrąża swoją gwiazdę w tydzień, rytmiczne zaburzenia jasności czy „wahania” gwiazdy można wykryć już po kilkunastu dniach. Jeśli, jak Ziemia, potrzebuje setek dni do zakończenia jednej orbity, odkrycie takiego obiektu wymaga lat precyzyjnych, cierpliwych obserwacji.

Ale odkryć planet podobnych do Ziemi wciąż przybywa. Znamy już setki planet znajdujących się w strefach biogennej, w tym co najmniej 60, które są rozmiarami zbliżone do Ziemi. A to tylko kropla w morzu, bo gwiazdy, które sprawdził pod kątem posiadania planet, stanowią ułamek procenta gwiazdnej populacji Drogi Mlecznej. Według różnych szacunków tylko w naszej galaktyce może być od 98 do 500 mld planet, na których mogłyby potencjalnie panować warunki sprzyjające życiu. We wrześniu 2020 r. niemiecko-amerykański

→ zespół wytypował więc 24 spośród znanych wówczas 4 tysięcy planet, które mogłyby mieć warunki nie tylko sprzyjające życiu, ale wręcz bardziej korzystne od tych, które panują na Ziemi.

Takie „supergościnne” planety okrążałyby stabilniejsze, bardziej długowieczne od Słońca gwiazdy, dające życiu więcej czasu na rozwój. Badacze wskazują tu zwłaszcza na tzw. pomarańczowe karły, o masie równej 0,5-0,8 masy Słońca. Podczas gdy nasza gwiazda dożyje wieku około 10 mld lat (dziś jest zważana czteropółmiliardolatka), teoretyczny limit dla tego typu gwiazd to 15 do 30 mld. Planety korzystniejsze dla życia charakteryzowałyby się też większą masą, pozwalającą im zgromadzić grubszą atmosferę i dłużej zachować wewnętrzne ciepło. Powinny posiadać także duży księżyc, równomiernie rozłożone obszary lądów i oceanów i mniej więcej 25-30 proc. tlenu w atmosferze.

Jedną z klas planet, które szczególnie interesują poszukiwaczy śladów pozaziemskiego życia, są hyceany. To nowo odkryty typ planety o właściwościach, które co prawda nie są idealne do powstania na nim życia takiego, jakie istnieje dziś na Ziemi, ale które zdecydowanie ułatwiłyby nam jego wykrycie.

Hyceany to planety większe od Ziemi — mające do 2,5 raza większą średnicę — i pokryte głębokim oceanem. Ich atmosfery są niezwykle bogate w wodór (stąd nazwa, będąca złożeniem angielskich słów „hydrogen” – wodór – i „ocean”). Jedne okrążają swoje planety w ciągu kilku dni, inne poruszają się po odległych, mroźnych orbitach daleko od źródła energii. Ale każdy z typów hyceanów dawałby szansę na rozwój w głębinach rozmaitych ekstremofilnych bakterii. Co ważne, detekcja chemicznych śladów życia, tzw. biomarkerów, np. tlenu i metanu, byłaby w ich atmosferach łatwiejsza, niż na innych rodzajach potencjalnie nadających się do zamieszkania planet.

„Większe promienie i wyższe temperatury dopuszczalne dla planet typu hycean sprawiają, że biomarkery są łatwiej wykrywalne w ich atmosferach niż na egzoplanetach typu skalistego” – napisali w opublikowanym w „The Astrophysical Journal” autorzy z Uniwersytetu Cambridge. Są przekonani, że do takiej detekcji może dojść już w najbliższych latach.

„Wykrywanie biosygnatur zmieniłoby nasze rozumienie życia we wszechświecie – pisze w towarzyszącym badaniu komunikacie główny autor badania, Nikku Madhusudhan. – Musimy być otwarci na to, gdzie można spodziewać się znalezienia życia i jaką formę może ono przybrać, ponieważ natura wciąż nas zaskakuje”.

Okno na światy

Szansą na dokonanie tego przełomowego odkrycia ma być planowany na 18 grudnia start orbitalnego teleskopu Jamesa Webba. Warte 9,8 mld dolarów kosmiczne obserwatorium ma nam dać po raz pierwszy szansę na bezpośrednie pomiary właściwości egzoplanet. Instrument, stokrotnie czulszy od wysłużonego Kosmicznego Teleskopu Hubble’a, będzie prowadził obserwacje w podczerwieni, co zdecydowanie ułatwi obserwowanie obiektów skrytych za chmurami nieprzepuszczalnego dla światła widzialnego pyłu. Pozwoli ustalić, z czego składają się atmosfery egzoplanet, czy jest na nich woda, czy na ich niebie są chmury. I wiele więcej.

„James Webb będzie rewolucyjny, dosłownie rewolucyjny” – mówi magazynowi „Digital Trends” Néstor Espinoza, astrofizyk ze Space Telescope Science Institute. – Pozwoli nam zobaczyć rzeczy, których się spodziewaliśmy, ale nie mogliśmy zobaczyć z braku właściwych technologii. Jestem też prawie pewien, że wykryje rzeczy, o których nigdy nie myśleliśmy”.

Bo tę kosmiczną menażerię dopiero zaczynamy odkrywać i nazywać. Jesteśmy jak mieszkańiec starożytnej europejskiej wsi, który wie, jak wygląda krowa, koza czy jaskółka, ale nie wie nic o słońcach, wielorybach ani rajszych ptakach. Ciągle wiemy niewiele o klasycznych planetach trzymających się z grubsza reguł rządzących naszym Układem Słonecznym, bo z bliska widzieliśmy tylko osiem z nich. Nie wspominając o bardziej egzotycznych obiektach, takich jak planety zbuntowane, wyrzucone ze swoich układów planetarnych i samotnie przemierzające międzygwiazdną pustkę. Albo „blanety”, czyli planety tworzące się wokół czarnych dziur. A one też, przynajmniej według niektórych teoretyków, wcale nie muszą być tak niegościnne dla życia, jak mogłoby się wydawać.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Sprawdzę to jeszcze raz

PIOTR SZYMANEK

Zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne często utrudniają normalne funkcjonowanie. Według nowej hipotezy odpowiadają za nie problemy ze świadomym dostępem do wspomnień.

ZAMKNAŁEŚ DRZWI? ALE NA PEWNO? A może jednak wróć i sprawdź jeszcze raz?

Tego rodzaju niepewność zdarzyła się kiedyś chyba każdemu, a już na pewno tym, którzy każdego dnia pośpiesznie szykują się do pracy i wykonują wszystkie działania w sposób automatyczny. „Autopilot”, na który przestawiamy nasz umysł przy codziennych czynnościach, w większości przypadków działa bez zarzutu, dlatego w ostatecznym rozrachunku rzadko zdarza się, by ktoś nie zamknął drzwi od mieszkania albo został na natrętne pytanie ze strony mózgu: „czy aby na pewno?” odpowiada więc z dużą dozą zaufania do siebie: „tak, na pewno – robię to przecież codziennie”.

Do takiej odpowiedzi wydaje się niezdolna osoba z zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi (ang. *obsessive-compulsive disorder*, OCD). Objawiają się one na dwa sposoby, które mogą, ale nie muszą występować łącznie. Po pierwsze, pojawiają się powracające, niechciane myśli, często dotyczące bardzo przykrych tematów: niebezpieczeństwa, społecznych tabu, przemocy czy profanacji. Po drugie, osoby z OCD odczuwają potrzebę wielokrotnego powtarzania pewnych czynności, nieraz w bardzo rytualny, zrozumiały tylko dla siebie sposób.

Obraz osoby z OCD znamy z wielu dzieł kultury. Zaburzenia te występują np. u głównego bohatera „Dnia świra”. Dialog, który Adaś Miauczyński pro-

wadzi ze sobą na schodach po wyjściu z domu, przypomina pytania, od których zaczyna się ten tekst. Przy czym Adaś wraca do mieszkania i sprawdza drzwi jeszcze raz, jak gdyby nie był w stanie zaufać samemu sobie. Na czym polega ten brak zaufania? Skąd u osób z OCD ta potrzeba ciągłego sprawdzania, czy wszystko jest tak, jak być powinno?

Lęki i paradoksy

Najważniejszym czynnikiem motywującym do sprawdzania wydaje się lęk, nieustanna obawa, że wydarzy się coś złego – np. pożar albo wypadek. Obsesyjne myśli o zagrożeniu w pewnym momencie zaczynają zmuszać człowieka do wykonywania czynności, które mają zapobiec nadchodzącej katastrofie. Może dojść do eskalacji objawów – wówczas człowiek nie jest w stanie sprawnie funkcjonować, ponieważ nawet najprostsze czynności okupione są długimi, nieraz męczącymi działaniami wykonywanymi „na wszelki wypadek”.

Wydawałoby się jednak, że skoro ktoś odczuwa lęk zmuszający do wykonania jakichś czynności, to jednorazowe ich wykonanie powinno wystarczyć. Czasem faktycznie tak jest: osoba z OCD może np. czuć potrzebę mycia rąk, więc myje je i kompulsja chwilowo znika. Inaczej jest w przypadku kompulsyjnego sprawdzania. Paradoksalnie im dłużej osoba z OCD sprawdza, np. czy drzwi są zamknięte, tym mniej staje się pewna. Widzi, ale nie wierzy własnym oczom. Jak to możliwe?

Najbardziej intuicyjna z hipotez głosi, że osoby z OCD mają także problemy z pamięcią, wywołujące niepewność dotyczącą wydarzeń, które miały miejsce przed chwilą. Ale na czym te problemy polegają? W psychologii mówi się m.in. o pamięci sensorycznej, przechowującej tylko bieżące informacje pochodzące ze zmysłów, pamięci krótkotrwałej, odpowiedzialnej za zapamiętanie numeru na taksówkę, a także o pamięci długotrwałej – to w niej (a właściwie w jednym jej typie, tzw. pamięci epizodycznej) mieszczą się wspomnienia z życia decydujące o naszej tożsamości. Wyróżnia się też wiele innych funkcji umysłu istotnych dla zapamiętywania: uwagę, pamięć roboczą – „pulpit” umysłu – a także metapamięć, czyli subiektywne poczucie, że się coś pamięta lub nie. Które z tych wielu aspektów pamięci działają prawidłowo u osób z OCD, a które nie?



72-letni George Fowler, osoba ze zdiagnozowaną syllogomanią (zespołem zbieractwa, jednym z zaburzeń ze spektrum OCD). Projekt fotograficzny Corinny Kern „George’s World”.

Londyn, grudzień 2013 r.

Mentalna podróż w czasie

Warto zwrócić uwagę, że osoby z OCD, jeśli pominiemy obsesje i kompulsje, zazwyczaj sprawnie funkcjonują w codziennym życiu, a przecież jeśli ich deficyty w pamięci istnieją, to powinny objawiać się we wszystkich aspektach życia. Zgodnie z tą intuicją francuscy psycholodzy Sandrine Kalenzaga, David Clarys i Nematollah Jaafari przeprowadzili analizę wielu badań z minionych dwudziestu lat i doszli do wniosku, że nie ma dowodów na to, by osoby z kompulsjami miały ponadprzeciętne trudności z zapamiętywaniem informacji. Ta sama grupa badaczy przedstawiła niedawno nową hipotezę: kluczem do zrozumienia kompulsywnego sprawdzania mają być problemy nie tyle z samą pamięcią, co raczej ze świadomym dostępem do niej.

Mowa tu o tzw. świadomości auto-noetycznej, która jest naszym wewnętrznym wehikułem czasu. Kiedy cofacie się w myślach do tego dnia, gdy przyszście do szkoły bez kredek i jesteście w stanie przenieść się do momentu, kiedy dostaliście burę od nauczyciela plastyki – to właśnie tego rodzaju świadomości używacie. To trochę tak, jak gdyby pewne zasoby naszej pamięci krótko- i długotrwałej były dla nas dostępne do zwiedzania w wyobraźni.

Zdaniem Kalenzagi i współpracowników osoby z kompulsjami nieustannie sprawdzają, bo brakuje im właśnie tego – możliwości swobodnego odtworzenia zapisanych w pamięci epizodycznej działań. Analogicznie możemy mieć w komputerze zapisane jakieś dane, ale bez monitora nie jesteśmy w stanie się im dokładnie przyjrzeć.

Ta hipoteza nie wyjaśnia całkowicie mechanizmu zaburzeń obsesyjno-kompulsyjnych, ale – jeśli jest poprawna – pomoże w ich lepszym zrozumieniu. Psycholodzy dysponują narzędziami, które pozwalają dokładnie badać świadomość auto-noetyczną – pojawia się więc nadzieja na znalezienie metod terapeutycznych, które pomogą osobom z OCD uwolnić się zarówno od lęku, jak i powtarzanych rytualnie czynności.

Z badawczego punktu widzenia zgłębienie procesów poznawczych kryjących się za obsesjami i kompulsjami może przyczynić się do zrozumienia bardziej ogólnych funkcji naszego umysłu. Na przykładzie OCD widać, że nawet tak pozornie proste zadanie, jak wyrobienie w sobie pewności, że coś faktycznie sprawdzaliśmy, wymaga współpracy wielu trybików umysłu i zakłócenie działania nawet jednego z nich może to zadanie bardzo utrudnić.



EDYTA DUFAL DLA KBF X3

Gala wręczenia Nagrody Conrada. Na zdjęciu od lewej: Urszula Chwalba, Robert Piaskowski, Grzegorz Jankowicz, Inga Iwasiów, Elżbieta Łapczyńska, Maciej Topolski, Joanna Szulborska-Łukasiewicz. Kraków, 24 października 2021 r.

Literatura, ciało i kapitalizm

GRZEGORZ JANKOWICZ

By przetrwać dziś w społecznym chaosmosie, potrzebna jest sztuka wyboru. Propozycją takiego literackiego wyboru jest program Festiwalu Conrada.

Pierwszego dnia Festiwalu Weronika Murek, nominowana do Nagrody Conrada w 2016 r., oprowadzała nas po świecie literackim Julii Fiedorczuk. Rozmowa pisarek dotyczyła wielu ważnych kwestii, ale na jedną z nich chciałbym zwrócić szczególną uwagę.

Fiedorczuk przywołała książkę Jonathan Crary'ego „24/7. Późny kapitalizm i koniec snu”. Amerykański historyk sztuki opowiada w niej o zglobalizowanym świecie, w którym kapitalizm zawłaszcza wszystkie rejony rzeczywistości, łącznie z naszą sferą prywatną, gdzie nie znajdujemy już schronienia przed bezosobowym

żądaniem zobowiązującym nas do nieustannej aktywności. Żeby system mógł działać, żeby mógł w nieskończoność ekspandować, potrzebuje naszej energii. Skłania nas do uczestnictwa w wyniszczającej grze, przechwytyując każdy – nawet najbardziej progresywny – gest, za pomocą którego partycypujemy w rzeczywistości. Według Crary'ego system pozostaje częściowo bezradny wyłącznie wobec naszej potrzeby snu, co nie znaczy, że nie próbuje wdrzeć się również i tam, narzucając nam dłuższy dzień pracy i intensywniejszą – prowadzoną mimowolnie – konsumpcję.

Przywołane przez Fiedorczuk rozważania Crary'ego przypominały mi pewną książkę sprzed kilkadziesiąt lat: „La nuit des prolétaires” („Noc proletariatus”) francuskiego filozofa Jacques'a Rancière'a, który gościł na Festiwalu Conrada w 2014 r. To opowieść o przedstawicielkach i przedstawicielach ruchu robotniczego z pierwszej połowy XIX w., którzy stanowczo sprzeciwili się złym warunkom pracy i przymu-



*Jacek Dehnel, Festiwal Conrada, Kraków, 18 października 2021 r.,
poniżej: Aaiün Nin, Festiwal Conrada, Kraków, 24 października 2021 r.*

sowi nieustannego zwiększania wydajności. Rancière przeanalizował pozostawione przez nich zapiski. Przewija się przez nie jeden wątek: niemal wszyscy zwracają uwagę na destrukcyjny wpływ systemowego wyzysku, przekonując, że zmiana nastąpi tylko wtedy, gdy każda i każdy odrzuci zobowiązanie do bycia w ciągłym pogotowiu, do bezustannej aktywności.

Co ciekawe, jako najlepszy sposób na zacięcie systemu kapitalistycznego robotnice i robotnicy wskazują czytanie i pisanie tekstów literackich, a także rozmowę o nich. Z zapisków wynika, że działania literackie – z punktu widzenia pracodawców pozbawione sensu i określane przez nich mianem próżniactwa – najskuteczniej wyzwalały ciała i umysły z kieratu pracy.

Oczywiście już wtedy literatura była zawłaszczana przez system. Dziś zawłaszczanie to – ze względu na nowe środki komunikacji, inną strukturę rzeczywistości społecznej i fakt, że książka to także towar – jest jeszcze łatwiejsze i bardziej niepokojące.

Wiara w nieograniczoną moc literatury, w jej absolutną autonomię, byłaby naiwnością. Pisanie i czytanie nigdy nie było, nie jest i nie będzie odpowiedzią na całe zło. Wystarczy wziąć pod uwagę fakt, że są osoby, które nie mogą sobie pozwolić na te aktywności z powodu trudnej sytuacji materialnej lub innych czynników ograniczających ich dostęp do kultury, by obietnica zbawienia przez literaturę odśłoniła swój fikcyjny charakter.

Mając w pamięci powyższe zastrzeżenia, staraliśmy się ułożyć program Festiwalu Conrada 2021 tak, by umożliwić Państwu komfortowy udział w spotkaniach, dyskusjach, warsztatach, pokazach filmowych i wystawach. Zaczęliśmy już w maju cyklem internetowych rozmów, za pomocą którego kontekstualizujemy najważniejsze tematy i idee tegorocznej edycji. Cykl ten, którego kolejne odcinki prezentujemy w ostatni czwartek każdego miesiąca, będziemy kontynuować aż do grudnia.

Podjęliśmy również decyzję o ograniczeniu liczby wydarzeń festiwalowych, część z nich udostępniając przez internet, część zaś stacjonarnie. Nadmierna liczba propozycji kulturalnych, zwłaszcza tych wirtualnych, sprawia, że poszczególne rozmowy o literaturze zagłuszają się wzajemnie. Nasz Festiwal zawsze był wielogłosem, zawsze przybliżał różnorodne sposoby myślenia o świecie i bycia w nim. Z tej różnorodności, która sprzeciwia się binarnym systemom komunikacji, nigdy nie zrezygnujemy. Dziś jednak, by przetrwać w społecznym chaosie, potrzebna jest sztuka wyboru. Propozycją takiego wyboru jest program Festiwalu Conrada.

Była to edycja Rebekki Solnit, która zwróciła uwagę na obezwładniające i niszczące skutki patriarchy nie tylko dla kobiet, ale także dla mężczyzn, którzy – tkwiąc w patriarchalnych strukturach – robią krzywdę nie tylko innym, ale też sobie. Była to edycja Han Kang, która opowiadała o bolesnym procesie przechodzenia od mroku do jasności, procesie, który dla niej byłby niemożliwy bez literatury. Była to edycja Marieke Lucas Rijneveld, osoby autorskiej, która jako jeden z najważniejszych problemów wskazała niemożność wyrażenia traumy, czego przyczyną jest społeczna blokada komunikacji, zakaz mówienia. Była to edycja zmarłej w 1937 r. Gerdy Taro, której zdjęcia oraz kontekst, w jakim powstały (wojna w Hiszpanii), stały się inspiracją dla fotografek – Nadii Bużan, Lesii Pcholki i Wolhy Szukajły – dokumentujących wydarzenia na Białorusi. Była to edycja George'a Saundersa, dla którego literatura jest niczym komora sensoryczna – wchodzimy do niej, gdy zaczynamy pisać i czytać, a po wyjściu z niej nic nie jest już takie samo. Była to również edycja wielu innych pisarek i pisarzy, których twórczość jest dla nas – jako organizatorów – niewyczerpanym źródłem inspiracji, których kolejne dzieła skłaniają nas do kontynuowania tego wyjątkowego przedsięwzięcia, jakim jest Festiwal Conrada. Czynimy to z roku na rok coraz uważniej i z poczuciem coraz większej odpowiedzialności.

Dziękuję wszystkim tegorocznym gościom i gościom, prowadzącym, tłumaczkom i tłumaczom, współorganizatorom, instytucjom partnerskim (zwłaszcza partnerowi strategicznemu Allegro oraz uczestniczkom i uczestnikom przeprowadzonej na platformie Allegro aukcji dobroczynnej na rzecz Festiwalu), całej ekipie festiwalowej, a wreszcie – Państwu, naszej wspianej publiczności.

Do zobaczenia za rok!

©®

PLANETA ULGI

TOMASZ STAWISZYŃSKI:

Wyznawcy teorii spiskowych, antyszczepionkowcy i populiści nie są osobami niespełna rozumu. W imię bycia akceptowanym, obdarzaniem zaufaniem i poczuciem bezpieczeństwa można poświęcić coś takiego jak prawda.

MICHAŁ OKOŃSKI: Zaczę od historii z życia, dobrze?

TOMASZ STAWISZYŃSKI: Proszę bardzo.

Mój znajomy kupił przed laty mieszkanie na kredyt, którego rata dramatycznie wzrosła. Teraz dodatkowo uderza go wzrost inflacji. Ledwo wiąże koniec z końcem i czuje się tak udręczony, że zaczyna kwestionować swoje poczucie męskości i sprawczości.

Próbował o tym porozmawiać z kimś poza tobą?

Myślał o powrocie na terapię, ale miał poczucie, że terapeuta znów pytałby go o traumy z dzieciństwa.

Są statystyki wykazujące, że w świecie nierówności społecznych, nieprzeprzanych warunków zatrudnienia itd. jest więcej problemów o charakterze psychicznym. I są autorzy, którzy w ogóle kwestionują istnienie zaburzeń psychicznych albo je romantyzują, mówiąc, że to normalne zachowania w nienormalnym społeczeństwie. Nie idę tak daleko, ale myślę, że prywatyzacja cierpienia psychicznego faktycznie jest problemem. Inaczej kształtujemy stosunek do naszych przeżyć i emocji, kiedy uznajemy, że nie biorą się wyłącznie z jakichś defektów w naszych organizmach albo że nie są efektem doświadczenia krzywdy w odległej przeszłości, tylko mają źródła w sytuacji społecznej.

Kiedy ów mężczyzna zaczął rozumieć, że przyczyną jego cierpienia jest niesprawiedliwość społeczna, zrodziła się w nim wściekłość. Słusznie!

Tyle że była to wściekłość bezsilna. Skoro kazali mu być kowalem własnego losu, to taki sobie wykuł.

Dlatego tak uderza mnie dysonans między tym, jak opisuje się i przedstawia ludzkie życie w dominującym przekazie medialno-kulturowym, a tym, jak ono wygląda realnie. Od dzieciństwa wyrastamy w opowieści, że należy realizować założone cele, robić karierę, zakładać rodzinę. Kultura popularna, reklamy, autoprezentacje w mediach społecznościowych mnożą obrazy dobrego życia, a na to wszystko nakładają się przekazy terapeutyczno-coachingowe. W ich myśl, kiedy już skonfrontujemy się z różnymi swoimi słabościami, kiedy przepracujemy wewnętrzną biografię, wejździemy w kontakt z emocjami itd., będziemy w stanie zaznać życia spełnionego.

Na wszystko jest jakaś recepta, na wszystko jest poradnik i warsztaty: na nieudane związki, na poczucie rozpacz, na żal, bo to wszystko są jedynie zakłócenia w naszym sposobie funkcjonowania. A jeżeli będziemy żyli zdrowo i utrzymywali dobre relacje z bliskimi, to końcówka naszego życia upłynie w harmonii. Ważne jest współczucie, empatia, kooperacja, natomiast pieniądze nie są najważniejsze...

Wiesz, ja bym był skłonny się zgodzić z tymi ostatnimi stwierdzeniami.

Ja też, ale sam zacząłeś od udręczenia człowieka, który nie jest w stanie spłacić kredytu. To jest właśnie ten dysonans. Nieustannie stykamy się ze światem brutalnych relacji, gdzie nasze dobre chęci, pracowitość i talent niewiele znaczą w zderzeniu z machiną systemu. Światem, w którym wielu cierpi i umiera w poczuciu opuszczenia, choć utrzymywało dobre relacje z bliskimi. A w sytuacji kryzysu, konfrontacji z chorobą, bankructwem, traumatycznym rozstaniem itd. zewsząd słychać: „nie przejmuj się, pozbierasz się, będzie OK”. Ta narracja wydaje mi się wręcz kompulsywna, a przecież czasami z choroby się nie wychodzi, sprawy idą źle, depresja i rozpacz łamią człowieka nieodwołalnie.

Mnie się wydaje, że ta narracja od dawna nie przekonuje – i nawet nie trzeba było pandemii, żeby sobie to uświadomić. Od licznych terapeutów i coachów mam tyle możliwych odpowiedzi na bezradność, że wobec nich też czuję się bezradny.

Wiele z tych odpowiedzi łączy imperatyw wychodzenia z trudnych sytuacji i przewycięzania kryzysów za wszelką cenę. Orientowania się na to, co wesołe i konstruktywne, zamiast na smutne i destruktywne.

No i chyba dobrze.

**TOMASZ STAWISZYŃSKI**

jest filozofem i publicystą. Autor wielu audycji w Radiu Tok FM oraz podcastu „Skądinąd”, a także książek „Potyczki z Freudem.

Mity, pułapki i pokusy psychoterapii”, „Co robić przed końcem świata” oraz wydanej właśnie – i będącej pretekstem do tej rozmowy – „Ucieczki od bezradności”.

→ Jasne: nie chodzi o to, żeby się pograżać w rozpacz. Ale nie da się trwale odseparować od doświadczeń stanowiących integralny aspekt naszego uniwersum. Życie nie składa się wyłącznie z wydarzeń pozytywnych, jego niezbywalną częścią jest cierpienie, smutek, bezradność, niemożność, a na końcu śmierć. Myślę, że poza wszystkim uznanie tego faktu zwyczajnie by nas odciążało. Może nawet wiele z tych doświadczeń przestałoby być aż tak dotkliwych – bo stopień ich dotkliwości wiąże się przecież z wtłaczanym nam przekonaniem, że są w jakimś stopniu naszą winą, a w każdym razie błędem zawsze możliwym do skorygowania.

Kiedy przyznamy sami przed sobą, że czujemy się bezradni, możemy stracić motywację do dalszych starań. A ich stawką może być przecież nie tylko nasz los.

W dzisiejszym świecie panuje kult hiperodpowiedzialności i hypersprawczości – systemy quasi-terapeutyczne sprzęgają się tutaj z neoliberalizmem. Słyszymy, że nasz sukces, nasze położenie w hierarchii społecznej, nasz zasób środków na koncie wiążą się z zaradnością, pracowitością, talentami. A przecież poważne analizy ekonomiczne pokazują, do jakiego stopnia nasze miejsce jest zdeteterminowane przynależnością do środowiska, w którym wzrastaliśmy – i że tylko jednostki zdolają przekroczyć bariery klasowe.

Inny, gorący w każdym sensie przykład: to, jak wmawia się nam indywidualną odpowiedzialność za los planety. Oczywiście nie mówię, że mamy nie segregować śmieci, wskazuję tylko na nieadekwatność tego kategorycznego imperatywu, który rodzi poczucie winy przy zakupie jakiegokolwiek dobra zapakowanego w plastikową torebkę.

Kto nam to robi?

W mediach społecznościowych komunikacja jest oparta na emocjach i łatwo o efekt kuli śnieżowej – użytkownicy Facebooka czy Twittera w zasadzie ciągle funkcjonują w stanie moralnego pobudzenia. Powiedzenie, że jest się bezradnym i pozbawionym sprawczości – że się nie uratuje planety i że się nie przyjmuje odpowiedzialności za jej los – brzmi jak prowokacja. Ale ja naprawdę nie jestem w stanie wziąć na siebie tej odpowiedzialności – podobnie jak nie jestem w stanie

wziąć na siebie odpowiedzialności za los ludzi na granicy. Oraz za całą resztę zła i okrucieństwa w świecie.

Owszem, mogę mówić, że uznaję to, co się dzieje, za moralny skandal, mogę wesprzeć organizacje, które starają się coś zrobić, mogę sam pomagać bezpośrednio, ale jako jednostka nie zmienię biegu wydarzeń, które zależą od gigantycznych interesów wielkich podmiotów politycznych i ekonomicznych. Na polskiej granicy realizuje się polityka Unii Europejskiej. To polscy i europejscy politycy są za to odpowiedzialni. A zatem, tak: jestem wobec tego bezradny, podobnie jak jestem bezradny wobec katastrofy klimatycznej.

Siejesz defetyzm.

Jestem od tego jak najdalszy. Myślę nawet, że samo powiedzenie głośno, że ratowanie planety jest bardziej zadaniem kilkudziesięciu najbardziej trujących państw i globalnych koncernów niż moim czy twoim, będzie dla kogoś źródłem ulgi.

Czyli jaki jest zasięg mojej sprawczości? Za co jestem odpowiedzialny?

Myślę, że na głębokim poziomie każdy swój realny zakres odpowiedzialności rozpoznaje. Ale jedną z najbardziej dostępnych strategii systemu późnego kapitalizmu – systemu opartego na konserwowaniu hierarchii i działającego na korzyść tych, którzy już są bogaci i potężni – jest wmawianie poczucia odpowiedzialności za wszystko jednostkom, które realnie mają jej niewiele.

Zaraz zostanę wyznawcą teorii spiskowej.

No ale popatrz: czy dla tych stu korporacji pompujących 80 proc. gazów cieplarnianych w atmosferę nie jest korzystne, żebyśmy to my czuli się odpowiedzialni za kryzys klimatyczny? Nie jest korzystne, żebyśmy się raczej stowarzyszili w mediach społecznościowych przeciwko nieekologicznym postawom sąsiadów, którzy palą śmieciami, niż w końcu zagłosowali na polityków trafnie diagnozujących problem i mogących wprowadzić systemowe zmiany?

Wspominałem o myśleniu spiskowym, bo po lekturze Twojej „Ucieczki od bezradności” zrozumiałem coś ważnego. Mianowicie, że wielu jego

przedstawicieli to ludzie świadomi i wykształceni, którzy wcale niekoniecznie wierzą we wszystkie kolportowane w ich świecie opowieści.

Dużym błędem jest zakładanie, że wyznawcy takich koncepcji to osoby niespełna rozumu czy źle wyedukowane. Jakbyśmy zaczęli myśleć od niewłaściwego końca. Pytamy np., dlaczego przeciwnicy szczepień nie rozumieją, czym jest nauka, i odrzucają coś, co dla nas jest oczywistością. Dlaczego kwestionują świat medycyny i farmacji.

Jaki jest zatem właściwy koniec?

Np. przyznanie, że dla wielu ludzi zektnięcie ze światem współczesnej medycyny i ochrony zdrowia wiąże się z doświadczeniem uprzedmiotowienia. Przeżywali życiowy dramat, byli w lęku przed chorobą czy śmiercią, a zderzyli się z bezduszną machiną. Nie obwiniam lekarzy, którzy również bywają ofiarami patologicznego systemu, próbuję tylko pokazać źródła nieufności, która ich spotyka. Problematyczne zachowania koncernów farmaceutycznych opisywano wielokrotnie – HBO niedawno wyemitował film o kryzysie opioidowym w USA. Przy pomocy manipulacji i korupcji wprowadzono do obrotu środki skrajnie uzależniające, przedstawiając je jako nieszkodliwe. Miliony ludzi się od tego uzależniły. Setki tysięcy umarły.

No i mamy dystynkcję między oświeconymi elitami a tzw. plebsem. Nikt nie lubi być traktowany z wyższością. A jeśli po drugiej stronie jest wizja życia w harmonii z naturą – zakłóconej przez owe korporacje i substancje, które promują; życia w troskliwej i uważającej na siebie wspólnotie... tak, w imię takiej wartości można poświęcić niejedno.

Czyli chodzi o to, że w takiej wspólnocie czujesz się widzialny?

Ewolucja zaprojektowała nas do funkcjonowania w niewielkich plemionach i w warunkach czyhających zewsząd zagrożeń – ksenofobia, niechęć i agresja wobec tych, którzy wyglądają i zachowują się inaczej, sprzyjały naszemu przetrwaniu. Ale tu nie chodzi tylko o jednoczenie się przeciw myślącym inaczej. W takiej wspólnocie dostajesz komunikat: „jesteś ważny i twoje doświadczenie jest ważne”. W dzisiejszym świecie to bezcenne. I wybór nieprawdy kosztem prawdy jest

w tym kontekście co najmniej zrozumieli: z pewnością można w imię bycia widzianym, akceptowanym, obdarzanym zaufaniem i poczuciem bezpieczeństwa poświęcić coś takiego jak prawda.

I to musi być zbudowane na wierze w spiski?

Lepiej byłoby powiedzieć: zbudowane na mitach. One po prostu wkraczają w światy opuszczone przez wielkie naracje, które nie tylko definiowały rzeczywistość, ale też przywracały w niej właściwe miejsce człowiekowi. Dawały mu poczucie, że jest na swoim miejscu i że jest tam z innymi. Światopogląd wyłaniający się z dzisiejszej nauki i skorelowany z realiami ekonomiczno-politycznymi raczej zostawia nas w poczuciu, że jesteśmy tu elementem przypadku, czymś niekoniecznym, że nasze życie nie ma więc żadnego sensu i celu.

Trump i Kaczyński nam tego nie powiedzą.

No i stąd się biorą ich sukcesy. Oni mówią: „wasze poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, wasze poczucie, że z tym światem coś jest nie tak, jest uzasadnione. Macie rację, to ludzie, którzy wami dotąd rządzą, robili z was idiotów”. Myślę, że dopóki obecna opozycja nie uzna realności tego doświadczenia, w Polsce nie dojdzie do zmiany władzy. Ludzie się od niej odwrócili nie dlatego, że są źli albo, jak powiedziała kiedyś w Tok FM pewna filozofka, mają mniejsze ciało migdałowate.

Odpowiedzialne za empatię i relacje z innymi.

Wyborcy PiS-u świetnie wiedzą, że politycy tej partii są bohaterami rozlicznych skandali i przehandlowują idee za posady. Tyle że oni nie uważają, że politycy mają być idealni. Wystarczy, że będą „nasi”. Że będą mówić do swoich wyborców: „wy jesteście OK, wasze emocje są dobre, dobra jest wasza historia, wasze jedzenie i wasza muzyka”. Komunikat poprzedników brzmiał: „musicie się solidnie napracować, żeby być tacy, jak my”. A ci się nie wywyższają.

Ale zostawmy politykę. Kiedy idziesz do homeopaty, wizyta trwa dwie godziny i pytają cię o wszystko: nie tylko o twój stolec, ale także o twoje sny, lęki, życie prywatne. Patrzą na to, jaki jesteś, i dobierają dla ciebie coś specjalnego.

Jedną z najbardziej podstępnych strategii systemu późnego

kapitalizmu jest wmawianie poczucia odpowiedzialności za wszystko jednostkom, które realnie mają jej niewiele.

No to powinienem już zapytać tylko o to, czy to działa?

Jest taka książka historyka medycyny Jaya Sheltona „Homeopathy: How It Really Works”, której konkluzje można zastosować do większości medycyn alternatywnych. Shelton mówi o efekcie „turbo placebo”. Powiedzenie, że to w ogóle nie działa, jest niezgodne z prawdą, choć w sensie wiedzy medycznej homeopatia to czysty fałsz. Ostatecznie efekt placebo jest realny. A to działa nawet odrobinę lepiej, bo daje korzystniejsze doświadczenia psychologiczne dzięki spotkaniu z kimś żywo tobą zainteresowanym.

Tylko że jest jeszcze pewien mechanizm, często obserwowany wśród osób wkraczających w dominium myślenia spiskowego myślenia. Kiedy już uwierysz w jakiś fragment tej rzeczywistości, przestajesz dostrzegać złożoność świata. Owszem, zdarzyło się w przeszłości, że firmy farmaceutyczne dokonywały nadużyć, ale te nadużycia zostały wychwycone, doszło do korekt, powstała sieć instytucji kontrolujących, są badacze z niezależnych ośrodków, istnieje konsensus naukowy. Wszystko to znika, z wieloczynnikowego pola zostaje jeden czynnik. A gdy pozwalasz mu się rozgościć w swoim umyśle, wtedy cała reszta staje się problematyczna. Skoro oszukują cię farmaceuci, dlaczego nie mieliby cię oszukiwać przedstawiciele innych światów?

Mam wrażenie, że wybieranie jednego czynnika z wieloczynnikowego pola nie charakteryzuje tylko zwolenników teorii spiskowych.

Oczywiście. Kwestia zamknięcia na jakiejkolwiek wątpliwości zastanawiała mnie zarówno w kwestii szczepionki na

covid, ze zrozumiałych względów wprowadzanej w ekspresowym tempie, jak w wielu innych przypadkach, np. katastrofy smoleńskiej. Przecież w pierwszych godzinach po upadku prezydenckiego samolotu nic tak naprawdę nie było wiadomo. Na jakiej podstawie umowna nasza strona twierdziła od razu, że na pewno nie doszło tam do zamachu i że był to wypadek, za którym stała presja tego strasznego Kaczora? A na jakiej umowna tamta strona oparła natychmiastową diagnozę, że to był zamach? Na jakiej podstawie rzesze facebookowiczów wyśmiewały przed rokiem każdego, kto obawiał się skutków ubocznych szczepień, skoro każda substancja je ma? I na jakiej podstawie antyszczepionkowcy oparli twierdzenie, że szczepienia to narzędzie depopulacji? Chcę być dobrze zrozumiany: nie chodzi o to, jak jest naprawdę, ale jak reagujemy w sytuacji, kiedy ktoś podważa naszą wizję świata.

Zaczynamy książkę od twierdzenia Junga, że za każdym idzie jego cień – tym większy, im mniej zespólny ze świadomością. W najdoskonalszym literacko wcieleniu tej teorii, czyli w „Czarnoksiężniku z Archipelagu”, bohater Ursuli Le Guin konfrontuje się z cieniem i integruje go w sobie. Rozumiem, że integracja cienia w przypadku ludzi żyjących w późnym kapitalizmie miałyby polegać na przyznaniu, że nie wszystko da się wyjaśnić?

Z tym dopowiedzeniem, że droga do przezwyciężenia dualizmu między mną a cieniem wiedzie przez doświadczenie bezradności. Przez konfrontację z tym, co nieprzewidywalne i ciemne – także we mnie. Bo przecież zazwyczaj cień, zło, zdolność do pogardy i przemocy umieszczam na zewnątrz. A *clou* jungowskiej obserwacji polega na tym, że nie dostrzegam jej u siebie.

Zaczynam rozumieć kontekst rozdziału o astrologii.

Teraz zapytasz, czy wierzę w astrologię?

Lubię rozmowy, w których jest jakiś porządkny coming out.

Nie mogę powiedzieć, że wierzę. Ale rozumiem, dlaczego astrologia może działać w sposób transformacyjny. Przynosić ulgę w świecie indywidualizmu, nadodpowiedzialności i wygnania człowieka z tych

→ wszystkich sfer mityczno-symbolicznych, w których wcześniej funkcjonował. Tak samo jak w tych fragmentach naszej rozmowy, w których mówiliśmy o zwolennikach teorii spiskowych, antyszczepionkowcach czy zwolennikach PiS: wycho-
dę od pewnego faktu, którym jest gigantyczny renesans astrologii, zwłaszcza w pokoleniu tzw. milenialsów, ale także ludzi dużo młodszych, i staram się go zrozumieć. Widziałem niedawno na Facebooku pewnego modnego warszawskiego lokalu, zatrudniającego i gromadzącego głównie dwudziestoparolatków, że popsuła im się łazienka, co skorelowali z retrogradacją Merkurego, tradycyjnie wiązaną z przypadkami zaburzeń komunikacyjnych – zresztą ostatnia awaria Facebooka również wydarzyła się dokładnie wtedy.

I jak tłumaczysz tę modę?

Astrologia niesie pewien rodzaj tożsamościowej narracji, radykalnie różnej od opowieści, o której tyle tu powiedzieliśmy – opowieści o kowale własnego losu. W świecie ogołoconym przez naukę z celowości i sensowności, rozparcelowanym i nieprzewidywalnym, dostajesz obraz siebie jako czegoś na moment, w chwili urodzenia, ukonstytuowanego przez grę kosmicznych sił. Wszechświat astrologiczny jest przesycony znaczeniami. Planety nie są jedynie bryłami materii – każdej przypisano pewien symboliczny sens. Układy planet możesz przy pomocy matematycznych narzędzi odczytywać, a przy pomocy symbolicznych – interpretować. Mówiąc najbardziej ogólnie: astrologia głosi, że świat nie jest bez sensu, a jednostka nie jest kowalem własnego losu. Moim zdaniem samo to działa dziś odciążająco.

A nie determinuje?

Nie. Współczesna astrologia unika determinizmów. Raczej pokazuje potencjały. Obiecuje rodzaj wglądu w siebie, twierdzi, że pozwala dostrzec aspekty siebie dotąd niezauważane i z nimi pracować – albo że pomaga przygotować się do czegoś, co cię czeka, i przejść przez to bardziej świadomie.

Dla mnie to, o czym piszesz i mówisz, jest opowieścią o świecie bez religii. Terapia i psychoanaliza, teorie spiskowe, astrologia – to wszystko próby poradzenia sobie z jej kryzysem.

Tak, bezradność i śmiertelność są niemiłe widziane nie tylko dlatego, że się nie mieszczą w modelu rynkowo-ekonomicznym, ale także dlatego, że w tym świecie nie ma Boga. Ten fakt powoduje, że jesteśmy bezradni podwójnie. Najwyraźniej jednak potrzebujemy struktury mitologiczno-symbolicznej, pozwalającej objąć te obszary ludzkiego życia. Mam zresztą poczucie, że chrześcijaństwo jest ostatnią wielką antropologią, która przechowała obraz człowieka jako istoty niedoskonałej i upadającej. I że idąc w fantazje o własnej wszechmocy i nieomyślności gubimy gdzieś rzeczy tak fundamentalnie ważne, jak wzajemna troska.

A co z tymi gwiazdami?

Bardzo ważny dla mnie James Hilman mówi o podejściu „tak jakby”. Nie traktuję pewnych przekonań o charakterze mitologicznym jako dosłownej prawdy o świecie. Nie muszę naprawdę uważać, że pozycja planety Mars w twoim horoskopie odzwierciedla twoją agresję, sferę

popędową czy potrzebę ekspansji – ale za-
razem nie muszę twierdzić, że to bzdura. Mogę przyjąć postawę tak, jakby ©©© to rzeczywiście było ze sobą powiązane. Dotyczy to wszelkich przekonań mitologicznych czy religijnych. Potrzebujemy rytuałów, zawiesznień dosłowności, kontaktu z czymś, co Hilman nazywał „du-
szą”, a co pozwala mówić o rzeczywistości w sposób metaforyczny i podejmować kwestie tak fundamentalne jak śmierć czy miłość. Mając do wyboru twardy scjentyzm, skrajny naturalizm, materializm radykalny, co dzisiaj jest modelem wynikającym z perspektywy naukowej, a z drugiej strony literalny spirytualizm, dosłownie rozumianą religijną opowieść o zaświatach, w których żyje osobowy Bóg stwórca, staram się mediować. Choć osobiście jestem raczej zdecydowanie niewierzący.

Raczej zdecydowanie...

No i sam widzisz.

Widzę. Tak jakby.

Chciałeś jeszcze o coś zapytać?

Dla Justyny Dąbrowskiej byłbyś za młody, by odpowiadać, ale zapytam mimo wszystko: co w życiu jest warte starania?

Miłość i bliskość. Że ktoś z nami, a my z kimś w tej osobliwej sytuacji istnienia się znaleźliśmy i że razem idziemy. Taką wspólnotę można odczuwać zarówno z drugim człowiekiem, jak i z innym niż ludzkie zwierzęciem.

No to weźmy Twojego psa na spacer.

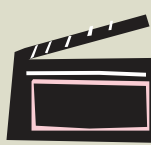
©© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

REKLAMA

ORGANIZATORZY I PARTNERZY








wkr
ff

WARSAW
KOREAN
FILM
FESTIVAL

05
-10
lis to
pa
da



Kinoteka, PKiN w Warszawie
MojeEkino.pl (online)

Polska aktualna

PIOTR KOSIEWSKI

Wystawa „Polskie okolice” w warszawskim Rastrze to rzadka okazja zobaczenia obrazów Marcina Maciejowskiego, którego twórczość stała się w powszechnym obiegu synonimem nowej sztuki z Polski.

NA PRZEŁOMIE MINIONEGO I OBECNEGO stulecia Marcin Maciejowski wypełniał swoje obrazy scenami podpatrzonymi z życia codziennego. Siegał po motywy zaczerpnięte z kultury masowej, nie unikał świata polskiej polityki. Przyglądał się kulturze popularnej i mediom. Korzystał z nich, ale też jego prace, dzięki obecności w masowym obiegu, same stawały się nieuchronnie jego częścią.

Powroty

Przykuł uwagę krytyków i publiczności. Maciejowski, Rafał Bujnowski i Wilhelm Sasnal tworzący wówczas Grupę Ładnie szybko stali się powszechnie rozpoznawalni. Ogłoszono nawet modę na młodą

sztukę z Polski, a Grupa Ładnie dla wielu stała się ważnym punktem odniesienia.

Z czasem jednak twórczość Maciejowskiego zaczęła się zmieniać. Jego obrazy porzuciły plakatowość, stały się malarzko bardziej skomplikowane. Nadal obecny był w nich świat celebrytów, ale pojawiły się też coraz liczniejsze odniesienia do filmu, obrazy-cytaty z kadrami z południowoamerykańskiej telenoweli, a przede wszystkim z klasyki światowego kina.

Zaczął się też odwoływać do artystów z przeszłości – jak Stanisław Wyspiański i Józef Mehoffer, Gustav Klimt i Egon Schiele, Pablo Picasso i Tadeusz Kantor. W 2010 r. w rozmowie dla „Tygodnika Powszechnego” Maciejowski mówił:

„W historii sztuki interesuje mnie to, co niemożliwe we współczesnym świecie artystycznym, albo spauperyzowane – a więc w mniejszym stopniu awangarda, która uchodzi dziś za bardzo *cool*, zaś o wiele bardziej np. Wyspiański czy Klimt”.

Okazją do tamtej rozmowy była duża wystawa artysty „Tak jest” w krakowskim Muzeum Narodowym. W 2014 r. w Rastrze odbyła się kolejna. Potem jednak indywidualne pokazy Maciejowskiego organizowano za granicą: w Londynie, Salzburgu czy Wiedniu – artysta stale współpracuje m.in. z prestiżową Gallerie Thaddaeus Ropac. Obecna wystawa w Warszawie to powrót do kraju po latach.

Owa nieobecność może intrygować – podobnie jak w przypadku Wilhelma Sasnala, którego duży pokaz prac, także po latach, zorganizowało niedawno warszawskie POLIN. Okazuje się, że sukces artysty, także komercyjny, nie zawsze przekłada się na publiczną obecność jego prac w Polsce. Tym bardziej warto odwiedzić wystawę w Rastrze. Daje ona bowiem rzadką okazję, by zobaczyć, jak zmieniła się twórczość Maciejowskiego.

Na pewno on, Bujnowski czy Sasnal trafili w swój czas. Ich twórczość stała



W Galerii Raster:

Ewa zamyślona. Już wie jak smakuje życie (wg arrasu „Szczęśliwość rajska”, 1550), 2021, olej na płótnie, 60x80 cm

Po prawej: Dama już państwowa, 2021, olej na płótnie, 140x180 cm





*Strajk (1) (za fb Ogólnopolski Strajk Kobiet), 2021, olej na płótnie,
120x160 cm*



*My młodzi artyści dzieło Podkowińskiego witamy z najwyższą radością,
140x180 cm*

→ się nawet swoistym manifestem roczników urodzonych w latach 70. ubiegłego wieku, które poszukiwały swojej reprezentacji. Młodzi malarze utrafiли w generacyjne zapotrzebowanie, w oczekiwaniu sztuki mówiącej o autentycznym, codziennym doświadczeniu. I chociaż Ładnie jako grupa szybko przeszła do historii, a każdy z jej byłych członków podkreślał własną odrębność – dawne doświadczenie grupowego działania (i grupowej identyfikacji) zaczęło być przez nich traktowane nawet jako zbędny balast – nadal ważna była dla tej trójki rzeczywistość i bacne jej obserwowanie.

Umiejętność mówienia o otaczającym świecie i własnym doświadczeniu okazała się ważna także dla kolejnego pokolenia malarzy. Jak wspominał w jednej z rozmów młodszy od Maciejowskiego o ponad dekadę Daniel Rycharski: „Rozpознаwał tematy, którymi się zajmowałem, czyli na przykład: lokalność, współczesna Polska, oraz różne problemy zwykłych ludzi. Przez to, że byłem ze wsi, czy też małego miasta, to do mnie przemawiało”. Umiejętność znalezienia języka pozwalającego mówić o tej nieopisanej Polsce była czymś rzadkim i nieoczywistym.

Państwowa dama

Dziś płótna Marcina Maciejowskiego uderzają starannością wykończenia szczegółów oraz nawiązaniem do estetyki dawnych mistrzów, przełamywanej elementami zaczerpniętymi ze świata komiksów, tekstowymi wtrąceniami i obecnością tzw. dymków. Jego obrazy są dopracowane, ale wydają się lekko, wręcz z łatwością namalowane. Nieprzypadkowo użyto w ich kontekście zaczerpniętego od włoskiego humani-

sty Baldassarego Castiglione terminu „sprezzatura”, oznaczającego lekkość, wrażenie naturalności i wykonywania jakby bez wysiłku. Jednocześnie nadal dotykają kwestii politycznych czy społecznych.

Tak jest też w przypadku prac pokazanych teraz w Rastrze. Nie jest to obszerny przegląd. Wystawiono zaledwie kilka płócien namalowanych w tym roku, które dotyczą kobiet, sztuki i polityki. Każda z tych kwestii jest dziś kluczowa, dyskutowana, wywołująca emocje. I jeszcze inny temat – dziedzictwo narodowe, problem, który obecna władza postawiła w samym centrum politycznego sporu.

Na jednym z obrazów, z tytułem zapożyczonym z gazetowego nagłówka – „Dama już państwowa” – Maciejowski przedstawił scenę podpisania umowy o zakupie kolekcji Czartoryskich przez polski rząd. Minister Gliniński i Adam Karol Czartoryski dumnie prezentują podpisaną umowę. W tle widać „Damę z łasiczką” Leonarda da Vinci. Arcydzieło, które wolą twórców Muzeum Czartoryskich miało być publicznie dostępne, zostało przez ich spadkobiercę sprowa-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów

– 98,8 FM Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



To jest Asizo, moja narzeczona
(wg H. J. Chmielewski, „Tytus plastykiem”, 1987), 2021, olej na płótnie, 110x115 cm

dzione do przedmiotu umowy handlowej. Na przykładzie tej jednej decyzji można pokazać wszystkie paradoksy rządzącej formacji politycznej, w tym przekonanie, że tylko omnipotentne państwo może odpowiednio zadbać o wspólne dziedzictwo. Jednocześnie to samo państwo przyznało, że nie potrafi zadbać o to, by respektowano prawo dotyczące wywozu bezcennych dzieł – przecież jako oficjalny powód zawarcia tej transakcji podano zabezpieczenie „Damy z łasiczką” przed sprzedażą za granicę!

W Rastrze jest też obecne duchem inne słynne malowidło z kolekcji Czartoryskich: zaginiony podczas II wojny światowej „Portret młodzieńca” Rafaela. Wersję na podstawie przedwojennej fotografii wykonał Maciejowski. Zdjęcie zachowało się jedynie w wersji czarno-białej. Malarz je odtworzył. Dał nam nowego Rafaela, barwnego i nieoczekiwanie współczesnego. Przechwycił oficjalną narrację – dziś coraz częściej w kraju celebrowany i otaczamy wciąż kolejne rekonstrukcje zamków czy pałaców (doczekaliśmy też zresztą pokazywanej jako wielkie wydarzenie prezentacji rekonstrukcji konser-

watorskiej „Portretu młodzieńca”). Kopie z przeszłości zastępują oryginalną twórczość.

Maciejowski wraca do przeszłości, ale nie robi tego z sentymentalnych upodobań. Przeciwnie, podkreśla, że dawna sztuka jest dla niego częścią współczesności. Dlatego też proponuje jej odczytanie na nowo. Co więcej, na tej wystawie sięga po tę część przeszłości, która wydaje się być jedynie historycznymi pamiątkami. Przywraca je współczesnej wrażliwości, np. powtarzając przedstawienie Ewy zrywającej owoc rajskej jabłoni ze słynnego wawelskiego arras. Postać z XVI-wiecznego dzieła na obrazie Maciejowskiego staje się symbolem emancypacji i złamania *status quo*.

Z Tytusa

Na innym z obrazów młoda osoba z czarną maseczką na twarzy w uniesionych rękach trzyma białe płótno. To bezpośrednie nawiązanie do „Demonstracji obrazów” Marka Włodarskiego z 1933 r., pracy, która dziś stała się jednym z ikonicznych dzieł sztuki zaangażowanej minionego stulecia. Jednak tym razem de-

monstrującym jest kobieta. Jest wreszcie portret Ewy Tatar, kuratorki i krytyczki sztuki. Wszystko to przedstawienia kobiet świadomych, zaangażowanych, walczących o swoje prawa. Kobiet, które odzyskały polityczną podmiotowość.

W Rastrze są jeszcze dwa inne obrazy. Zawieszone w oddzielnej sali, zdają się trochę przypadkowym dodatkiem. Wprowadzają jednak nostalgiczny czy też melancholijny ton. Jeden przedstawia grupę Ich Troje w szczególnym momencie, bo w chwili ogłoszenia powstania zespołu 3 listopada 1995 r. Obraz ten wydaje się powrotem do początków twórczości Maciejowskiego, kiedy z upodobaniem przedstawiał bohaterów naszej kultury popularnej. Nie wszyscy jednak pamiętają, że w tamtym roku młodzi historycy sztuki założyli magazyn „Raster”, który zrewolucjonizował postrzeganie polskiej sztuki i sposób mówienia o niej. I to jego współzałożyciele – Łukasz Gorczyca i Michał Kaczyński – stworzyli i do dziś prowadzą galerię Raster, mającą kluczowe znaczenie dla kariery członków Ładnie.

I drugi obraz. Jest na nim Tytus z dziewczyną Asizo. Odwołanie do bohaterów komiksu Papcia Chmiela nie powinno dziwić, to przecież ważny element zbiorowej wyobraźni dzisiejszych 40- i 50-latków, niezależnie od ich opcji ideowych i wyborów politycznych. Świata Marcina Maciejowskiego i twórców Rastra. W XVIII księdze przygód Tytusa, Romka i A'Tomka, wydanej w 1987 r., Tytus uczy się historii malarstwa. Sam nawet zaczyna tworzyć. Poznaje dziewczynę, jak on odmienną, Inną, stworzoną przez malarza kubistę. Ostatecznie jednak profesor T. Alent za pomocą komputera przekształca ją we współczesną Zośkę. Wszystko wraca do normy, staje się powszechnie akceptowane.

Ten właśnie obraz, zamykający wystawę, wydaje się autoironicznym komentarzem malarza do własnej drogi: od buntownika do klasyka współczesności. Ale też komentarzem do dziejów samego Rastra. Drogi, którą przeszedł od artzina do establishmentowej galerii, będącej dziś symbolem sukcesu na rynku sztuki.

© PIOTR KOSIEWSKI

Marcin Maciejowski **POLSKIE OKOLICE**, Warszawa, Raster, wystawa czynna do 16 listopada br.
Reprodukcje obrazów dzięki uprzejmości Galerii Raster.

Spółeczeństwo jako igrzyska śmierci

JAKUB MAJMUREK

Nie potrzebujemy wojen czy totalitarnej władzy – i bez tego umiemy wyobrazić sobie obywateli rozwiniętych państw, którzy gotowi są ryzykować życie i zdradzać przyjaciół, by odzyskać finansowe bezpieczeństwo.

CHOĆ MOŻNA SIĘ SPIERAĆ, CZY „SQUID Game” jest najlepszym serialem tego roku, trzeba przyznać, że jest najniezwyklejszym tegorocznym fenomenem serialowym. Produkcja z Korei Południowej opowiada o grupie ludzi, którzy „dostają szansę”, by wydobyć się z poważnych problemów finansowych, biorąc udział w serii zawodów, w których karą za klęskę jest śmierć. I okazała się nie tylko najchętniej oglądaną propozycją Netfliksa już w dziewięćdziesięciu państwach, ale także najpopularniejszym serialem w historii tej platformy.

Hwang Dong-hyuk przez ponad dekadę nie zdołał zainteresować swoim scenariuszem żadnego producenta – wszystkim pomysł wydawał się zbyt dziwaczny i nierealistyczny. A teraz pobił pełne gwiazd, wysokobudżetowe produkcje platformy, takie jak „The Crown”. Skąd ten fenomen?

Przemienieni przez system

Przypomina się niezwykle sukces innej produkcji z Korei Południowej: filmu „Parasite” (2019) Joon-ho Bonga. Najpierw zatriumfował na festiwalu w Cannes, a następnie jako pierwszy nieanglojęzyczny film w historii sięgnął po Oscara w kategorii „najlepszy film roku”. Obie produkcje mierzą się z tym samym problemem: dramatycznymi nierównościami społeczno-ekonomicznymi, rozrywającymi w miarę egalitarne i bardzo spójne społeczeństwo współczesnej Korei. Temat jest doskonale zrozumiały i wywołuje żywe emocje nie tylko w Korei i Azji Wschodniej, ale także w Europie i obu Amerykach.

Główny bohater „Squid Game”, Gi-hun, bez problemu mógłby być znajomym gnieźdzącej się w piwnicznym

mieszkanu rodziny Kimów z „Parasite”. Mężczyzna ma czterdzieści kilka lat, dzieli niewielkie mieszkanie z matką. Żona zostawiła go i zabrała ich córkę. Gi-hun pracuje jako szofer, faktycznie utrzymuje go jednak matka – większość pieniędzy, jakie zarabia, pochłania obsługa piętrzących się długów.

Gi-hun, podobnie jak rodzina Kimów, wie, że z finansowego dolka nie wydobydzie się nigdy, choćby pracował po 16 godzin na dobę. Ratunku szuka w tym, co go w tę pożałowania godną sytuację wpędziło: w hazardzie. W pierwszym odcinku kradnie pieniądze matce, wygrywa sporą sumę obstawiając wyścigi konne, następnie ją traci – wydarzenia te prowadzą Gi-huna do pozornie przypadkowego spotkania w metrze, które pchnie go na drogę do tytułowej, śmiertelnie niebezpiecznej gry.

Wśród konkurentów Gi-huna do głównej nagrody nie brakuje podobnych do niego desperatów. Jest wśród nich Abdul, nielegalny imigrant z Pakistanu z rodziną na utrzymaniu, któremu szef miesiącami nie wypłacał należnego wynagrodzenia za pracę; Sae-byeok, uciekinierka z Korei Północnej, potrzebująca pieniędzy, by przez granicę przeprowadzić rodziców; umierający na nieuleczalną chorobę Il-nam; Sang-woo, niegdyś szanowany pracownik sektora finansowego, dziś objęty śledztwem w sprawie defraudacji pieniędzy klientów.

Każdy reprezentuje inną twarz wykluczenia i biedy we współczesnej Korei – i nie tylko tam, bez problemu możemy sobie wyobrazić odpowiedników Gi-huna czy Abdula w Stanach, Francji albo Polsce. Bohaterowie „Squid Game” to osoby, które system społeczno-polityczny wykorzystał, przemienił i wypuł. Bardziej niż solidarność łączy ich desperacja.



Gracze (ci, którzy przeżyli) mają okazję, by odejść po pierwszej z serii konkurencji – makabrycznej wersji zabawy „Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”, w której osoby poruszające się w nieodpowiednim momencie giną ostrzeliwane z broni automatycznej – ostatecznie wracają jednak do gry. Podwieszona pod sufitem pomieszczenia, gdzie w więziennych warunkach skoszarowani są gracze, wielka przeźroczysta świnka-skarbonka, zapełniająca się pieniędzmi wraz ze śmiercią każdego zawodnika, stanowi zbyt silną pokusę, by ktoś w takiej sytuacji jak Sang-woo czy Gi-hun mógł się jej oprzeć.

Walka na żywo

Podobną desperacją przepełniona była piwnica Kimów z „Parasite”. Bohaterowie znaleźli z niej jednak cudowne – jak się im do pewnego momentu wydawało – wyjście: posiłkując się kłamstwem i oszustwem obsadzili wszystkie możliwe płatne pozycje w domu rodziny z klasy wyższej, Parków. Bong portretuje tę sytuację w tonie surrealistycznej groteski – z każdą kolejną sceną coraz bardziej mrocznej i makabrycznej.

W „Squid Game” opowieść o nierównościach i pękającym społeczeństwie utrzymana jest w zupełnie innej konwencji: survivalowego horroru. A ściślej – wariantu tego podgatunku, gdzie grupa bohaterów zostaje wrzucona w grę, w której nawet jeśli można sporo wygrać, to ryzykuje się tym, co najcenniejsze: własnym życiem.



NOH JUHAN | NETFLIX

Kadr z serialu „Squid Game”

Ostatnie dwie dekady obrodziły wieloma podobnymi filmowymi obrazami. Za przełomowy i wyznaczający trend uznaje się na ogół japoński film „Battle Royale” (2000) Kiniego Fukasaku. Akcja rozgrywa się w bliskiej przyszłości, w której po gospodarczym załamaniu Japonia rządzi totalitarna władza, sięgająca po ekstremalne środki dla walki z niepokojami społecznymi, w tym z przestępczością młodzieży. Co roku władza wysyła grupę uczniów w wieku licealnym w oddzielone od świata miejsce, najlepiej na bezludną wyspę. Każdy z uczniów dostaje mapy, racje żywnościowe i broń – uczestnicy gry będą walczyć ze sobą na śmierć i życie, aż przy życiu zostanie tylko jeden. Założone na szyję opaski ze zdalnie odpalnymi ładunkami wybuchowymi mają zdopingować do „rywalizacji” młodych, próbujących biernie przeczekać „bitwę”.

Rok później powstaje niezależny kanadyjski horror „Slashers” Maurice’a Devereaux – także dostępny na Netflixie. Rozgrywa się również w Japonii, gdzie wielką, globalną popularność zdobywa *reality show*, w którym uczestnicy rywalizując o wysoką nagrodę pieniężną muszą przetrwać kilka godzin w przestrzeni przypominającej plan filmu grozy, gdzie grasują trzej najprawdziwsi seryjni mordercy. Trup ściele się gęsto, dzięki kreatywnemu działawowi prawnemu stacji mordercy dostają licencję na bezkarne zabijanie i globalną sławę, a grupa Ame-

rykanów po raz pierwszy dopuszczonych do rywalizacji w historii teletur-nieju idzie na rzeź, w większości z zupełnie idiotycznych powodów.

Im bliżej 2021 roku, tym wyraźniej podobne obrazy obsadzone są w społecznym i ekonomicznym kontekście. W brazylijskim serialu „3%” (2016-20), także dostępnym na Netflixie, hkhakcja rozgrywa się w odległej przyszłości. Świat podzielony jest w nim na ubogi, przypominający jeden wielki slums Łąd i położoną niedaleko od niego rajska Wyspę. Wy-soko rozwinięta technologia zapewnia jej mieszkańcom życie w luksusie, możliwość pracy zgodnej z pasjami i zainteresowaniami, a społeczeństwo jest otwarte i tolerancyjne na wszelkie możliwe preferencje, kaprysy i tożsamości.

Co roku wysłannicy z Wyspy przybywają na Łąd, by przeprowadzić Proces – serię skomplikowanych testów, które spośród ludzi kończących w danym roku 20 lat mają wyłonić grupę „najlepszych”, godnych życia na Wyspie. Zgodnie z założeniami Procesu, ukończyć go z sukcesem może za każdym razem tylko 3 procent uczestników. Karą za klęskę niekoniecznie jest śmierć, choć niektórzy młodzi ludzie faktycznie nie przeżywają Procesu. Maszyna społecznej selekcji z „3%” działa subtelniej, a jednocześnie okrutniej niż ta ze „Squid Game”. Przegrani pozostają bowiem całe życie w biedzie, w poczuciu życiowej klęski, w przekonaniu, że lepsze, spełnione życie było na

wyciągnięcie ręki, ale nie udało się im wykorzystać szansy z własnej winy.

Oglądając „3%”, mamy wrażenie, że technologie i bogactwo, jakimi dysponują mieszkańcy Wyspy, mogłyby rozwiązać większość problemów Łądu. Ludzie z Wyspy nie są tym jednak w ogóle zainteresowani. Są przekonani, że ci, którzy nie przeszli Procesu, sami są sobie winni, zmarnowali szansę i na nic lepszego nie zasługują.

Być może najsłynniejszą produkcją utrzymaną w podobnych klimatach jest seria filmów „Igrzyska śmierci”. Rozgrywa się ona w dość odległej przyszłości, gdzie po serii wojen i ekologicznych katastrof na terenie współczesnej Ameryki Północnej powstaje totalitarne, policyjne państwo Panem, ze stolicą w położonym w Górach Skalistych Kapitolu. Otacza go dwanaście Dystryktów, każdy z nich pełni określoną funkcję w społecznym podziale pracy i zajmuje odpowiednie miejsce w społecznej hierarchii. Co roku każdy dystrykt wysyła dwójkę młodych ludzi między 12. a 18. rokiem życia, zmuszonych walczyć na śmierć i życie, aż z dwudziestu czterech zostanie przy życiu tylko jeden. Walkę na żywo ogląda cały Panem, uczestnicy Igrzysk cieszą się podobnym statusem, co gladiatorzy w starożytnym Rzymie. Igrzyska mają dostarczać rozrywki, utrzymującej lud Panem w oglupieniu, a jednocześnie są narzędziem terroru.

Świat zamykających się drzwi

Od wszystkich wymienionych wyżej tytułów koreańską produkcję różni to, że przedstawia dystopię bardzo bliską, koszmarną, który może kryć się tuż za rogiem. Nie potrzebujemy wojen, katastrof klimatycznych czy totalitarnej władzy do wyobrażenia sobie obywateli współczesnych rozwiniętych państw, którzy są tak zdesperowani, że zaryzykują życie, zdradzą przyjaciół i samych siebie, by odzyskać finansowe bezpieczeństwo.

Być może właśnie dlatego serial tak dobrze rezonuje z emocjami publiczności na całym świecie. Hwang Dong-hyuk napisał pierwszą wersję scenariusza – początkowo miał to być film kinowy – podczas wielkiego kryzysu gospodarczego w 2008 r., gdy sam zmagał się z poważnymi problemami finansowymi. W nowej, serialowej wersji produkcja trafiła na ekrany ponad dekadę później, w trakcie kolejnego kryzysu, nie tylko finansowego i gospodarczego, ale także ➔

→ pandemicznego – społecznego i zdrowotnego. Ostatnie dwa lata na całym świecie rozbudziły lęk o przyszłość i o podstawowe bezpieczeństwo życiowe.

Niepokój o ekonomiczny byt nie wynika przy tym tylko z pandemii. Co najmniej od kryzysu z 2008 r. coraz częściej rozbrzmiewają głosy, że w rozwiniętych gospodarkach coś fundamentalnie nie działa. Że umowa społeczna, która wydawała się oczywista przez kilka dekad po wojnie, została złamana: kolejne pokolenia nie tylko nie mają lepiej niż ich rodzice, ale zmuszone są nieraz walczyć o to, co dla pokolenia ich ojców i matek było oczywistością. Przede wszystkim o stabilną pracę, zapewniającą względne bezpieczeństwo ekonomiczne i rozsądny, nawet jeśli skromny dobrobyt.

Widzowie z całego świata pochłaniający koreański serial mogą mieć poczucie, że ich życie metaforycznie przypomina tytułową „Squid Game”, że coraz więcej społecznych relacji zmienia się w bezwzględną rywalizację, z której względnie zwycięsko wychodzi bardzo niewielu, a reszta zostaje z niczym. Wbrew wpisanej w nowoczesność obietnicy postępu i nieskończenie poszerzających się możliwości mamy poczucie, że zamyka się coraz więcej kiedyś szeroko otwartych drzwi, przez które można było bezpiecznie przejść do życia w elementarnym bezpieczeństwie i dostatku. W takim świecie społeczeństwo będzie się jawić coraz większej liczbie osób jako „igrzyska śmierci” – na razie na szczęście raczej metaforyczne niż dosłowne.

„Squid Game” doskonale oddaje sprzeczne emocje, jakie budzi ten świat: desperację, zrezygnowany nihilizm, żelazną determinację, by być tym, kto bez względu na wszystko wygra, poczucie absurdu i przerażenie okrucieństwem otaczającej nas rzeczywistości. Nie zawsze robi to subtelnie, czasem dość topornie, ułatwia sobie zadanie, epatując i przyciągając widza zbyt łatwo podawaną makabrą i sadyzmem. Narracja bywa też przeciągnięta – chyba lepiej byłoby opowiedzieć tę historię w trwającym około stu minut filmie kinowym niż w kilkugodzinnym serialu. Przy wszystkich swoich wadach „Squid Game” trafia jednak w nastrój swojego czasu i lęki publiczności. Po „Parasite” kolejnej produkcji z Korei udaje się ta trudna sztuka – ważniejsza niż idealnie wyszlifowana artystyczna forma.

© JAKUB MAJMUREK

Zew trufli

ANITA PIOTROWSKA

Gawęda o ostatnich prawdziwych truflarzach staje się pochwałą vitalności, śpiewu, wina, dobrego jedzenia i przyjaznej koegzystencji ludzi i zwierząt.

NOSZĄ SIĘ PO MYŚLIWSKU – MASKUJĄCE barwy, poobijane terenówki, wytresowane psy. W gęstwinie piemonckich lasów wyruszają bez względu na pogodę czy porę dnia, czasem wymykając się z domu przez okno. Niektórzy z nich są we wczesnej jesieni życia, inni już dobiegają dziesięćdziesiątki, lecz nadal z zapałem uprawiają swoje bezkrwawe łowy. Choć szron na głowie, choć nie to zdrowie, to w sercu ciągle jedno: trufle.

Mowa oczywiście o brzydkich, schowanych pod ziemią bulwiastych grzybach, a w tym przypadku o ich białej odmianie, której kilogram może kosztować nawet tysiące euro. Ale nostalgiczno-zawadiacki dokument „Truflarze” Michaela Dwecka i Gregory’ego Kershawa jedynie zahacza o sprawy rynkowe. Amerykańskich filmowców interesują przede wszystkim ostatni mohikanie dzikiego truflarstwa, bowiem jest ono dla nich czymś więcej niż pracą zarobkową czy ekstremalnym sportem. Stoi za tym tradycyjny, coraz częściej lekceważony etos, bezpośredni kontakt z nie zawsze przychylną naturą oraz głębokie emocje, zarówno te międzyludzkie, jak i międzygatunkowe.

Tylko z początku mogą zadziwiać sceny, kiedy ktoś kąpie się w wannie z ulubionym czworonogiem albo przyjmuje kościelne błogosławieństwo w asyście suczki Titiny. Wszak pomyślność w znajdowaniu trufli zależy tak naprawdę od niej, od jej zdolności, umiejętności i wyczucia (podrapane pazurami grzyby nie są w cenie). Dobry pies jest więc w tej branży na wagę złota, jakkolwiek film Dwecka i Kershawa każe wierzyć, że nie wszystko na tym świecie można kupić. Stąd codzienność zbieraczy zderzona zostaje

z wielkim biznesem, który kontroluje rynek i w swoich metodach zaczyna upodabniać się do mafii.

Co prawda nikt tu jeszcze nie budzi się z odciętą głową ulubionego konia w pościeli, lecz rosnąca moda na trufle, zmiany klimatyczne i pogarszająca się jakość wapiennych gleb sprawiają, że konkurencja staje się wyjątkowo brutalna. Pewnego dnia ukochana Fiona, Birba czy Titina też mogą zostać powieszone lub otrute. Dlatego bohaterowie „Truflarzy”, zmęczeni wojnami o terytorium i wszechogarniającą chciwością, powoli zaczynają rozmyślać o emeryturze, ale także o własnej śmierci.

Jeden z nich powody swojej rezygnacji wystukuje przed kamerą na archaicznej maszynie do pisania. Ów rozdźwięk między mitycznym wczoraj i kiepskim dziś czuje się w „Truflarzach” na każdym kroku. Fenomen tego filmu, nakręconego *con amore*, pełnego starych włoskich szlagierów, oglądanego z rozrzwinięciem na festiwalach całego świata, wyrasta w dużym stopniu z tęsknoty. Nie tyle jednak za ewidentnym luksusem, którego świątyniami są tu aseptyczne restauracje, a rytuałami snobistyczne degustacje i branżowe warsztaty. Raczej za bezpretensjonalnym *slow life* i *slow food*, czyli – bagatela – zwyczajnym jajkiem sadzonym posypanym grubo startymi płatkami trufli.

W „pierwszym świecie” stała się ona symbolem ekonomicznego statusu. Ukazany w filmie paradoks polega na tym, że podczas gdy większości śmiertelników na nią nie stać, to ci, których stać, nie mają czasu, by się nią w pełni delektować. Sergio, Aurelio czy Carlo w ten sposób zaklinają swój czas.



Aurelio Conterno i pies Birba w filmie „Truflarze”

Dokument celebrytuje zatem nieopakowane agroturystyką proste życie: przytulne domostwa, omszałe piwniczki, leśne ostępy. Jeśli nawet próbuje romantyzować codzienną aktywność starszych panów, to jednocześnie pokazuje, że składa się na nią przede wszystkim brudna robota – ciągle kopanie w ziemi, ręczne oczyszczanie znalezionych skarbow, żmudne poszukiwania nowych lokalizacji, których tajemnicę bohaterowie zabiorą ze sobą do grobu. Nie przez starczą złośliwość bynajmniej, ale żeby pozostawić następcom trochę frajdy. A o to coraz trudniej w czasach, gdy aromatyczna grzybnia wyrasta głównie na plantacjach, stając się towarem przemysłowym i turystyczną atrakcją.

Chwilami odnosi się wrażenie, że Dweck i Kershaw trochę swoich bohaterów upupiają, traktując ich jak pociesznych staruszków, ale film chciałby widzieć w nich przede wszystkim wymierający szlachetny gatunek. Dokumentalna gawęda o ostatnich prawdziwych truflarzach staje się pochwałą vitalności, śpiewu, wina, dobrego jedzenia czy przyjaznej koegzystencji ludzi i zwierząt. I choć więcej tutaj fotogenicznych ustawić niż dokumentalnego spontanu, ostatecznie wygrywają zgromadzone przed obiektywem pełnokrwiste ludzkie typy. Kamera raz po raz próbuje tę prawdziwość uwiarygodnić, na przykład

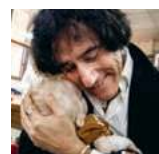
udając psa myśliwskiego – podąża chyżo przed siebie, z nosem tuż przy ziemi, niucha powietrze, niemal ryje w leśnej ściółce. Ten film zresztą obłędnie pachnie: psią sierścią, zgniłymi liśćmi, świeżo skopaną glebą i oczywiście truflami. Ma się wrażenie, że bohaterowie czują je non stop, i że to ów organiczny zew, a nie zapach pieniędzy, każe im gnać do lasu.

Dodajmy jeszcze, że to świat niemal całkowicie męski i może również w związku z tym odchodzący do lamusa w dotychczasowej postaci. Ktoś tu namiennie oszukuje żonę i ryzykuje zdrowiem, by wybrać się po kryjomu na truflowanie, ktoś inny poszukuje na starość partnerki, którą w niedalekiej przyszłości można by obarczyć opieką nad osieroconą psiną, słyhać też typowo męskie przechwałki. Twórcy dokumentu podkreślają owe smaczki, dostrzegają jednak, że prawdziwa pasja może być czymś większym od ambicji i obsesji. Stąd ów czuły film o nawiedzonych łowcach sam trochę przypomina truflę. Drobną, przybrudzoną, nieregularną w kształcie, czyli taką, która pomimo swoich skaz nadal stanowi wyjątkowy okaz. ©

TRUFLARZE (*The Truffle Hunters*) – reż. Michael Dweck, Gregory Kershaw. Prod. USA/Włochy/Grecja 2020. Dystryb. M2 Films. W kinach od 19 listopada, wcześniej pokazy przedpremierowe.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Dzieci wroga



Dokumentalny, reż. Gorki Glaser-Müller, Szwecja/Dania 2021, KFF VoD, do 12 XI
Młoda Szwedka została żoną dżihadysty i urodziła mu siódmkę dzieci. Kiedy zostają osierocone i uciekają w syryjskim obozie dla uchodźców, ich dziadek postanawia ściągnąć je do Szwecji. Ale czy europejskie państwo zechce przyjąć „dzieci wroga”? Trzymający w napięciu dokument jest zapisem zarówno karkołomnej akcji, jak i jej okoliczności politycznych.

2. Zabójstwo dwojga kochanków



Dramat, reż. Robert Machoian, USA 2020, HBO GO

Zamiast spodziewanej intrygi kryminalnej czy typowych scen z życia małżeńskiego, dostajemy wnikliwe studium rodzinnej katastrofy z punktu widzenia cierpiącego mężczyzny. Miasteczko w stanie Utah i przede wszystkim furgonetka bohatera stają się scenografią rozpaczliwej walki o podtrzymanie więzi i przejęcie kontroli nad własnym życiem.

3. Śledztwo w domu spokojnej starości



Dokumentalny, reż. Maite Alberdi, Chile i inne 2020, vod.mdag

W nominowanym do Oscara dokumencie znalazło się miejsce na humor, lekki dreszczyk i na prawdziwe wzruszenia. Pewien 83-latek wygrywa casting na „kreta”, który ma osobiście sprawdzić, czy w placówce opiekuńczej dla seniorów nie dochodzi do zaniedbań i nadużyć. Łatwo nie będzie, lecz jakaś prawda o urządzeniu dzisiejszego świata z czasem wychodzi na jaw.

4. Sweat



Dramat, reż. Magnus von Horn, Polska 2020, Canal+ online, Player
Kilka dni z życia popularnej influencerki i gwiazdy fitnessu

odstania przepaść między prywatnym życiem a publicznym wizerunkiem, między byciem w trybie offline i online. Przyklejona do bohaterki kamera towarzyszy jej upadkom, wzlotom i przemianom – tylko która z tych twarzy jest do końca prawdziwa? Wyczynowa rola Magdaleny Kuleśnik.

Lektor:

Życie w fotografii



■ **Monika Szewczyk-Wittek**
JEDYNE. NIEOPOWIEDZIANE
HISTORIE POLSKICH FOTOGRAFEK
Dom Spotkań z Historią,
Warszawa 2021, ss. 290.

DZIESIĘĆ NAZWISK, DZIESIĘĆ opowieści: Anna Beata Bohdziewicz, Anna Maria Brzezińska, Iwona Burdzanowska, Joanna Helander, Marzena Hmielewicz, Anna Michalak-Pawłowska, Anna Musiałówna, Anna Pietuszek-Wdowińska, Agnieszka Sadowska, Maja Sokołowska. Dziesięć biografii, nie tylko zawodowych, i widziany poprzez nie obraz trzech burzliwych dekad. Jak podsumowuje autorka: „blaski i cienie epoki Gierka, protesty robotnicze,

działalność opozycyjna, powstanie »Solidarności«, wprowadzenie stanu wojennego, strajki, manifestacje, obrady Okrągłego Stołu, pierwsze wolne wybory, przemiany gospodarcze, transformacja”. Pielgrzymki papieskie, dramatyczne przygody z czasów opozycyjnej konspiracji. I rozmaite drogi bohaterek do zawodu w czasach, gdy był on zdominowany przez mężczyzn, a także realia redakcyjne widziane z kobiecej perspektywy.

Więc przede wszystkim fotografia prasowa i cały wachlarz tematów, od wielkiej polityki po życie codzienne, od sztuki po sport. Na pierwszym zdjęciu w książce Anna Beata Bohdziewicz stoi skupiona przy sławnym okrągłym meblu, za plecami Tadeusza Mazowieckiego i Lecha Wałęsy. Na ostatnich stronach – świetne fotografie Mai Sokołowskiej na okładkach tygodnika „Sportowiec”, kolor niestety nie najlepszy, bo to lata 80. Portrety artystów i ludzi przypadkowo spotkanych: Joanna Helander fotografuje aktorów Teatru Ósmego Dnia i fryzjerki z Rudy Śląskiej, Marzena Hmielewicz – Wrocławski Teatr Pantomimy i dziecko na trzepaku; Anna Michalak-Pawłowska – Annę Kamińską czytającą swoje wiersze i zomowców podczas trzeciomajowej demonstracji w 1984 r.;

Agnieszka Sadowska – Magdalенę Abakanowicz i pensjonariuszki domu pomocy społecznej. Do tego wspaniale uchwycone w kadrze ludzkie historie – bo, jak mówi Anna Musiałówna, „los przeciętnego człowieka więcej mówi o sytuacji społecznej w kraju niż życie elit”. Po prostu rzeczywistość – w rozmowach parokrotnie powraca postać wielkiej Zofii Rydet, autorki „Zapisu socjologicznego”. Annę Bohdziewicz, sumienną, choć często ironiczną kronikarkę tej rzeczywistości, która od 1982 r. prowadzi „Fotodziennik”, autorka pyta, jak sobie wyobraża jego finał. „Kiedyś powiedziałam, że chciałabym zrobić zdjęcie na własnym pogrzebie”. A podpis? „Na pewno żartobliwy: koniec filmu, żegnajcie!”. ©P

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik” na ucho
 co tydzień 5 wybranych tekstów
 z bieżącego wydania – do odsłuchania
 w dowolnym czasie, miejscu
 i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
 z GooglePlay lub AppStore
 i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
 – dla nowych abonentów 14 dni gratis!



audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Bravo:

Kolacja za ścianą



SIEDEMDZIESIĄT KILKA PROCENT POLAKÓW nie wierzy, że planowana podwyżka akcyzy na piwo służy promowaniu zdrowego trybu życia – uważa raczej, że państwo chce zgarnąć więcej pieniędzy. Tak sugeruje mi lobby browarnicze, które regularnie dba, żeby skrzynki pocztowe dziennikarzy nie stały nigdy puste i żeby leniwy redaktor miał w razie czego zgrabnego gotowca. Nie chce mi się sprawdzać, ile dokładnie było tych procentów, bo wartość poznawcza piarowych wrzutek jest żadna. Rzekłbym wręcz – ujemna, bo przez swoją uporczywość usypia czujność na manipulacje oraz konflikty interesów i systematycznie dewaluje słowo „badania”. Jeśli ktoś coś tu bada, to tylko odporność naszego umysłu na wciskanie kitu.

Najgorzej, kiedy manipulacja wykorzystuje cząstkowe dane czy wiadomości, które nie kłócą się z naszym potocznym oglądem spraw i idą w parze z tym, co skądinąd wiemy. Wzięta z osobna informacja, że ludzie nie lubią, kiedy im się każe zapłacić większy podatek przy zakupie dobra, które traktują jako podstawowe (a nie trzeba być pijakiem ze skwerku, żeby wkładać piwo do koszyka dóbr podstawowych), wydaje się oczywista. Podobnie jak to, że raczej posądzają państwo o pazerność, a nie mądre zarządzanie dobrem wspólnym poprzez kierowanie strumieniami pieniędzy od i do naszych kieszeni. Aż dziw, że komuś chce się takie banały mierzyć.

Chyba że zamiast szukania środka nacisku, w legislacji chodziłoby takim „badaczom” o spojrzenie na naszą relację z państwem i z innymi wspólnotami szerszymi niż rodzinne gniazdo. Powtarzając bezmyślnie, że państwo z nich zdziera, ludzie lepią sobie ze swej kwaśnej od złości śliny i odłamków liberalnych mitów jakiegoś bezkształtnego potwora, któremu nadają cechy osobowe. Po to, by uciec od myśli, że stanowią cząstki zbiorowości i to coś zwane państwem jest w nich na równi z tlenem, wodą i białkiem. Skoro nie umiemy dobrze ogarnąć kolejnych pięter istnienia rozszerzonego na wspólnotę polityczną, gdzie nasze „ja” ulega rozrzedzeniu i zaplątaniu w coraz odleglejsze sieci, to uciekamy przed tym w proste sztuczki. Stąd architekci systemów państwowych, pomni, że ludzką naturę najlepiej zmusić do współpracy podstępem, budują np. podatki pośrednie, bo to mniej człowieka boli niż płacenie daniny wprost, tak jak się płaci składkę na prezent urodzinowy dla koleżanki. Któż by tam studiował rzadki liczb na paragonie i sumował sobie w drodze z Żabki, ile właśnie VAT-u rzucił w paszczę potwora. O innych „ukrytych” przed pobeżnym wzrokiem opłatach, takich właśnie jak akcyza, nie wspominając.

Tylko czasowe oddalenie każe mi się ludzić, że dawniejsi np. Grecy lepiej sobie radzili z codziennym funkcjonowaniem na metapoziomie. Zapewne Arystoteles, kreśląc swój do dziś niedościgniony przepis na politykę jako zasadniczą formę godnego życia, również miał przekonanie, że gada jak dziad do obrazu, a jego współcześni ulegają jak barany dyżurnym demagogom od zastępczych bytów. Takim, co zapewnią, że twoje „meta” to przedłużenie twojego ego, możesz mieć je całkiem pod kontrolą i służy jako przestrzeń osobistych korzyści. Znać ich doskonale – choćby ostatnio firma, którą słusznie autorzy „Tematu Tygodnika” określają mianem handlarzy gniewem, pod naciskiem wizerunkowych kłopotów uciekła do przodu, obiecując, że jeśli tylko zostaniemy w jej orbicie, zapewni nam bezpieczne „metawersum”. Czyli zbuduje jeszcze bardziej wszechogarniające, szczególnie pudło rezonansowe dla popędów i uczuć, które każdego i każdą z osobna czynią słabszym i zagubionym, a wszystkich nas razem cofają do naturalnego stanu wojny wszystkich przeciw wszystkim.

Analogicznie jak „badania” wciskane nam przez lobbyistów, które opowiadają świat tylko trochę, za to bardzo sprytnie przekrzywiony, post z Instagrama czy Facebooka wzięty z osobna przypomina ludzką wypowiedź, ale pochłaniając ich mnóstwo, powoli budujemy sobie przezroczystą ścianę dzielącą od doświadczeń właściwych naszym umysłem i ciałem. O tym, jak algorytmy zmieniają debatę publiczną i sposób uprawiania polityki, pisze się coraz dokładniejsze analizy. A jak podsycają kompleksy, zniechęcają do bycia sobą wśród innych i ułatwiają samotność – przyjdzie czas, by to rozpracować. Z każdym następnym posiłkiem, który dzięki zdjęciu na Instagramie „dzieli” z setką obserwujących, wchodzi głębiej w krąg pozornych bodźców, które chronią mnie przed pytaniem: a dlaczego znów jadłem kolację sam? Kogo nie zaprosiłem, żeby wpadł? Bo nikomu by się nie chciało przyjść? A dlaczego aż do tego doszło? Kiedy zdążyłem postawić ten mur między nami? ©P

Przejrzałem swojego Instagrama – ostatni obiad, jaki tam się pojawił, to była pomidorowa z makaronem, mało efektowna, bo w słoiku (szykowałem ją do pracy). Musicie mi wierzyć, że była pyszna, bo z ostatnich w miarę prawdziwych pomidorów. Na tym samym straganie dostałem też jeszcze polskie cukinie. Czas się z nimi żegnać, wkrótce dojadą dostawy z Hiszpanii. Ponieważ z racji temperatur są mało jędrne, zrobiłem z nich pesto: **pół kilo cukinii** kroimy wzdłuż, jeśli są wyraźne gniazda nasienne, wydłubujemy je delikatnie łyżką. Trzemy na tarce z grubym okiem albo siekamy dokładnie, przekładamy na moment na sito, żeby odcisnąć z nich trochę wody. Przekładamy do miksera, dodajemy sporą garść **bazylii**, **trzy łyżki tartego pecorino** (albo parmezanu, choć ostrość owczego sera bardzo się tu przydaje), **łyżeczkę soli** i ok. **100 ml oliwy**. Miksujemy krótko, dodajemy jeszcze oliwy, aby było ładnie kremowe. Takie pesto wspaniale się łączy (na zimno, tzn. nie na patelni) z krótkim makaronem. Żeby przełamać jego zieleni, można ozdobić kluski siekanym suszonym pomidorem, a smak jeszcze zaostriżyć dodatkową garścią sera.



LUDZIE NA LODZIE

Zakaz polowań na foki wywrócił tradycyjne role społeczne Grenlandczyków, a nawet pozbawił ich szacunku do samych siebie, bo w oczach świata uczynił obiektem pogardy.

TEKST I ZDJĘCIA **BARTEK DOBROCH**

WYCIĄGNĄŁ KARTKĘ PAPIERU. ZACZĄŁ KREŚLIĆ NA NIEJ linie. Byłem na Grenlandii po raz pierwszy w życiu, a za kilka dni miałem poprowadzić grupę turystów na pokrywający ją lądolód. Wskazówki włoskiego podróżnika mieszkającego na wschodzie Grenlandii od lat 80. wydawały się bezcenne.

– Od plaży, na której rozbijecie obóz, pójdziesz prosto na wznoszącą się nad nią górę – zakreślił ni to okrąg, ni to garb. – Z niej widać lądolód. Zejdiesz prosto w jego kierunku. Tylko nie wchodź na czarny lód, który jest tu po prawej. Wejdiesz na lodowiec wprost na lewo od niego. Ale nie idź też moreną – jeszcze dalej po lewej wyrysował kolejne linie.

Wieczorem, w dniu, gdy dwie łodzie motorowe przewoziły nas, nasze bagaże, namioty i prowiant na plażę w fiordzie Nagtivit, wybrałem się na rekonesans. Dopiero z góry odsłaniał się widok na gargantuiczne cielsko grenlandzkiego lądolodu. Tam, gdzie miało prowadzić dogodne wejście na jego powierzchnię, rozciągało się polodowcowe jezioro w kolorze zbożowej kawy. Przed nim zalegała kleista warstwa błota, na którym pardwy odcisnęły tysiące śladów. Wąski pas gruntu dzielił jeszcze jezioro od wód fiordu, ale prowadził prosto na spękany, czarny od tysięcy lat zanieczyszczony lód. Trzeba było nadłożyć dwa kilometry moreną.

Susza w wodnym świecie

– Pewnie był tam ostatnio dziesięć lat temu – tłumaczyła błędne instrukcje Roberta Peroniego przewodniczka spotkana w jego hoteliku w Tasiilaq. W wyprodukowanym przez Leonarda Di Caprio dokumencie „Czy czeka nas koniec?” słynny aktor wraz z glaciologiem na lodowcu w zachodniej Grenlandii naciągają spoczywającą na lodzie linę, która jeszcze pięć lat temu cała – jakieś 30 stóp, jak ocenia naukowiec – tkwiła pionowo w lodowym odwiercie. Nawet z perspektywy komputerowego ekranu widać, że dystans między nimi, będący miarą ubytku grubości lodu, wynosi więcej niż 9 metrów.

W 2016 r. znikanie lodów Grenlandii nie zajmowało jeszcze uwagi ludzi – poza glaciologami. Mediów nie zagrzewały ich alarmistyczne raporty i klimatyczne rekordy największej wyspy świata. W tym roku w najwyższym położonym punkcie lądolodu, na wysokości 3290 m n.p.m. 14 sierpnia odnotowano pierwszy w historii pomiarów opad deszczu. Lądolód tracił ok. 8 mld ton lodu dziennie, termometry niemal wszędzie notowały rekordowo wysokie temperatury. Na położonym za kołem podbiegunowym lotnisku wskazały 23,2 stopni.

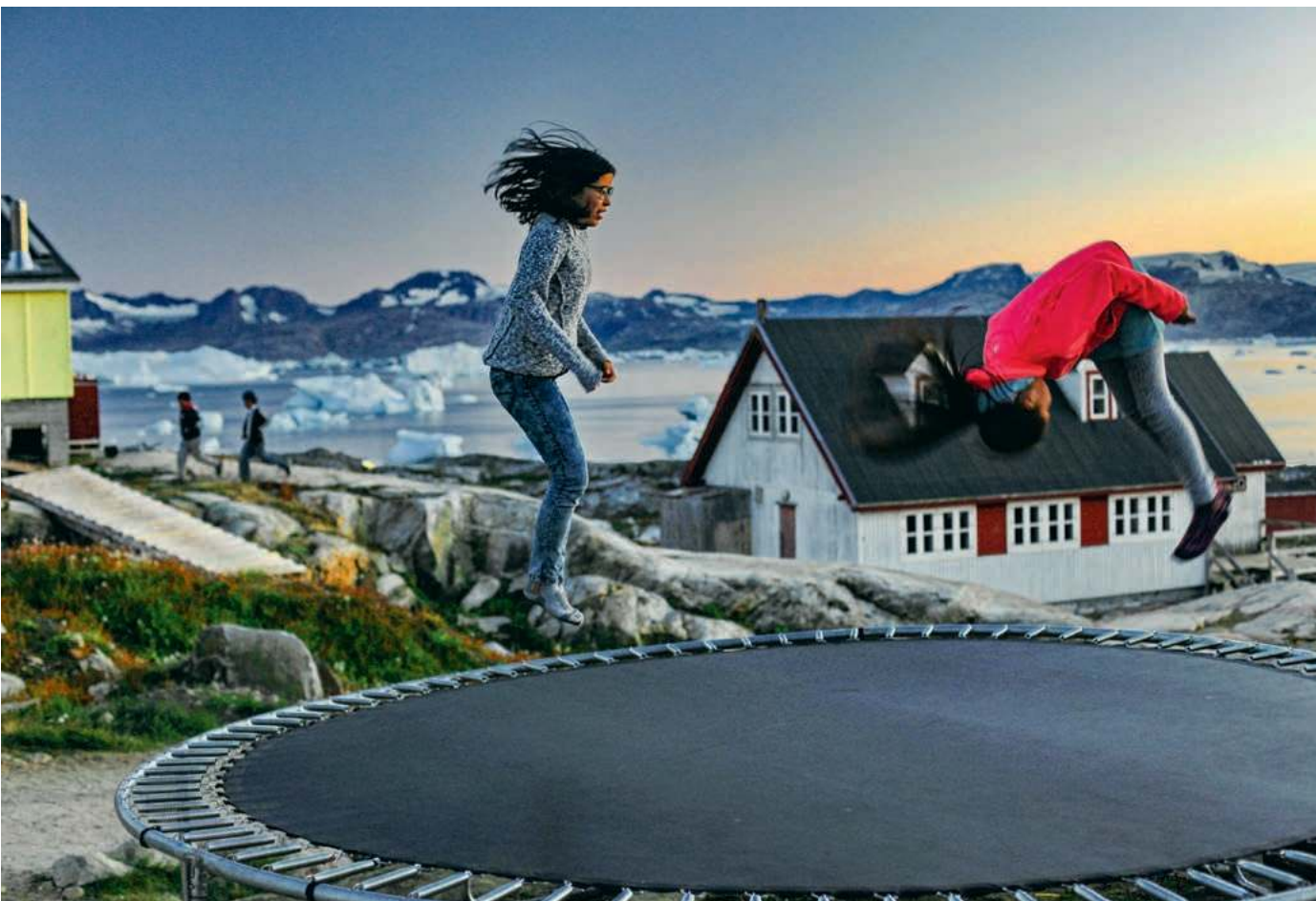
Czy jednak największy na północnej półkuli rezerwuuar słodkiej wody może zaskoczyć problemem z dostępem do niej?

– Woda? Znajdziesz ją wszędzie, pięć minut drogi plażą od miejsca, w którym rozbijecie namioty, jest ciek wodny – instruował Peroni. Ciek okazał się tym, co w Tatrach górale nazywali suchą wodą. Dziesięć minut dalej woda kapiała ze skały. Zbyt wolno, by nabrać ilość potrzebną do gotowania dla w sumie dziewięciu osób. Tajemnicę jej braku wyjaśniała bardzo ciepła wiosna, w ciągu której śnieg zasilający okresowe strumienie stopniał już w czerwcu. Lodowce były zbyt daleko, jedynie niewielkie odłamki kry prawie dobiły do brzegu. Trzeba było rozłupać je na kawałki i topić przez cały dzień w plastikowych skrzynkach, w których przywdrował z nami cały, przeważnie liofilizowany prowiant na kilka dni pobytu w okolicy fiordu. Idealny scenariusz na reedukacyjną wycieczkę dla denialistów klimatycznych. Ale grupa ciekawych świata pasjonatów wędrówek z Niemiec do nich nie należała.

Grenlandia przypominała na każdym kroku, że dla jej rdzennych mieszkańców była polem codziennej walki o przetrwanie. Pod powłoką stałości i harmonii kryła ciągłą zmianę, brutalną nieprzewidywalność. A jednocześnie była samospełniającą się obietnicą przygody dla tych, którzy jej łaknęli.

Pierwszy kontakt

Eryk Rudy, morderca i banita, w 982 r. przybił do południowo-zachodnich brzegów wyspy; przodkowie jej rdzen-



Dziecięce zabawy późnym wieczorem (godzina 22) w rybackiej wiosce Tiniteqilaq nad fiordem Sermilik. Sierpień 2016 r.

nych mieszkańców zasiedlili ją już około 3,5 tysiąca lat wcześniej. Nazwę Grenlandia, oznaczającą „zieloną ziemię”, nadał jej jako przynętę dla potencjalnych osadników, którzy chciał przyciągnąć po powrocie na Islandię, czyli „lodową ziemię”. W przypadku wschodnich wybrzeży Grenlandii nazwa przez kolejnych dziewięć stuleci nie znajdowała pokrycia. Brzegi powyżej 60 stopnia szerokości północnej pozostawały niedostępne dla statków za sprawą dryfującego pola lodowego stukilometrowej szerokości.

Kapitana duńskiej marynarki Gustava Holma przyciągnęła legenda z islandzkich sag, błędnie lokalizująca tam „wschodnią siedzibę” Wikingów. Z końcem sierpnia 1884 r. wynajął dwa umiaki, inuickie łodzie wiosłowe budowane z foczych skór rozpiętych na szkielecie z wyrzuconego przez morze drzewa lub kości wieloryba, i wraz z innym oficerem marynarki, załogami złożonymi tradycyjnie z Inuitów i zachodniogrenlandzkimi tłumaczami dotarł w rejon wyspy Ammassalik. Zamiast potomków Wikingów, zamieszkiwali ją jednak ludzie wywodzący się z wygasłej już na zachodzie wyspy kultury Dorset, którzy – pozbawieni dotąd jakiegokolwiek kontaktu z białymi – prowadzili koczowniczy tryb życia, w odwiecznym rytmie natury, korzystając wyłącznie z jej zasobów.

Czytałem o Holmie u Roberta Gessaina, francuskiego antropologa, który począwszy od 1934 r. odwiedzał i badał żyjących na wyspie oraz w jej okolicach Inuitów, a nawet zamieszkał wśród nich z rodziną. Książka Gessaina stała przez

lata na półce z dziadkową kolekcją literatury podróżniczej, ale tytuł z jej grzbietu – „Ammassalik” – i sąsiedztwo poświęconych Afryce książek z serii Naokoło Świata wydawnictwa Iskry sugerowały, że to raczej kolejna opowieść o Tuaregach czy kameruńskich czarownikach. Dopiero propozycja poprowadzenia trekkingu po pozbawionych szlaków, a nawet ścieżek górach wschodniego wybrzeża Grenlandii sprawiła, że po nią sięgnąłem.

Napisana w drugiej połowie lat 60. książka nosi pełny tytuł „Ammassalik, czyli cywilizacja obowiązkowa”. Ma skazy swojego czasu, włącznie z określaniem rdzennych Grenlandczyków wyższościowym mianem „Eskimosów”, oznaczającym „zjadaczy surowego mięsa”; oni sami nazywali się po prostu Inuitami, czyli „ludźmi”. Gessain dał kompendium wiedzy o prądowej kulturze łowców i zapis ich ewolucji po zetknięciu z zachodnią nowoczesnością. Jak napisał w przedmowie, chciał „pokazać, jak nasze zachodnie społeczeństwo podające się oficjalnie za tolerancyjne, dbało o innych, mimo zapewnień o swoich dobrych intencjach, nadal podąża tradycyjnym szlakiem niezrozumienia, nieposzanowania, destrukcji, unicestwiania kultury małych ludów”. Wydarzenia następnych lat potwierdziły niestety aktualność tych słów.

Nieproszona nowoczesność

Oderwałem wzrok od lektury, zerkając na znajomo wyglądający profil mężczyzny z włosami spiętymi w koński ogon i siwiejącym zarostem, siedzącego na tarasie Czerwonego Domu





Robert Peroni w drzwiach swojego Czerwonego Domu w Tasiilaq.
Lipiec 2016 r.

→ w Tasiilaq. – Alex Huber, jak sądzę? – zagailem. Ekstremalny wspinacz, słynny alpinista łapał zasięg i wypoczywał po wyprawie na niezdojbyte ściany w jednym z okolicznych fiordów. Grenlandzki wschód wciąż oferował wiele do odkrycia.

Ponad czterdzieści lat temu przyciągnął też Roberta Peroniego, alpinistę i podróżnika z Tyrolu Południowego. Miał poprowadzić wyprawę na nartach w poprzek grenlandzkiego lądolodu. Potem trawersował go jeszcze kilkukrotnie, w tym jako pierwszy na północy, w najszerszym miejscu. Podjął także próbę przemierzenia wyspy w czasie polarnej zimy. 500 km w codziennej dwudziestodwugodzinnej ciemności, mrozie po minus 30 stopni i huraganowych wiatrach. Za pierwszym razem wyprawę przerwały odmrożenia towarzysza, za drugim, gdy Peroni szedł samotnie, klej spajający części sań nie wytrzymał temperatury. Peroni zrozumiał, że istotą jego bytności na Grenlandii nie są przygody, ale ludzie. A ci właśnie stawali przed nowymi wyzwaniami.

W Tasiilaq pojawił się na początku lat 80., gdy „lud Inuitów przeżywał konfrontację z nowoczesnością, o którą się nie prosił i której nie pragnął” – jak pisał w książce „Tam, gdzie wiatr krzyczy najgłośniej”. Więcej szkody niż paternalizm Duńczyków, którzy nie mieli ambicji kolonizatorskich, chcieli tylko modernizować życie Inuitów na swoją modłę, przyniosła rdzennym Grenlandczykom działalność organizacji znanych raczej z walki przeciw szkodom wywoływanym przez człowieka.

Podjęta pod koniec lat 70. przez WWF kampania w obronie zwierząt polarnych, wzywająca do powstrzymania masowego zabijania fok, była słuszną i ważną, dopóki jej ostrze było skierowane przeciw brutalnym polowaniom na młode foki dla pozyskania ich skór, odbywającym się zwłaszcza w Kanadzie. Podkreślona przez Greenpeace, dotknęła jednak najmocniej Grenlandczyków, dla których foki stanowiły odwieczne źródło pożywienia. Były odpowiednikiem naszych świń, krów i owiec. A także ziemniaków i sałaty. A nawet czymś więcej, bo foczne skóry i tuszycz stanowiły wcześniej także ich okrycie i opał. Zakaz polowań z dnia na dzień wyrzucił tradycyjne role społeczne, nadkruszył tożsamość, a nawet pozbawił Gren-

landczyków szacunku do samych siebie, bo w oczach świata stali się obiektem pogardy.

Mały dom, cztery metry na osiem, który Peroni kupił za namową grenlandzkich przyjaciół, stał się wkrótce miejscem spotkań. Grenlandczycy przychodzili zjeść zupę, wypić kawę i mówili: „Jutro poderżnę sobie gardło”. Samobójstwa stały się plagą, która dotyczyła zwłaszcza młodych. Któregoś razu w ciągu kilku nocnych godzin życie odebrało sobie jedenaście osób. Szerzyła się depresja i alkoholizm.

Kuchnia włosko-grenlandzka

Ten dom stał się wkrótce punktem odniesienia dla wszystkich, którzy mieli problemy. Peroni zdał sobie sprawę, że aby pomóc im je rozwiązać, musi dać coś więcej poza gościną – pracę. „Co to znaczy praca, Roberti?” – pytali. Idei pracy zarobkowej nie rozumieli. Gotowi byli pomagać mu, nie przyjmując zapłaty. Dzięki nim rozbudował budynek, tworząc agencję turystyczną i hotelik przypominający alpejskie schronisko, ale zbite ze skandynawskich desek – tak jak wszystkie domy w miasteczku, których bujna kolorystyka przypomina pasiekę. The Red House, Casa Rosa – Czerwony Dom ma swoją nazwę wypisaną na ścianie po grenlandzku: Uliili Aapalartoq.

Na drzwiach Peroni zawiesił tabliczkę: „Jesteśmy tutaj w ich domu”. Czerwony Dom stał się dosłownie miejscem pracy dla wielu, zarówno starszych, jak zmarły dwa lata temu Anda Kuitse, odtwarzający dla gości wschodniogrenlandzkie pieśni i tradycyjny taniec z bębniem, jak też młodych, jak transseksualna Ilannguaq. Urodzeni łowcy wożą teraz turystów łodziami motorowymi na otwarte wody Atlantyku na fotograficzne łowy z humbakami, manewrują w labiryncie gór lodowych w fiordzie Sermilik. Albo przygotowują potrawy w oferującej zadziwiającą mieszankę kuchni włosko-grenlandzkiej hotelowej restauracji. Jako *primo piatto* spaghetti alla carbonara, jako *secondo* – stek z wieloryba.

Na Grenlandii dopuszczalny jest bowiem limitowany poziom wielkich ssaków. Podobnie jak odstrzał niedźwiedzi polarnych, jeżeli stanowią one zagrożenie dla ludzkich siedlisk. A w czasach globalnego ocieplenia niedźwiedzie coraz częściej zapuszczają się na nowe tereny w poszukiwaniu pożywienia. Ich skóry schną obok prania na sznurkach rozwieszonych między domami. Mięso jednego z nich wylądowało na talerzu myśliwego, męża kucharki z Red House'u – gospodyni wydzieliła po kęsie gościom Roberta. Było włókniste, tłuste, gorzkawe. Ponoć najbardziej podobne do ludzkiego, choć trudno sobie nawet wyobrazić genezę tego porównania. Skosztowanie mięsa niedźwiedzia polarnego odczułem jednak jak przekroczenie kulinarnego tabu, za którym został już tylko kanibalizm.

W sklepie z pamiątkami w Tasiilaq można nabyć wisiorki z niedźwiedziej kości i wyrzeźbione z kła narwala tupilaki, figurki grenlandzkich potworów. Uprzejma ekspedientka informuje tylko, że zgodnie z prawem nie wolno ich wywozić poza Grenlandię. Ta zaś kończyła się na oddalonym o go-

dzinę drogi motorówką lotnisku w Kulusuk (spadku po dawnej amerykańskiej bazie wojskowej), na które latają samoloty z Islandii. Przy tamtej wiosce dwutysięczne Tasiilaq jest metropolią, największą miejscowością na wschodniej części Grenlandii. W centrum stoją dwa kościoły; stary dziś jest lokalnym muzeum. Do tego poczta i supermarket sieci Pilersuisoq. Po ulicach jeżdżą samochody, choć najdalej można nimi dojechać ze trzy kilometry za miasteczko. Kursują nawet taksówki, pogotowie, a prywatne terenówki i pick-upy służą najczęściej do transportu towarów z portu, do którego siedem razy w roku dopływają skandynawskie statki.

Zaczynające się niebawem półroczce, gdy zamarznięty fiord uniemożliwia ich dotarcie, to czas pozbawiony świeżych towarów. Zamiecie śnieżne i wiejący zimą piteraą potrafią na dni i tygodnie całkowicie odciąć Tasiilaq od świata. Lockdown na wschodzie Grenlandii jest cyklicznym uwarunkowaniem pogody.

Łowcy i akrobaci

– Zasada jest prosta: telefonem satelitarным zgłaszasz się codziennie o siódmej wieczorem – wykladał Peroni. – Obóz otoczyć alarmem na niedźwiedzie. Wyzwała go naciągnięcie lub zerwanie żyłki. Jeśli zobaczysz niedźwiedzia, najpierw ładujesz nabój hukowy, o ten, niebieski, i strzelasz. Jeśli niedźwiedź zbliży się na odległość 20 metrów, ładujesz biały. Pamiętaj, biały niedźwiedź, biały nabój – wręczył mi dubeltówkę.

Kilka dni później szedłem do Doliny Kwiatów i na najbliższą górę nad miastem, o nazwie skazanej na wieczne niezapamiętanie: Qaqqartivakajik. Trudniejszej nawet niż wymowa niemieckiej nazwy rosnącej wszędzie wierzbówki ki-przycy, Schmalblättriges Weidenröschen: szmalbletriges wajdenryssen.

Z zawieszoną na ramieniu bronią prowadziłem przez Tasiilaq grupę nieuzbrojonych Niemców. „Tu jest jak w Teksasie” – komentował jeden z amerykańskich turystów, którzy przybyli płynącym wzdłuż wybrzeża statkiem wycieczkowym i na podstawie kilku godzin na lądzie oceniali grenlandzką rzeczywistość. W pewnym momencie do naszej grupki podbiegło dwóch kilkulatków i zaczęło ścisnąć moją dłoń. Tylko moją. Tłumaczyłem sobie, co ten milczący gest mógł wyrażać: „Bądź pozdrowiony, łowco, który idziesz nam przynieść mięsko”.

Kilka dni później daleko od miasta martwiłem się, żeby samemu nie zostać pożywieniem. – W waszej okolicy pojawił się niedźwiedź. Jutro będziecie ewakuowani. Dzisiaj w nocy musicie pełnić wachtę – telefon od Roberta brzmiał bardzo poważnie. W transporcie do fiordu Nagtivit śrutówka nie dotarła, u boku



Piknik po wyprawie w Tasiilaq. Wschodnia Grenlandia przyciąga ludzi przygody, takich jak Alexander Huber (z prawej). Lipiec 2016 r.

Eryk Rudy przybił
do południowo-zachodnich
brzegów Grenlandii
w roku 982. Przodkowie jej
rdzennych mieszkańców
zasiedlili ją już około
3,5 tysiąca lat wcześniej.

**Nazwa, oznaczająca
„zieloną ziemię”, miała być
przynętą dla osadników.**

był więc pożyczony przez Inuitów sztućcer. Wypadało go przestrzelać. Z Thomasem, jedynym Szwajcarem w grupie, urządziliśmy zawody strzeleckie. Strzelaliśmy do puszki po pepsi ustawionej na imitującej niedźwiedzia krześle. Zwycięstwo w pierwszym strzale, odniesione w Święto Narodowe Szwajcarii nad rodakiem Wilhelma Tella, wpisałem na listę największych życiowych sukcesów.

Prawdziwy niedźwiedź na szczęście się nie pojawił, ale wymusił powrót do Tasiilaq i dwudniowy lockdown w najbliższej okolicy, burząc nasz program. A potem przyszły godziny oczekiwanie na łodzie, które nie nadpływały. Grenlandzki dziki wschód okazał się testem cierpliwości, krainą skłania-

jącą do wyzbycia się oczekiwań. Wbrew temu, co można przeczytać w „Anatomii pewnej nocy” austriackiej pisarki Anny Kim, Tasiilaq (które u niej nazywa się Amarâq) nie było „wejściem do miejsca, którego, raz do niego wszedłszy, nie można opuścić, gdyż wejście nie jest wyjściem”. Każda wyprawa dobiega końca. Od tej, którą kierował Alex Huber, Robert otrzymał kilka kompletów nart. Przyjął je z kurtuazyjną radością, podszytą smutkiem, gdyż wiedział, że osłabiony przez chorobę wzrok nie pozwoli mu już z nich skorzystać.

Słońce nad Tasiilaq zachodziło kilkukrotnie w ciągu dnia, chowając się, to znów wylaniając zza otaczających fiord szczytów. Inuici mawiali, że są tam tylko dwie pory roku: noc i dzień. Wypadająca latem pora dnia przeciągała dziecięce zabawy aż do północy. Chłopcy z rybackiej wioski Tiniteqilaq bawili się w polowanie z prawdziwymi wiatrówkami. Dziewczyny skakały na uwielbianej przez miejscowe dzieci trampolinie. Młodzi Grenlandczycy ze wschodu dorastali, pamiętając wciąż o tradycji łowców, choć przygotowywali się też do roli akrobatów gotowych na kolejne tożsamościowe ewolucje.

© BARTEK DOBROCH

STANISŁAW

Mancewicz: O dopasowaniu



TRZEBA DZIŚ PRZYWOŁAĆ DWA NIEDAWNE wydarzenia tylko pozornie śmieszne. Oto Wielki Kustosze polskich kompleksów zasnął podczas ogłaszania własnej doktryny wojennej, a prezydent RP na koniec Konkursu Chopinowskiego wygłosił krótką mowę, jakoby definiującą polskość, nadwiślański klimat i krajobraz.

Zacznijmy od konferencji ludzi odpowiedzialnych za tutejsze bezpieczeństwo, to znaczy za sprawy wojskowe. Z rosnącym zdumieniem śledziliśmy transmisję z tego wydarzenia. Rzec tu trzeba, że nie byliśmy przygotowani na taki scenariusz, ani profesjonalnie, ani emocjonalnie. Jesteśmy bowiem wychowani na tradycyjnych, bo korporacyjnych sposobach konstruowania konferencji i towarzyszących im prezentacji. Wszystko jest w nich przewidywalne do bólu – scenografia, kolejność referatów, ubrania referentów, zestawy przeźroczy, pliki papierów dodających każdemu powagi, tony wypowiedzi i ruchome wykresy, najlepiej wielokolorowe. Generalnie wszystko w prezentacjach urządzanych w salach konferencyjnych musi mieć swój czas, swoje miejsce, swoje blaski i mroki, w tym ostatnim mieści się przerwa na kawę zrobioną z mielonych pazurów, grzebieni i kopyt, ciurkającą ze srebrnego kubła. Także, plus minus, wyglądało ogłoszenie naszej najnowszej doktryny wojennej. Nie było kawy, ale wszystko inne, do czasu, było bardzo standardowe.

Mieliśmy więc ową konieczną, szcześliwą wojskową twarzą, tak się w kraju podobającą, przeźroczą, które wszyscy uwielbiają, w tym zdjęcie czołgu, no i ciągi liczb, które nigdy nikogo nie nużą. Zwłaszcza gdy są to liczby sumujące żołnierzy pod bronią i bez broni. W trakcie tej porywającej fabuły, w której stworzeniu udział wziąć musieli najlepsi synowie

pułku, mimochodem niejako zobaczyliśmy zaśnięcie genialnego przywódcy. Był to punkt zwrotny, pozornie zwiotczający twardość wojennych komunikatów. Reakcje nań były do bólu przewidywalne. Niestety.

Nasze zdumienie i niesmak wzbudziły komentarze ludzi kompletnie nierozumiejących powagi sytuacji. Nie będziemy rzecz jasna przytaczać tych żałosnych, bezmyślnych i głównie niegrzecznych zdań. Wszyscy ci ludzie nie zauważyli bądź nie rozumieją zmian, jakie zaszły w świecie polityki, w kreacji wizerunku, w promocji, w budowaniu nastroju i czytelnych dla elektoratu zasad prezentowania się silnej władzy. Amatorzy uważają, że publiczne zasypianie jest znakiem negatywnym, jest objawem słabości i śmiesznym wydarzeniem w życiu starszego pana. Otóż trzeba powiedzieć jasno – jest całkowicie na odwrót. Spanie w trakcie najgrubiej brzmiących zapowiedzi, podczas wysypywania deklaracji wojennych, podczas muzyki marszowej, relacjonowania – *pardon* – *Ordre de Bataille*, podczas chrzęstu oręża, gdy słychać zewsząd kwik koni, buczenie pikujących bombowców i chóralne śpiewy murarzy stawiających mur na granicy – to demonstracja siły, a nie słabości. Przecież to jasne. Świat dzisiejszy jest oparty na dosłownym przekazie. Czy wielki wódz się lęka? Czy mamy się bać? – pyta najszarzej szary obywatel. I dostaje na te pytania wizualizację jego nastroju. Wódz śpi, śpijcie i wy. Tyle. Doczekamy się i Putina śpiącego podczas ważnych transmisji z Kremla, i Bidena chrapiącego w Gabinetie Ovalnym. Tak będzie.

Pozostaje mało miejsca na analizę przemowy prezydenta RP na zakończenie konkursu dla pianistów. Trzeba jej wysłuchać, bo nie da się tego streścić. Pozorna nieważność tego polityka, tego, co mówi, jak wygląda i co robi, jest także myląca, bo jest z tego samego gatunku pomyłką interpretacyjną, jak oceny publicznej drzemki Wielkiego Kustosza. Otóż bądźcie czujni, nie mówcie, że postać prezydenta RP i atrybuty jego osobowości wam się już przejadły, że się przejadły wszystkim. To nie jest prawda. Jest on bowiem pionierem trendu (ładnie powiedziane). Trend ów polega na idealnym dopasowywaniu się polityków do wyborców, a dopasowanie to jest totalnie obcisłe. Nigdy wcześniej tak nie było. Dlatego też przemowa do pianistów była tak ciekawa i na miejscu.

© P

BARTOSZ MINKIEWICZ



weź, czytaj! zanim zabraknie



* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: „Tygodnik Powszechny”
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań dodajemy GRATIS „Jerzy Turowicz. Książkę do pisania”!

W ofercie dostępne są: „Zwierzenia zwierząt”, „Halo, tu Ziemia”, „Dobre życie”, „Moc kobiet”, „Święto spotkania”, „Kryzys w Kościele”, „Moc mózgu” oraz „W drogę!”.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ Obowiązuje do 30 listopada 2021 r.

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM” Obowiązuje do 30 listopada 2021 r.

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne na 2021 r.	75 zł	

- * z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin
Aktualny cennik dostępny na powszech.net/prenumeraty

PARTNER MARKETINGOWY



SALESmanago
marketing automation



WOLNOŚĆ



KOCHAM

DEBATA
I KONCERTNA
RZECZ
DEMOKRACJI

I

POD PATRONATEM

JACKA JAŚKOWIAKA
Prezydenta PoznaniaMARKA WOŹNIAKA
Marszałka Województwa WielkopolskiegoJANA GRABKOWSKIEGO
Starosty Poznańskiego

ROZUMIEM

KS. ADAM BONIECKI, NIKODEM BRZÓZY OP, TOMASZ DOSTATNI OP,
IGOR HERBUT, AGNIESZKA HOLLAND, KRZYSZTOF IWANECZKO,
KAYAH, MAJA KOMOROWSKA, MELA KOTELUK, ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI,
MARCIN MACIEJCZAK, PROF. MARCIN MATCZAK, CZESŁAW MOZIL,
NATALIA NYKIEL, PATRYK PIŁASIEWICZ, PROF. ANNA WOLFF-POWĘSKA,
PROF. ANDRZEJ ZOLL, ORKIESTRA COLLEGIUM F (DYR. MARCIN SOMPOLIŃSKI),
POZNAŃSKI CHÓR CHŁOPIĘCY

11-12
LISTOPADA
2021MIĘDZYNARODOWE
TARGI POZNAŃSKIE

organizator

MALTA FUNDACJA

producent wykonawczy

ESTRADA
POZNAŃSKA

projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym

POZnań*

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGOPOWIAT
POZNAŃSKI

partner



patroni medialni

Szczegóły na
malta-festival.pl